

AGATHA CHRISTIE

SŁONIE MAJĄ DOBRĄ

PAMIĘĆ

(PRZEŁOŻYŁA: AGNIESZKA BIHL)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Obiad literacki

Pani Oliver popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Rzuciła pospieszne spojrzenie na zegar na kominku, który, jak podejrzewała, spóźniał się o jakieś dwadzieścia minut. I powróciła do studiowania fryzury. Kłopot z panią Oliver (do czego się zresztą otwarcie przyznawała) polegał na tym, że jej fryzura stale ulegała zmianom. Wypróbowała już niemal wszystko. Kiedyś nosiła surowy kok *a la madame Pompadour*, potem niby rozwiane wiatrem loki, które szeszywała do tyłu, by odsłonić czoło intelektualistki (przynajmniej miała nadzieję, iż to, co odsłania, jest czołem intelektualistki). Wypróbowała też schludnie ułożone pukle i artystyczny nieład. Musiała przyznać, że akurat dziś jej fryzura nie miała znaczenia: dziś bowiem zamierzała uczynić to, co robiła niezwykle rzadko, to jest założyć kapelusz.

Na górnej półce szafy pani Oliver leżały cztery kapelusze. Jeden z nich przeznaczony był na śluby. Jeśli w planach miało się przyjęcie ślubne, kapelusz stawał się obowiązkowy. Właściwie to na takie okazje pani Oliver miała aż dwa. Pierwszy, zamknięty w okrągłym pudle, skonstruowany był z piór. Siedział ciasno na głowie i bardzo dobrze znosił nagłe ataki deszczu, który mógł niespodziewanie dopaść ofiarę przenoszącą się z samochodu do wnętrza świętego przybytku lub, popularniejszego w dzisiejszych czasach, Urzędu Stanu Cywilnego.

Drugi, bardziej wyszukany, nadawał się idealnie na śluby urządzone w letnie sobotnie popołudnia. Składał się z szyfonu, kwiatów i żółtej siateczki przypiętej gałązką mimozy.

Dwa pozostałe nakrycia głowy cechowało niemal uniwersalne przeznaczenie. Pierwsze z nich, zwane przez panią Oliver “wiejskim”, z ciemnego filcu, świetnie pasowało do tweedów w prawie każdym wzorze. Twarzowe rondo można było opuścić lub wywinąć do góry.

Pani Oliver miała kaszmirowy sweter na ciepłe dni i cieniutki pulowerek na gorące, oba w kolorach dobranych do kapelusza. Jednakże, mimo iż często nosiła pulowery, praktycznie nigdy go nie zakładała. Bo, doprawdy, po cóż zakładać kapelusz na wycieczkę na wieś i obiad z przyjaciółmi?

Czwarte *chapeau*, najdroższe, obdarzone było niezwykle prostymi zaletami. Być może, jak myślała nieraz pani Oliver, dlatego, że było tak drogie. Przypominało turban złożony z wielu różnokolorowych warstw aksamitu w pastelowych odcieniach, które pasowały do wszystkiego.

Pani Oliver zawahała się i wreszcie zawołała o pomoc.

- Mario! - Powtórzyła głośniej: - Mario! Przyjdź tu na minutkę.

Maria przywykła do próśb o udzielenie rady na temat stroju, który pani Oliver ma zamiar włożyć.

- Chce pani założyć ten śliczny wytworny kapelusik, prawda? - spytała wchodząc.

- Tak - odrzekła pani Oliver. - Jak sądzisz: czy wygląda lepiej tak, czy odwrotnie?

Maria cofnęła się i spojrzała.

- Założyła pani tył na przód, prawda?

- Tak, wiem - powiedziała pani Oliver. - Doskonale o tym wiem. Ale wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

- A dlaczegoż to? - zdziwiła się Maria.

- Tak być powinno. Choć najwyraźniej nie odpowiadałoby to firmie, która mi go sprzedała - wyjaśniła pani Oliver.

- Dlaczego myśli pani, że lepiej będzie odwrotnie?

- Wtedy widać ten śliczny odcień błękitu i ciemny brąz, i ta strona jest chyba lepsza od drugiej, zielono-czerwono-czekoladowej.

Jednocześnie pani Oliver ściągnęła kapelusz i przymierzyła go złą stroną na przód, potem właściwą, bokiem - co nie spodobało się zarówno jej, jak i Marii.

- Nie może go pani założyć szeroką stroną na przód. Nie pasuje do pani twarzy. Zresztą nikomu by nie pasowało.

- Nie. To na nic. Chyba założę go w końcu tak, jak trzeba.

- Tak jest zawsze bezpieczniej - stwierdziła Maria.

Pani Oliver zdjęła z głowy przedmiot sporu. Maria pomogła jej założyć dopasowaną sukienkę z ciemnobrązowej wełenki i kapelusz.

- Ależ pani elegancko wygląda - oceniła.

To właśnie pani Oliver lubiła w Marii. Wystarczyło dać jej bodaj najmniejszą szansę, a nie poskąpiła pochwałą.

- Wygłosi pani przemówienie? - spytała Maria.

- Przemówienie! - Pani Oliver była przerażona. - Nie. Oczywiście że nie. Wiesz, że nigdy nie wygłaszam przemówień.

- Myślałam, że zawsze się je wygłasza na spotkaniach literackich. Na to się pani przecież wybiera, prawda? Sławni pisarze roku 1973, czy który to rok mamy teraz.

- Nie muszę wygłaszać przemówień - powiedziała pani Oliver. - Będą inni ludzie, którzy lubią to robić i są w tym o wiele lepsi ode mnie.

- Na pewno ładnie by pani przemawiała, gdyby pani chciała - powiedziała Maria,

wcielając się w rolę kusicielki.

- Nie, nie mogłabym - zaprotestowała pani Oliver. - Wiem, co potrafię robić i czego nie potrafię. Nie umiem wygłaszać przemówień. Zawsze przejmuję się i tracę głowę. Pewnie zaczęłabym się jąkać i powtarzać. Nie tylko czułabym się głupio, ale i głupio wyglądałabym. Nie mam nic przeciwko słowom. Słowa można zapisać, nagrać na magnetofon albo podyktować. Mogę robić ze słowami wszystko, dopóki wiem, że nie wygłaszam właśnie przemówienia.

- Niech już pani będzie. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Na pewno. To dość uroczysty obiad, prawda?

- Tak - przyznała pani Oliver bardzo przygnębionym tonem. - Dość uroczysty.

I dlaczego, pomyślała, ale nie wypowiedziała tego na głos, dlaczego u licha na niego idę? Zastanowiła się przez chwilę, gdyż zawsze wolała wiedzieć, co zamierza zrobić, niż robić coś najpierw i zastanawiać się potem, dlaczego to zrobiła.

W tym momencie Maria musiała pospiesznie wrócić do kuchni, ponaglona zapachem przypalającego się dżemu, który akurat smażyła.

- Przypuszczam - odpowiedziała sobie pani Oliver - że chcę wreszcie sprawdzić, jak to jest. Zawsze dostaję zaproszenia na obiady i spotkania literackie, a nigdy na nie nie chodzę.

Pani Oliver dotarła do ostatniego dania uroczystego obiadu, z pełnym zadowolenia westchnieniem dziobiąc wśród resztek bezy na swoim talerzu. Przepadała za bezami, a w dodatku był to przepyszny deser po niezwykle smacznym obiedzie. Lepiej jednak uważać z bezami, kiedy osiągnęło się już już wiek średni. Zęby? Wyglądały dobrze i miały tę zaletę, że nigdy nie bolały. Białe, ładne zęby - całkiem jak prawdziwe. Ale w rzeczywistości nie były prawdziwe. A zęby, które nie są prawdziwe - tak przynajmniej uważała pani Oliver - nie zostały zrobione z pierwszorzędno tworzywa. Zawsze była zdania, że psy mają zęby z autentycznej kości słoniowej, natomiast ludzie - tylko z kości. W przypadku sztucznej szczęki - z plastiku. W każdym razie rzecz polegała na tym, że lepiej unikać zawstydzającego wrażenia, jakie można by wywołać, ufając zbyt protezie. Sałata, solone migdały, czekoladki z twardym środkiem, ciągnące się karmelki i cudownie lepkie bezy - to wszystko oznaczało kłopoty. Z westchnieniem satysfakcji pani Oliver nabrała ostatnią łyżeczkę.

To był dobry obiad, bardzo dobry. Trunki były odpowiednie. Potrawy - bardzo smaczne. Do tego towarzystwo sympatyczne. Obiad wydany na cześć kobiet-pisarek na szczęście nie ograniczał się do żeńskich przedstawicielek profesji. Stawili się też inni literaci, a także krytycy - w sumie i ci, którzy książki piszą, i ci, co je czytają. Pani Oliver siedziała

między dwoma czarującymi przedstawicielami męskiej pici. Edwin Aubyn, którego poezje zawsze się jej podobały, był człowiekiem niezwykle dowcipnym. Miał sporo zabawnych przygód podczas zagranicznych podróży i wiele doświadczeń osobistych i artystycznych. Przy tym interesowały go restauracje i jedzenie, rozmawiali więc o tym radośnie, odkładając na bok literaturę.

Sir Wesley Kent, siedzący po jej drugiej stronie, okazał się równie miłym kompanem. Prawił komplementy i taktownie pomijał milczeniem wszystko, co mogłoby ją wprowadzić w zakłopotanie (wielu ludziom udawało się to niemal bez wysiłku). Wspomniał o jednym czy kilku powodach, dla których podobała mu się ta czy inna z jej książek, a były to przyczyny całkiem właściwe. Dlatego też pani Oliver myślała o sir Kencie z sympatią. Uznała, że zawsze można przyjąć komplementy od mężczyzn. To kobiety bywały zbyt wylewne. Co one nieraz wypisywały! Doprawdy! Nie tylko kobiety, oczywiście. Niekiedy byli to młodzi, uczuciowi mężczyźni z odległych krajów. W zeszłym tygodniu dostała list od wielbiciela, zaczynający się od: “Czytając Pani książkę widzę, jak szlachetną musi być Pani kobietą”. Po przeczytaniu *Drugiej złotej rybki* wpadł w ekstazę, która zdaniem pani Oliver była zupełnie nie na miejscu. Nie żeby cechował ją nadmiar skromności. Uważała, że jej kryminały są całkiem dobre w swoim gatunku. Niektóre były gorsze, a inne dużo lepsze od pozostałych. Lecz nie widziała żadnych powodów, by ktokolwiek uważał ją za osobę szlachetną. Była pisarką, która szczęśliwie wyrobiła sobie styl, odpowiadający sporej liczbie czytelników. Ot, łut szczęścia, twierdziła pani Oliver.

Biorąc wszystko pod uwagę, pomyślnie przeszła przez ciężką próbę. Dobrze się bawiła, porozmawiała sobie z miłymi ludźmi. Teraz przenosili się do miejsca, gdzie rozlewano kawę i gdzie można było zmienić towarzyszy i pogawędzić z kimś innym. Pani Oliver dobrze wiedziała, jak niebezpieczny był to moment. W tej właśnie chwili mogły dopaść ją i zaatakować inne kobiety. Zasypać wyrazami uwielbienia, a pani Oliver zawsze czuła się rozpaczliwie bezradna, gdy oczekiwano od niej właściwych reakcji. Po prostu nie było czegoś takiego jak “właściwa reakcja”. W rzeczywistości rozmowa przypominała posługiwanie się przewodnikiem dla podróżnych z listą właściwych zwrotów.

Pytanie: “Koniecznie muszę to pani powiedzieć. Uwielbiam pani książki. Są po prostu cudowne”.

Odpowiedź zmieszanego autora: “To bardzo miło z pani strony. Bardzo się cieszę”.

“Musi pani wiedzieć, że od miesiący czekałam na to spotkanie. To po prostu wspaniałe”.

“Och, to bardzo miło z pani strony. Naprawdę bardzo miło”.

I dalej w podobnym tonie. Zupełnie jakby żadna ze stron nie była w stanie mówić o czymkolwiek innym. Wszystko musiało dotyczyć twoich książek albo książek tej drugiej kobiety, jeśli tylko było wiadomo, co napisała. Ofiara wpadała w literacką pajęczynę i nie wiedziała, jak się wydostać. Niektórzy to potrafili, lecz pani Oliver była świadoma własnej nieudolności. Znajoma z ambasady, w której pani Oliver zatrzymała się kiedyś w czasie pobytu za granicą, próbowała udzielić jej serii poradniczych wykładów.

- Słucham, jak rozmawiasz z ludźmi - zaczęła Albertina czarującym, niskim głosem o obcym brzmieniu. - Na przykład z tym młodym człowiekiem z gazety, który chciał przeprowadzić z tobą wywiad. Nie masz za grosz dumy, jaką powinnaś czerpać ze swojego zawodu. Trzeba było powiedzieć: "Tak, piszę dobrze. Lepiej niż jakikolwiek autor kryminałów".

- Ale tak nie jest - zaprzeczyła natychmiast pani Oliver. - Nie jestem najgorsza, ale...

- Nie mów ciągle "nie". Musisz mówić "tak". Nawet jeśli myślisz odwrotnie, musisz mówić "tak".

- Szkoda, Albertino - powiedziała pani Oliver - że nie ty rozmawiałaś z tym dziennikarzem. Zrobiłabyś to tak dobrze. Czy nie mogłabyś poudawać któregoś dnia, że jesteś mną, a ja posłucham sobie za drzwiami?

- Czemu nie? To byłoby całkiem zabawne. Ale wszyscy wiedzieliby, że ja to nie ty. Znają twoją twarz. Musisz mówić: "Tak, wiem, że jestem najlepsza". Musisz powtarzać to każdemu. Dopóki to do nich nie dotrze. Dopóki nie zaczną powtarzać za tobą. Okropnie jest słuchać, jak mówisz o sobie zupełnie tak, jakbyś przepraszała za to, kim jesteś. Nie możesz się tak zachowywać.

Pani Oliver pomyślała, że zachowuje się raczej jak początkująca aktorka, usiłująca nauczyć się roli, której reżyser właśnie wypomniał, że kompletnie nie rozumie jego wskazówek. Cóż, teraz przynajmniej nie spodziewała się sporych trudności. Kiedy wstaną od stołu, natknie się najwyżej na kilka wyczekujących kobiet. Ze dwie krążyły już w pobliżu. Nie miało to większego znaczenia. Podejdzie do nich, uśmiechnie się uprzejmie i powie: "Jak miło z pani strony. To taka przyjemność słyszeć, że moje książki się podobają". Stare, oklepane frazesy. Zupełnie jakby wkładało się rękę do pudełka i wyciągało potrzebne słowa powiązane już w zdania niczym wisiorów z paciorków. A później, dużo później, będzie mogła wyjść.

Jej wzrok powędrował wokół stołu, gdyż obok prawdopodobnych wielbicieli mogło siedzieć paru przyjaciół. Tak. przy odległym końcu dostrzegła zabawną i sympatyczną Maurine Grant. Nadszedł czas, gdy pisarki i inni zaproszeni na obiad goście wstali od stołu.

Przeszli sznurem w stronę krzeseł, stolików do kawy, sof i dyskretnych kącików. Pani Oliver uważała, że to właśnie jest niebezpieczny moment, choć myślała tak w czasie koktajli, a nie literackich przyjęć, na których przecież rzadko bywała. Zagrożenie mogło pojawić się w każdej chwili, w postaci kogoś, kogo kompletnie nie pamiętała, a kto pamięta ją, albo kogoś, z kim absolutnie nie chciała rozmawiać, ale nie mogła go zbyć. Tym razem zaszła pierwsza z przewidywanych okoliczności. Podeszła do niej ogromna kobieta. O obfitych kształtach i dużych, mocnych białych zębach. Po francusku nazwano by ją *une femme formidable*¹, lecz była nie tylko groźna we francuskim sensie tego słowa, ale i nadzwyczaj apodyktyczna. Najpewniej albo znała panią Oliver, albo była zdecydowana poznać ją tu i teraz. Drugie przypuszczenie okazało się prawdą.

- Och, pani Oliver - powiedziała piskliwym głosem. - Jak miło, że tu panią spotykam. Czekałam na to od dawna. Po prostu uwielbiam pani książki. Podobnie mój syn. A mój mąż nalegał zawsze, żebyśmy na podróż zabrali co najmniej dwie powieści pani autorstwa. Ale może lepiej usiądźmy. Chciałabym zapytać panią o tyle rzeczy.

To nie jest mój ulubiony typ kobiety, oceniła w duchu pani Oliver. Ale nie ta, to byłaby inna.

Nowa znajoma poprowadziła ją zdecydowanie, jak uczyniłby to policjant, do małej kozetki w rogu. Zamówiła dwie kawy, dla siebie i dla pani Oliver.

- Proszę. Teraz będzie wygodniej. Chyba nie zna pani mojego nazwiska. Jestem Burton-Cox.

- Ach tak - odpowiedziała pani Oliver, jak zwykle w takich wypadkach zakłopotana. Pani Burton-Cox? Czy ona też pisze książki? Nie, naprawdę nie mogła sobie nic przypomnieć. Ale chyba słyszała już to nazwisko. Coś jej słabo chodziło po głowie. Książka o polityce? Nie powieść, nic zabawnego, nie kryminał. Może to wykształcona intelektualistka o politycznym zacięciu? W takim razie sprawa załatwiona, pomyślała pani Oliver z ulgą. Po prostu pozwolę jej mówić, wtrącając od czasu do czasu: "Jakie to interesujące!"

- Zdziwi panią zapewne to, co powiem - zaczęła pani Burton-Cox - ale czytając pani książki odniosłam wrażenie, że ma pani wiele współczucia dla innych i rozumie ludzką naturę. I mam wrażenie, że o ile istnieje ktokolwiek, kto mógłby odpowiedzieć na moje pytanie, to jest to właśnie pani.

- Naprawdę nie sędzę... - zaczęła pani Oliver, próbując znaleźć odpowiednie słowa, by wyrazić, że raczej nie jest w stanie wznieść się na wyżyny, jakich się od niej oczekuje.

¹ fr. Wspaniała kobieta

Pani Burton-Cox zanurzyła kostkę cukru w kawie i wgryzła się w nią krwiożerczo jak w kość. Prawdziwe kły - oceniła pani Oliver, błędząc myślami. Kły? Psy mają kły, podobnie jak morsy i słonie, oczywiście. Wspaniałe, duże kły z kości.

- Najpierw muszę zapytać panią, choć jestem pewna, że się nie mylę, czy ma pani chrześną córkę? Chrześną córkę nazwiskiem Celia Ravenscroft?

- Och - odezwała się pani Oliver, raczej mile zaskoczona. Czują, że z chrześną córką sobie poradzi. Miała wiele chrześnych córek - i synów, jeśli już o tym mowa. Musiała przyznać, że wraz z upływem lat zdarzało jej się zapomnieć o paru. Ze swoich zobowiązań wywiązywała się na czas: najpierw były to zabawki na Boże Narodzenie, potem obowiązkowe odwiedziny u chrześniaków i ich rodziców albo zaproszenie do domu, może wyprawa gdzieś po szkole. A potem nadchodziły dni chwały. Albo dwudzieste pierwsze urodziny, kiedy to chrześna matka powinna załatwić pewną sprawę i dopilnować jej wykonania, albo ślub, który pociągał za sobą taki sam podarunek plus błogosławieństwo, najczęściej pieniężne. W końcu dzieci oddalały się mniej lub bardziej. Żeniły się, wyjeżdżały do innych krajów, uczyły w zagranicznych szkołach albo zajmowały się działalnością społeczną. Powoli znikwały z życia chrześnej matki. Było jej miło, gdy pojawiały się nieoczekiwane na horyzoncie, co czasem się zdarzało. Ale wypadało zapamiętać, kiedy widziała je po raz ostatni, czyje to córki i dlaczego właśnie ją wybrano na matkę chrześną.

- Celia Ravenscroft - powtórzyła pani Oliver, podejmując ogromny wysiłek. - Tak, oczywiście. Na pewno.

Nie żeby przed jej oczyma pojawił się obraz Celi Ravenscroft, w każdym razie starszej od niemowlęcia. Pojechała na chrzest Celi i znalazła na prezent bardzo ładne srebrne sitko z czasów królowej Anny. Naprawdę bardzo ładne. Odpowiednie do cedzenia mleka. Można je też było sprzedać za stosowną sumkę, gdyby jej chrześna córka potrzebowała kiedyś żywej gotówki. Tak, rzeczywiście dokładnie pamiętała "sitko królowej Anny" - z 1711 roku. Ze znakiem Królestwa Brytanii. O ile łatwiej było przypomnieć sobie srebrne dzbanuszki do kawy, sitka czy kubki niż same dziecko.

- Tak - powiedziała - oczywiście. Ale nie widziałam Celi od wielu lat.

- No tak. To raczej impulsywna dziewczyna - stwierdziła pani Burton-Cox. - To znaczy, ciągle ma nowe pomysły. Jest oczywiście bardzo inteligentna, dobrze jej szło na studiach, ale te jej polityczne zapatrywania... Chyba wszyscy młodzi mają teraz poglądy polityczne.

- Obawiam się, że nie mam za wiele do czynienia z polityką - wtrąciła pani Oliver, dla której polityka zawsze była przekleństwem.

- Muszę się pani zwierzyć. Wyjaśnię pani dokładnie, czego chciałabym się dowiedzieć. Na pewno nie ma pani nic przeciwko. Od tylu osób słyszałam, jak bardzo jest pani życzliwa i chętna do pomocy.

Ciekawe, czy chce pożyczyć ode mnie pieniądze, pomyślała pani Oliver. Wiele rozmów zaczynało się właśnie w ten sposób.

- Widzi pani, dla mnie to sprawa najwyższej wagi. Coś, co muszę bezwzględnie odkryć. Celia wychodzi albo przynajmniej zamierza wyjść za mojego syna Desmonda.

- Doprawdy? - rzuciła pani Oliver.

- Takie w każdym razie ma obecnie plany. Oczywiście, zawsze lepiej wiedzieć jak najwięcej o bliźnich. I właśnie czegoś chciałabym się dowiedzieć. Samo pytanie jest dość niezwykle i nie mogłabym, w każdym razie nie za bardzo, zapytać kogoś obcego. Ale pani, droga pani Oliver, nie uważam za obcą.

A szkoda, pomyślała pani Oliver. Zaczynała się denerwować. Zastanawiała się, czy Celia nie ma nieślubnego dziecka albo nie zamierza go mieć, i czy ona, pani Oliver, powinna o tym wiedzieć i przedstawić szczegóły. Byłoby to bardzo niezręczne. Z drugiej strony, kontynuowała swe rozważania pani Oliver, nie widziałam jej od pięciu czy sześciu lat, więc teraz musi mieć dwadzieścia pięć, może sześć. W takim razie mogę przecież powiedzieć, że o niczym nie wiem.

Pani Burton-Cox nachyliła się bliżej i ciężko westchnęła.

- Jestem pewna, że pani o wszystkim wie albo domyśla się, jak do tego doszło. Czy to jej matka zabiła ojca czy raczej ojciec zabił matkę?

Czegoś podobnego Ariadna Oliver nie mogła się spodziewać. Wpatrzyła się w panią Burton-Cox z niedowierzaniem.

- Ależ ja nie... - przerwała. - Ja... ja nie rozumiem. To znaczy... z jakich powodów...?

- Droga pani Oliver, pani musi wiedzieć... Taka znana sprawa... Oczywiście, wiem, minęło wiele lat, chyba dziesięć, dwanaście co najmniej, ale wtedy ich śmierć wzbudziła wiele rozgłosu. Na pewno pani pamięta, Pani musi pamiętać.

Pani Oliver szukała desperacko w pamięci. Celia jest jej córką chrzestną. To prawda. Matka Celi... tak, oczywiście: jej matką była Molly Preston-Grey, znajoma pani Oliver, choć niezbyt bliska. Wyszła za jakiegoś oficera. Jak brzmiało jego nazwisko? Tak, sir Jakiśtam Ravenscroft. A może był ambasadorem? Niesamowite, że takich rzeczy nigdy się nie pamięta. Nie pamiętała nawet, czy była drużną na ślubie Molly. Tak przypuszczała. Całkiem wytworny ślub w Guards Chapel. Chyba. Tyle się zapomina. Nie widzieli się przez wiele lat - Ravenscroftowie gdzieś wyjechali. Na Bliski Wschód? Do Persji? Iraku? Może do Egiptu lub

na Malaje? Spotykała ich czasem, bardzo rzadko, kiedy wracali do Anglii. Przypominali fotografie zrobione dawno temu i czasem oglądane. Sylwetki wydają się znajome, ale tak wyblakłe wraz z upływem lat, że nie można ich rozpoznać ani przypomnieć sobie, kim byli. A teraz pani Oliver nie potrafiła sobie przypomnieć, czy sir Jakiśtam Ravenscroft i lady Ravenscroft, z domu Molly Preston-Grey, znaczyli wiele w jej życiu. Raczej nie. Choć dawniej... pani Burton-Cox wciąż na nią patrzyła. Jakby rozczarowana brakiem *savoir-faire*² pani Oliver, niemożnością przypomnienia sobie tego, co najwyraźniej było *cause celebre*³.

- Zabici? Ma pani na myśli wypadek?

- Och nie. Żaden wypadek. To stało się w jednym z tych nadmorskich domów. Chyba w Kornwalii. Gdzieś, gdzie są skały. Mieli tam dom. Oboje znaleziono nad urwiskiem, zastrzelonych. Policja nie mogła stwierdzić, czy to żona zabiła męża, a potem siebie, czy też mąż zastrzelił najpierw żonę, a siebie potem. Zbadano kule i tak dalej, sama pani wie, ale sprawa okazała się bardzo trudna. Policja uważała, że było to podwójne samobójstwo. Nie pamiętam wyniku śledztwa. Chyba nieszczęśliwy wypadek. Ale oczywiście wszyscy wiedzieli, o co chodziło. Krążyło wiele historyjek...

- Prawdopodobnie wszystkie zmyślane - zauważyła z nadzieją pani Oliver, usiłując przypomnieć sobie przynajmniej jedną z nich.

- Cóż, może. Być może. Trudno powiedzieć. Mówiono o kłótni, do której doszło tamtego dnia lub dzień wcześniej. Mówiono też o innym mężczyźnie, no i oczywiście o innej kobiecie. Nigdy nie wiadomo, która strona zawiniła. Myślę, że sprawę zatuszowano ze względu na wysoką pozycję generała Ravenscrofta. Wspominano chyba, że leczył się tamtego roku w prywatnej klinice. Przeszedł jakieś załamanie i nie całkiem odpowiadał za swoje czyny.

- Niestety, ale obawiam się - powiedziała pani Oliver zdecydowanym tonem - że nic o tym nie wiem. Pani słowa przypomniały mi samą sprawę: pamiętam nazwiska, rzeczywiście znałam Ravenscroftów. ale nigdy nie wiedziałam, co się naprawdę stało. Nie mam najmniejszego pojęcia...

I doprawdy, pomyślała żalując, że nie ma dość odwagi, by to powiedzieć na głos, że też jest pani na tyle impertynencka, by zadawać mi takie pytanie!

- To dla mnie bardzo ważne - oświadczyła pani Burton-Cox. - Zmrużyła twarde jak marmur oczy. - Ważne, ponieważ mój chłopiec, mój drogi chłopiec chce poślubić Celię.

- Nie mogę pani pomóc - stwierdziła pani Oliver.

² fr. Umiejętność postępowanie

- Nigdy nic nie słyszałam.

- Ależ pani musi wiedzieć - upierała się pani Burton-Cox. - Pisze pani swoje wspaniałe historie i wie wszystko o zbrodni. Wie pani, kto popełnił przestępstwo i dlaczego. Na pewno mnóstwo ludzi zawiera pani swoje sekrety. Przecież ciągle myśli się o takich sprawach.

- Nic nie wiem - powtórzyła pani Oliver tonem, w którym nie pozostało już wiele uprzejmości, natomiast pobrzmiwał spory niesmak.

- Ale przecież widzi pani, że nie mam do kogo pójść? Nie mogłabym iść na policję po tylu latach. I tak nic by mi nie powiedzieli, skoro najwyraźniej próbowali wszystko zatuszować. A ja uważam, że trzeba dojść prawdy.

- Ja tylko piszę książki - powiedziała pani Oliver chłodno. - Są od początku do końca zmyślane. Osobiście nic nie wiem o zbrodni i nie mam zdania na temat kryminologii. Tak więc obawiam się, że w żaden sposób pani nie pomogę.

- Ale mogłaby pani zapytać swoją chrześną córkę. Mogłaby pani spytać Celię.

- Spytać Celię! - Pani Oliver spojrzała na rozmówczynię zszokowana. - Nie wyobrażam sobie, bym mogła to zrobić. Ona... przecież była dzieckiem, kiedy doszło do tragedii.

- Mimo to sądzę, że wiedziała o wszystkim - upierała się pani Burton-Cox. - Dzieci zawsze wszystko wiedzą. Na pewno by pani powiedziała.

- Będzie lepiej, jeśli sama ją pani zapyta.

- Nie mogłabym - stwierdziła pani Burton-Cox. - Rozumie pani, to raczej nie podobałoby się Desmondowi. On jest dość... dość drażliwy, jeżeli chodzi o Celię. i nie sądzę... nie. Na pewno wszystko opowie pani.

- Nawet nie powinnam o tym myśleć - powiedziała pani Oliver. Udała, że patrzy na zegarek. - Och, mój Boże, ależ długo trwał ten wspaniały obiad. Muszę już lecieć, mam bardzo ważne spotkanie. Do widzenia, pani... mhm... Bedley-Cox, tak mi przykro, że nie mogę pani pomóc, ale sprawa jest raczej delikatnej natury i... w sumie czy to, kto kogo zabił, ma jakieś znaczenie dla pani?

- Ależ to ma podstawowe znaczenie.

W tej chwili obok przeszła pisarka, którą pani Oliver bardzo dobrze знаła.

- Louise, moja droga, jak miło cię widzieć. Nie zauważyłam cię wcześniej.

- Och, Ariadno, tyle lat się nie widziałyśmy! Chyba bardzo wyszczuplałaś?

³ fr. Głośna sprawa

- Zawsze mówisz mi takie miłe rzeczy - powiedziała pani Oliver, biorąc znajomą pod rękę i oddalając się od kozetki. - Muszę pędzić na spotkanie.

- Nie mogłaś pozbyć się tej okropnej kobiety? - spytała jej przyjaciółka, spoglądając na panią Burton-Cox nad ramieniem Ariadny.

- Stawiała niezwykle pytania - wyjaśniła pani Oliver.

- Ach tak. I wiedziałaś, jak na nie odpowiedzieć?

- Nie. Zresztą i tak nie dotyczyły mnie. Nic nie wiedziałam. A nawet gdyby... i tak nie odpowiedziałabym.

- Chodziło o coś interesującego?

- Tak sądzę - zgodziła się pani Oliver, a w jej głowie pojawił się pewien pomysł. - To mogłoby być ciekawe, tylko że...

- Ta kobieta wstaje, żeby cię ściagać - powiedziała znajoma. - Chodźmy. Odprowadzę cię i podwożę dokąd zechcesz, jeśli nie masz tu swojego samochodu.

- Nigdy nie jeżdżę samochodem po Londynie. Trudno znaleźć miejsce do parkowania.

- Wiem. Można się zabić.

Pani Oliver pożegnała się z resztą gości. Podziękowała i wyraziła, jak było jej miło. Teraz jechały wokół londyńskiego placu.

- Eaton Terrace, prawda? - spytała jej życzliwa znajoma.

- Tak - odrzekła pani Oliver - ale muszę pójść do... chyba do Whitefriars Mansions. Nie całkiem pamiętam nazwę, ale wiem, gdzie to jest.

- Ach, bloki. Dość nowoczesne. Kwadratowe, geometryczne bryły.

- Zgadza się - przytaknęła pani Oliver.

ROZDZIAŁ DRUGI

Słonie występują po raz pierwszy

Ponieważ pani Oliver nie zastała swojego przyjaciela Herkulesa Poirota w domu, musiała uciec się do rozmowy telefonicznej.

- Czy przypadkiem zamierza pan pozostać dziś wieczór u siebie? - spytała.

Siedziała przy aparacie, nerwowo bębniąc palcami o blat stolika.

- Czyżby to...

- Ariadna Oliver - powiedziała pani Oliver. Zawsze dziwiło ją, że musi się przedstawiać, ponieważ oczekiwała, że wszyscy przyjaciele rozpoznają jej głos, gdy tylko go usłyszą.

- Tak, będę w domu przez cały wieczór. Czy to oznacza, że spotka mnie przyjemność goszczenia pani?

- Jak miło, że tak pan to ujmuje - ucieszyła się pani Oliver. - Nie wiem, czy będzie to przyjemność.

- Panią zawsze miło jest zobaczyć, *chere madame*⁴.

- No, nie wiem. Chyba będę musiała... chyba będę zawracać panu głowę. Pytać. Chcę dowiedzieć się, co pan myśli.

- To jestem zawsze gotów powiedzieć każdemu - odrzekł Poirot.

- Coś się wydarzyło - ciągnęła pani Oliver. - Sprawa jest raczej kłopotliwa i nie wiem, w z nią zrobić.

- I dlatego mnie pani odwiedzi. To mi pochlebia. Bardzo pochlebia.

- Która godzina odpowiada panu? - spytała pani Oliver.

- Dziewiąta? Wypijemy razem kawę, chyba że woli pani grenadine albo *sirop de cassis*⁵. Ale nie, pani tego nie lubi. Pamiętam.

- George - powiedział Poirot do swego nieocenionego lokaja - wieczorem czeka nas przyjemność wizyty pani Oliver. Kawa, jak przypuszczam, i jakiś likier. Nigdy nie jestem pewien, co ona lubi.

- Widziałem, jak piła wiśniówkę, sir.

⁴ fr. Droga pani

⁵ fr. Likier z czarnej porzeczki

- A także, jak sądzę, creme de menthe⁶. Ale raczej woli wiśniówkę. Bardzo dobrze - powiedział Poirot.

- Niech będzie wiśniówka.

Pani Oliver przyszła punktualnie. Jedząc obiad Poirot zastanawiał się, co skłoniło przyjaciółkę do złożenia mu wizyty i dlaczego trapiły ją wątpliwości. Czy ma dla niego jakiś skomplikowany problem, czy też powiadomi go o przestępstwie? W wypadku pani Oliver, jak Poirot dobrze wiedział, mogło chodzić o wszystko: o sprawy najpowszedniejsze i najbardziej niezwykle. Wszystkie, można by rzec, pasowały do niej. Uznał, że coś ją martwi. Co tam, powiedział sobie Herkules Poirot, poradzi sobie z panią Oliver. Zawsze potrafił sobie z nią radzić. Czasami doprowadzała go do obłędu. A jednocześnie był do niej bardzo przywiązany. Łączyło ich wiele doświadczeń i przygód. Nie dalej jak dziś rano czytał o niej w gazecie - a może to była wieczorna prasa? Musi sobie przypomnieć, zanim pani Oliver się zjawi. Właśnie tym się zajmował, kiedy lokaj obwieścił jej przybycie.

Weszła do pokoju i Poirot od razu pomyślał, że postawił prawidłową diagnozę. Wyszukana fryzura pani Oliver została zburzona, ponieważ pisarka nerwowo przeciągała po włosach dłonią, jak czasem miała w zwyczaju. Powitał ją z wszelkimi oznakami przyjemności, posadził na krzesło, nalał kawy i wręczył kieliszek wiśniówki.

- Ach! - wykrzyknęła pani Oliver z miną kogoś, kto znalazł wreszcie wytchnienie. - Wiem, iż pomyśli pan, że jestem strasznie głupia, ale...

- Przeczytałem w prasie, że dziś brała pani udział w literackim obiedzie. Słynne pisarki. Coś w tym rodzaju. Myślałem, że nigdy pani tego nie robi.

- Zazwyczaj nie - przyznała pani Oliver. - I nie zrobię tego nigdy więcej.

- Ach. Musiała się pani bardzo nacierpieć? - Poirot był pełen współczucia.

Wiedział, co wprawia panią Oliver w zakłopotanie. Przesadne wychwalanie jej książek zawsze wytrącało ją z równowagi, ponieważ, jak kiedyś mu wyznała, nigdy nie wie, co powinna odpowiedzieć.

- Nie bawiła się pani dobrze?

- Do pewnego momentu nawet tak - odparła pani Oliver. - A potem wydarzyło się coś kłopotliwego.

- Aha. I w tej sprawie musiała się pani ze mną zobaczyć.

- Tak, chociaż sama nie wiem, dlaczego. To znaczy, to nie ma nic wspólnego z panem

⁶ fr. Likier miętowy

i nie należy do gatunku spraw, które pana interesują. Mnie samą niezbyt to interesuje. Chociaż chyba musi, bo przecież inaczej nic przyszedłbym zapytać, co pan o tym sądzi. Dowiedzieć się, co pan by zrobił na moim miejscu.

- To bardzo trudne pytanie - zauważył Poirot. - Wiem jak ja, Herkules Poirot, zachowałbym się w każdej sytuacji, ale nie wiem, jak zachowałaby się pani, mimo iż panią znam.

- Musi pan, po tak długim czasie - stwierdziła pani Oliver. - Zna mnie pan od dość dawna.

- Jakieś... dwadzieścia lat?

- Och, nie wiem. Nigdy nie pamiętam lat ani dat. Mieszają mi się. Pamiętam rok 1939, bo wtedy zaczęła się wojna i pamiętam parę innych dat z dość dziwacznych powodów.

- Tak czy owak, poszła pani na obiad literatów. I niezbyt dobrze się pani bawiła.

- Obiad był bardzo przyjemny, ale potem...

- Ludzie mówili pani różne rzeczy - dokończył Poirot życzliwie, jak lekarz pytający się o objawy choroby.

- Właśnie się szykowali. Nagle dopadła mnie jedna z tych dużych, apodyktycznych kobiet, którym zawsze udaje się zdominować otoczenie i które bardziej niż ktokolwiek inny sprawiają, że czuję się niezręcznie. Zupełnie jakby łapała motyla, brakowało jej tylko siatki. Osaczyła mnie, wepchnęła na kozetkę i zaczęła mówić o mojej chrestnej córce.

- Ach tak. Lubi pani tę córkę?

- Nie widziałam jej od wielu lat. Nie mogę utrzymywać kontaktów ze wszystkimi. A potem zadała mi bardzo kłopotliwe pytanie. Chciała, żebym... mój Boże, tak trudno mi o tym mówić...

- Wcale nie - powiedział ciepło Poirot. - To całkiem proste. Każdy wcześniej czy później mówi mi wszystko. Jestem tylko obcokrajowcem, więc to nie ma znaczenia. To proste, ponieważ jestem obcokrajowcem.

- Rzeczywiście łatwo jest zwierzać się panu - przytaknęła pani Oliver. - Zapytała mnie o rodziców dziewczyny. Spytała, czy to matka zabiła jej ojca, czy ojciec zabił jej matkę.

- Słucham? - nie zrozumiał Poirot.

- Wiem, że to brzmi kretyńsko. To zresztą jest kretyństwo.

- Czy matka pani chrestnej córki zabiła jej ojca, czy ojciec zabił jej matkę?

- Dokładnie - powiedziała pani Oliver.

- Ale czy to się stało? Czy jej ojciec zabił jej matkę albo matka zabiła ojca?

- Oboje znaleziono zastrzelonych - wyjaśniła pani Oliver. - Na szczycie urwiska. Nie

pamiętam, czy chodziło o Kornwalię, czy o Korsykę. Gdzieś tam.

- W takim razie to, co powiedziała, było prawdą?

- Och tak, ta część była prawdziwa. To stało się wiele lat temu. Ale dlaczego przysłała z tym do mnie?

- Wszystko dlatego, że pisze pani kryminały - stwierdził Poirot. - Na pewno powiedziała, że wie pani wszystko o zbrodni. Chodziło więc o autentyczne zdarzenie?

- Tak. To nie było jak "co zrobiłby A" albo jaka byłaby właściwa procedura, gdyby twoja matka zabiła twojego ojca lub twój ojciec zabił twoją matkę". Nie, to się wydarzyło naprawdę. Chyba będzie lepiej, jak wszystko panu opowiem. Nie pamiętam dokładnie, ale sprawa była głośna w swoim czasie. To znaczy, co najmniej dwanaście lat temu. Jak mówiłam, pamiętam nazwiska tych ludzi, ponieważ to byli moi znajomi. Chodziłam do jednej szkoły z żoną i znałam ją dość dobrze. Przyjaźniłyśmy się. Morderstwo było głośną sprawą, pisały o nim gazety. Sir Alistair Ravenscroft i lady Ravenscroft. Bardzo szczęśliwe małżeństwo. On był pułkownikiem czy generałem. Zjeździli cały świat. A potem kupili gdzieś dom. Chyba za granicą, ale nie pamiętam dokładnie gdzie. I nagle w gazetach pojawiły się artykuły o morderstwie. Czy zabił ich ktoś obcy, czy zamordowano ich, czy zabili się nawzajem. W domu od wieków leżał chyba rewolwer... Najlepiej, jak powiem panu wszystko, co pamiętam.

Pani Oliver skupiła się i zdołała przedstawić Poirotowi mniej więcej ściśle *resume*⁷ tego, co usłyszała. Od czasu do czasu Poirot zadawał jakieś pytanie.

- Ale dlaczego? - zastanowił się na koniec. - Dlaczego ta kobieta chciała to wiedzieć?

- To właśnie muszę odkryć - powiedziała pani Oliver. - Mogłabym skontaktować się z Celią. Nadal mieszka w Londynie. A może w Oksfordzie albo w Cambridge? Zdaje się, że skończyła studia i wykłada gdzieś albo uczy... W każdym razie czymś takim się zajmuje. Jest bardzo nowoczesna. Spotyka się z długowłosymi ludźmi w dziwacznych strojach. Raczej nie bierze narkotyków. Miewa się dobrze. Od czasu do czasu dostaję od niej jakąś wiadomość. Przysyła mi kartkę na Boże Narodzenie. Nikt nie myśli na okrągło o swoich chrześniakach, a ona ma już dwadzieścia pięć czy sześć lat.

- Nie wyszła za mąż?

- Nie. Najwyraźniej zamierza to zrobić. Chce poślubić syna pani... Jakże nazywa się ta kobieta? Ach, tak, pani Brittie... nie. Pani Burton-Cox.

- A pani Burton-Cox nie chce, by jej syn ją poślubił, ponieważ ojciec dziewczyny

⁷ fr. Podsumowanie, streszczenie

zabił jej matkę albo matka zabiła ojca?

- Tak przypuszczam - przytaknęła pani Oliver.

- Jakie ma znaczenie, kto to zrobił? Jeśli jedno z rodziców zabiło drugie, czy naprawdę dla matki przyszłego męża powinno liczyć się, kto zabił kogo?

- Nad tym właśnie można by się zastanowić - stwierdził Poirot. - To... wie pani, to nawet całkiem interesujące. Co nie znaczy, iżby sprawa sir Alistaira Ravenscrofta i lady Ravenscroft była ciekawa. Chyba niejasno przypominam sobie podobny przypadek, choć raczej chodziło o inną sprawę. Natomiast zachowanie pani Burton-Cox jest dziwne. Może to osoba troszkę przewrażliwiona? Czy bardzo przywiązana jest do syna?

- Prawdopodobnie - odrzekła pani Oliver. - Prawdopodobnie w ogóle nie chce, by poślubił dziewczynę.

- Ponieważ mogła odziedziczyć skłonności po rodzicach i zabije człowieka, którego poślubi. Czy tak?

- Skąd mam wiedzieć? - spytała pani Oliver. - Ona najwyraźniej uważa, że znam odpowiedź. Nawet nie podała mi dość informacji. Ale dlaczego, jak pan myśli? Co się za tym kryje? O co tu chodzi?

- Odkrycie przyczyn byłoby niemal interesujące - powiedział Poirot.

- Dlatego przyszedłam do pana - powiedziała pani Oliver. - Pan lubi odkrywać tajemnice. Powody, których początkowo nie widać. To znaczy nikt ich nie widzi.

- Czy pani Burton-Cox może mieć jakieś preferencje? - spytał Poirot.

- To znaczy czy wolałaby, żeby na przykład to mąż zabił żonę? Raczej nie.

- Cóż - powiedział Poirot - rozumiem, w czym leży pani problem. Jest bardzo intrygujący. Wraca pani do domu po przyjęciu. Poproszono panią o zrobienie czegoś bardzo trudnego, niemal niemożliwego, a pani zastanawia się, jak należałoby postąpić.

- A pańskim zdaniem jak? - spytała pani Oliver.

- Nie jest mi łatwo odpowiedzieć - zaczął Poirot. - Nie jestem kobietą. Nieznana osoba, którą spotkała pani ma przyjęciu, przedstawiła pani problem, poprosiła o rozwiązanie go, nie podając żadnego usprawiedliwienia.

- Dokładnie. I co robi Ariadna? Innymi słowy, co robi A, gdyby przeczytał pan o sprawie w gazecie?

- Przypuszczam - odrzekł Poirot - że A mógłby zrobić trzy rzeczy. Mógłby napisać kartkę do pani Burton-Cox. Coś w sensie: "Jest mi niezmiernie przykro, ale w tej sprawie nie mogę służyć pani pomocą". Plan B: kontaktuje się pani z chrzestną córką i przekazuje jej, o co prosiła panią matka chłopca czy młodego mężczyzny, którego dziewczyna zamierza

poślubić. Sprawdzi pani, czy naprawdę planuje wyjść za niego. Jeśli tak, to czy młody człowiek wspomniał jej, co trapi jego matkę. Inne interesujące kwestie, to co dziewczyna myśli o matce swojego chłopca. Po trzecie, i to właśnie doradzam, mogłaby pani...

- Wiem - wtrąciła pani Oliver. - Trzy słowa.

- Nic nie robić - dokończył Poirot.

- Właśnie - powiedziała pani Oliver. - Wiem, że to proste i właściwe rozwiązanie. Nie robić nic. Trzeba by mieć tupet, żeby powiedzieć dziewczynie, która jest moją chrzestną córką, o czym rozповіда jej przyszła teściowa i o co pyta na prawo i lewo. Ale...

- Wiem - przerwał Poirot. - Ciekawość.

- Chcę dowiedzieć się, dlaczego ta odpychająca kobieta przyszła do mnie i powiedziała mi to, co powiedziała. Kiedy się tego dowiem, będę mogła odetchnąć i zapomnieć o sprawie. Ale dopóki się nie dowiem...

- Tak - uzupełnił Poirot. - Nie będzie pani mogła zasnąć. Obudzi się pani w środku nocy i, o ile panią znam, zacznie snuć najbardziej nieoczekiwane i nieprawdopodobne teorie i zmieniać je w arcyciekawą powieść detektywistyczną. Kryminał. Dreszczowiec. Co tylko możliwe.

- Chyba mogłabym, gdybym myślała o tym w ten sposób - powiedziała pani Oliver, a jej oczy lekko rozbłyły.

- Proszę o tym zapomnieć - doradził Poirot. - Wątek byłby niezwykle trudny. Wygląda na to, że całość nie ma żadnej uzasadnionej przyczyny.

- Ale ja chciałabym upewnić się, że takiej przyczyny nie ma.

- Ciekawość. To bardzo intrygujące uczucie. - Poirot westchnął. - Pomyśleć tylko, ile zawdzięcza mu historia. Ciekawość. Nie wiem, kto ją wymyślił. Zwykle łączy się ją z piekłem. Ciekawość - pierwszy stopień do piekła. Sam uważam, że ciekawość wymyślili Grecy. Chcieli wiedzieć. O ile wiem, przed nimi nikt nie pragnął wiedzieć zbyt wiele. Chciano jedynie znać prawa obowiązujące w danym kraju i wiedzieć, jak uniknąć ścięcia czy wbicia na pał, czy czegokolwiek niezbyt przyjemnego, co mogło się przydarzyć poddanemu. Albo przestrzegano praw, albo nie. Ale nikt nie chciał wiedzieć, dlaczego. Od tamtych czasów wielu postawiło to pytanie i wiele stało się z tej przyczyny. Łodzie, pociągi, aeroplany, bomba atomowa, penicylina i leki na najprzeróżniejsze choroby. Mały chłopiec obserwuje parę unoszącą pokrywkę nad czajnikiem mamy. A potem są już pociągi i, w konsekwencji, strajki kolejarzy. I tak dalej.

- Proszę mi powiedzieć - zaczęła pani Oliver - czy uważa mnie pan za okropnie wścibską babę?

- Nie, nie uważam - odrzekł Poirot. - W sumie nie uważam pani za osobę ciekawską. Ale doskonale wiem, że na przyjęciu dla literatów wpadła pani w panikę, broniąc się gorączkowo przed uprzejmościami i peanami na pani cześć. W efekcie znalazła się pani w kłopotliwym położeniu i zapalała niechęcią do osoby, która za to odpowiada.

- Tak, to bardzo męcząca i niemiła kobieta.

- To morderstwo z przeszłości. Małżonkowie, którzy dobrze ze sobą żyli i nigdy się nie sprzeciali. Według pani, nikt nie znał przyczyny?

- Zastrzelono ich. Tak, zastrzelono. Możliwe, że razem popełnili samobójstwo. Tak chyba uważała na początku policja. Oczywiście, trudno coś odkryć po tylu latach.

- O tak - powiedział Poirot. - Myślę, że ja mógłbym coś odkryć.

- Poprzez pańskich ekscytujących znajomych?

- Raczej nie nazwałbym ich ekscytującymi znajomymi. Na pewno wiele wiedzą, mają dostęp do kartotek, mogą sprawdzić ówczesne zeznania i umożliwić mi dostęp do pewnych źródeł.

- Odkryje pan wszystko - powiedziała pani Oliver z nadzieją - i potem mi opowie.

- Tak - przyznał Poirot. - Myślę, że przynajmniej mógłbym przedstawić pani wszystkie fakty. Choć zabierze to trochę czasu.

- Jeśli pan się tym zajmie, a właśnie o to mi chodziło, to i ja powinnam coś zrobić. Muszę zobaczyć się z dziewczyną. Muszę sprawdzić, czy ona wie cokolwiek i czy chce, żebym dała porządną odprawę jej przyszłej teściowej. Może jest też jakikolwiek inny sposób, w jaki mogłabym jej pomóc. I chcę też zobaczyć chłopca, którego ma poślubić.

- Bardzo dobrze - ocenił Poirot. - Doskonale.

- I przypuszczam, że są ludzie... - urwała i zmarszczyła brwi.

- Nie sądzę, by miała pani wiele pożytku z ludzi - powiedział Poirot. - To sprawa z przeszłości.

W swoim czasie być może *cause celebre*. Ale czym w sumie jest *cause celebre*, jeśli się zastanowić? Chyba że dochodzi do zdumiewającego *denonement*,⁸ co tu nie miało zastosowania. Nikt już nie pamięta.

- Nie - przyznała pani Oliver. - To prawda. Dużo pisano w gazetach i dyskutowano, ale z czasem sprawa po prostu straciła znaczenie. To normalne dzisiaj. Jak z tą dziewczyną parę dni temu. Wie pan, wyszła z domu i nigdzie nie można jej było znaleźć. To stało się pięć czy sześć lat wcześniej, a potem mały chłopiec, który bawił się w kupie piachu czy żwiru,

⁸ fr. rozwiązanie

natknął się na jej ciało. W pięć albo sześć lat później.

- To prawda - powiedział Poirot. - I prawdą jest, że po sekcji zwłok i określeniu, ile czasu minęło od śmierci i co stało się w dniu, kiedy ofiara zginęła, jeśli cofniemy się w przeszłość i sprawdzimy poszczególne wydarzenia zapisane w kartotekach, w końcu można odkryć mordercę. W przypadku Ravenscroftów będzie to jednak trudniejsze, ponieważ możliwe są dwie odpowiedzi: albo że mąż nie przepadał za żoną i chciał się jej pozbyć, albo że żona nie cierpiała męża lub miała kochanka. Mogła to być albo zbrodnia w afekcie, albo coś zupełnie odmiennego. A może po prostu nie ma nic do odkrycia. Skoro policja nie poradziła sobie wówczas, to najwyraźniej trudno było znaleźć motyw zbrodni. W efekcie sprawa pozostała jednodniową sensacją.

- Chyba mogę odwiedzić córkę. Może o to chodziło tej antypatycznej kobiecie, może tego właśnie chciała ode mnie. Sądziła, że córka wie. Cóż, może i wie. Wie pan, jak to dzieci. One wiedzą wręcz niezwykle rzeczy.

- Wie pani może, ile lat miała wówczas pani chrzestna córka?

- Musiałabym się zastanowić. Nie powiem panu tak od razu. Mogła mieć dziewięć lub dziesięć lat, ale mogła też być starsza, nie jestem pewna. Chyba wyjechała wtedy do szkoły. Chociaż może sama to sobie wymyśliłam.

- Lecz uważa pani, że pani Burton-Cox życzy sobie, by zdobyła pani informacje od córki? Być może pani chrzestna córka coś wie, być może powiedziała coś Desmondowi, a on napomknął matce. Sądzę, że pani Burton-Cox sama próbowała wypytać dziewczynę i została odprawiona. Pomyślała więc, że słynna pani Oliver, chrzestna matka dziewczyny, posiadająca przy tym pełną wiedzę kryminologiczną, mogłaby uzyskać informacje. Choć nada! nie rozumiem, jakie to mogłoby mieć dla niej znaczenie. - Poirot zastanowił się. - I nie wydaje mi się, żeby osoby zwane przez panią "ludźmi" mogły pomóc po tak długim czasie - dodał.

- Kto by pamiętał?

- W tym przypadku uważam, że mogą - powiedziała pani Oliver.

- Zdziwiał mnie pani. - Poirot popatrzył na nią zaskoczony. - A więc ludzie pamiętają?

- Właściwie - zaczęła pani Oliver - myślałam o słoniach.

- Słoniach?

Jak często przedtem, Poirot pomyślał, że pani Oliver jest po prostu nieobliczalna. Skąd raptem słonie?

- Myślałam o słoniach na wczorajszym obiedzie - powiedziała pani Oliver.

- Dlaczego myślała pani o słoniach? - spytał zaciekawiony Poirot.

- Dokładnie to myślałam o zębach. Wie pan, kiedy próbuje się coś zjeść, a ma się sztuczną szczękę... nie jest to zbyt łatwe. Trzeba wiedzieć, co wolno i czego nie wolno jeść.

- Ach! - Poirot westchnął głęboko. - Tak, tak, dentyści mogą wiele pomóc, ale nie są w stanie zrobić wszystkiego.

- Właśnie. A potem pomyślałam, że nasze zęby to zwykła kość, nie są więc zbyt mocne. I jak miło byłoby być psem, który ma prawdziwe kły, a potem pomyślałam o morsach i... i tak dalej. I o słońiach. Bo kiedy myśli się o kłach, to zaraz przychodzą na myśl słonie, prawda? Wspaniale, wielkie kły z kości słoniowej.

- To prawda - odrzekł Poirot, nadal nie rozumiejąc, o czym pani Oliver właściwie mówi.

- Więc pomyślałam sobie, że musimy dotrzeć do ludzi, którzy są jak słonie. Ponieważ słonie, jak to się mówi, mają dobrą pamięć.

- Tak, słyszałem ten zwrot - przyznał Poirot.

- Słonie mają dobrą pamięć - powtórzyła pani Oliver. - Zna pan pewną bajkę, na której wychowują się dzieci? O tym, jak pewien hinduski krawiec wbił igłę czy coś takiego w kiel słonia. Nie, nie w kiel, w trąbę, oczywiście, wbił ją słoniowi w trąbę. A kiedy słon spotkał krawca następnym razem, miał trąbę pełną wody i wylał całą na krawca, choć nie widział go od kilku lat. Nie zapomniał. Pamiętał. O to właśnie chodzi. Słonie nie zapominają. Muszę więc znaleźć parę słoni.

- Nie jestem pewien, czy do końca zrozumiałem, o co pani chodzi - powiedział Herkules Poirot. - Kogo pani zalicza do słoni? Brzmi to tak, jakby miała pani zamiar udać się po informacje do zoo.

- To nie całkiem tak - zaczęła pani Oliver. - Nie chodzi mi o słonie jako słonie, ale o to, w czym ludzie słonie przypominają. Niektórzy ludzie naprawdę mają dobrą pamięć. Pamiętają różne dziwaczne rzeczy, ja na przykład pamiętam sporo spraw bardzo dobrze. Wydarzenia... Pamiętam przyjęcie urodzinowe na moje piąte urodziny i ciasto z goździkami, wspaniałe ciasto z goździkami. Na środku był ptaszek z cukru. I pamiętam dzień, kiedy uciekł mój kanarek, a ja płakałam. I pamiętam inny, kiedy weszłam na pole, a tam stał byk, i ktoś powiedział, że mnie ubodzie, a ja byłam przerażona i chciałam uciec. Całkiem dobrze to pamiętam. To był wtorek. Nie wiem, dlaczego zapamiętałam, że to był wtorek, ale był. I pamiętam cudowny piknik z jeżynami. Pamiętam, że okropnie się pokłulałam, ale zebrałam więcej jeżyn niż inni. To było wspaniałe! Wtedy miałam chyba dziewięć lat. Chodziłam na setki ślubów, ale patrząc w przeszłość pamiętam dokładnie tylko dwa. Na jednym byłam druhną. Odbывał się w New Forest, to pamiętam, ale nie przypominam sobie gości. To był

chyba ślub jakiejś mojej kuzynki. Nie znałam jej za dobrze, ale chciała mieć mnóstwo druchen, a ja, no cóż, byłam pod ręką, jak sądzę. I pamiętam drugi ślub. To był mój znajomy z marynarki. Prawie utonął w łodzi podwodnej, ale uratowano go. A potem była sprawa z dziewczyną, z którą się zaręczył. Jej rodzina nie chciała, żeby za niego wyszła, ale w końcu pobrali się, a ja byłam jedną z druchen. Chodzi mi o to, że zawsze zapamiętuje się pewne rzeczy.

- Rozumiem - powiedział Poirot. - Interesujące. Więc wyruszy pani *a la recherche des elephants?*⁹

- Właśnie. Muszę ustalić dokładną datę.

- W tym akurat chyba będę mógł pani pomóc - powiedział Poirot.

- A potem przypomnę sobie ludzi, których znałam wtedy, ludzi, których być może znałam i którzy mieli tych samych znajomych co ja. Ci znajomi mogli znać generała i jego żonę. Mogli spotkać za granicą kogoś, kogo ja też znam, ale nie widziałam od lat. Mogę odwiedzić ludzi, których od dawna nie spotkałam. Bo, wie pan, zawsze miło jest zobaczyć kogoś z przeszłości, nawet jeśli nie pamięta się go za dobrze. A potem rozmawia się oczywiście o wydarzeniach sprzed lat.

- Bardzo interesujące - ocenił Poirot. - Myślę, że jest pani bardzo dobrze przygotowana do zadania, które sobie pani wyznaczyła. Ludzie, którzy znali Ravenscroftów dobrze lub niezbyt dobrze. Ludzie, którzy mieszkali w tej samej części świata, w której wydarzyła się cała historia, albo którzy tam właśnie przebywali. To trudniejsze, ale można chyba do nich dotrzeć. A potem można uciec się do różnych sposobów. Zacząć pogawędkę o tym, co się stało, jak sądzą, co się stało, co ktoś inny powiedział, że mogło się stać. O każdej aferze miłosnej męża czy żony, o pieniądzach, które ktoś odziedziczył. Myślę, że może pani wygrzebać wiele starych spraw.

- O mój Boże - westchnęła pani Oliver. - Chyba naprawdę wścibska baba ze mnie.

- Otrzymała pani zadanie - powiedział Poirot - nie od kogoś, kogo pani lubi, nie od kogoś, komu chciałaby pani wyświadczyć przysługę, ale od osoby, której pani nie cierpi. To nie ma znaczenia. Nadal jest to wyprawa, wyprawa w poszukiwaniu wiedzy. Kroczy pani własną drogą. To ścieżka słoni. Może słonie nie zapomniaty. *Bon voyage*¹⁰ - zakończył Herkules Poirot.

- Słucham? - powiedziała pani Oliver.

- Wysyłam panią na wyprawę odkrywczą - wyjaśnił Poirot. - *A la recherche des*

⁹ fr. Na poszukiwanie słoni

elephants.

- Chyba oszalałam - wyznała ze smutkiem pani Oliver. Ponownie przeciągnęła dłońmi po włosach, tak że wyglądała teraz jak obrazek ze starych książek o przygodach Struwelpetera. - Zamierzałam właśnie zacząć powieść o złotym charcie. Nie szło mi za dobrze. Nie mogłam rozpocząć, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

- Niech pani zapomni o złotym charcie. Proszę skupić się wyłącznie na słoniach.

¹⁰ fr. Szczęśliwej podróży

KSIĘGA PIERWSZA
SŁONIE

ROZDZIAŁ TRZECI

Ciotki Alicji przewodnik do wiedzy

- Znajdzie pani mój notes z adresami, panno Livingstone?

- Leży na pani biurku, pani Oliver. W lewym rogu.

- Nie chodzi mi o ten - odrzekła pani Oliver. - Tego używam teraz. Chodzi mi o poprzedni. Z zeszłego roku albo sprzed dwóch lat.

- Może został wyrzucony? - brzmiała sugestia panny Livingstone.

- Nie, nie wyrzucam notesów z adresami, ponieważ często okazują się potrzebne. To znaczy adresy, których nie przepisało się do nowego notesu. Chyba leży w szufladzie jednej z komód.

Panna Livingstone była nowym nabytkiem w miejsce panny Sedgwick. Ariadnie brakowało panny Sedgwick. Panna Sedgwick wiedziała tak wiele. Wiedziała na przykład, gdzie pani Oliver kładła swoje rzeczy, znała miejsca, w których je trzymała. Pamiętała nazwiska ludzi, do których pani Oliver napisała uprzejme listy i nazwiska tych, którym pani Oliver, doprowadzona do kresu wytrzymałości, wysłała listy raczej nieuprzejme. Panna Sedgwick jest, a raczej była, po prostu nieoceniona.

Była jak... jakżesz brzmiał tytuł tej książki? - pomyślała pani Oliver, cofając się pamięcią. - Już mam. Taka duża, brązowa książka. Mieli ją wszyscy za czasów królowej Wiktorii. *Zapytaj o cokolwiek*. I naprawdę można było to zrobić! Jak usunąć plamy z rdzy na bieliźnie, jak uratować zwarzony majonez, jak zacząć nieoficjalny list do biskupa. Mnóstwo spraw. *W Zapytaj o cokolwiek* było wszystko.

Wspaniałe oparcie dla wspaniałej ciotki Alicji.

Panna Sedgwick była równie dobra jak książka ciotki Alicji. Natomiast panna Livingstone należała do innego gatunku. Stała zawsze, z tą swoją długą twarzą o ziemistej cerze, i wyglądała zdecydowanie kompetentnie. Każdy rys jej twarzy mówił: "Jestem kompetentna". Ale nie była, pomyślała pani Oliver. Znała jedynie miejsca, gdzie jej poprzedni pracodawcy-pisarze trzymali swoje rzeczy i najwyraźniej uważała, że w takich samych powinna trzymać swoje pani Oliver.

- Potrzebuję - powiedziała pani Oliver ze stanowczością i determinacją rozpieszczonego dziecka - notesu z 1970 roku. A także z roku 1969. Proszę znaleźć je jak najszybciej, dobrze?

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedziała panna Livingstone.

Rozejrzała się wokół z pustym wyrazem twarzy osoby szukającej rzeczy, o której nigdy wcześniej nie słyszała, odnaleźć ją zaś może dzięki własnej kompetencji i nieoczekiwanemu uśmiechowi losu.

Jeśli nie odzyskam Sedgwick, chyba oszaleję, pomyślała pani Oliver. Nie poradzę sobie bez Sedgwick.

Panna Livingstone zaczęła wyciągać szuflady mebli stojących w tak zwanym gabinecie i pokoju pisarskim pani Oliver.

- Tu mam ostatni rok - powiedziała uszczęśliwiona panna Livingstone. - Będzie dużo bardziej aktualny, prawda? Rok 1971?

- Nie chcę 1971 - powiedziała pani Oliver.

Do głowy przyszły jej dość niejasne myśli i wspomnienia.

Panna Livingstone spojrzała wokół, najwyraźniej zatroskana.

- Tamten stół - powiedziała pani Oliver, wskazując go palcem.

- Raczej nie chowa się notesów do puszek po herbacie - stwierdziła panna Livingstone, objawiając swojej pracodawczyni życiowe prawdy.

- Owszem, chowa - powiedziała pani Oliver. - Chyba sobie przypominam.

Odsuwając na bok pannę Livingstone, podeszła do stolika z puszkami, uniosła blat i spojrzała na stos rzeczy w środku.

- No i proszę - rzuciła, zdejmując wieczko okrągłego pojemnika z papier-mache, który pierwotnie zawierał herbatę Lapsang Souchong. Wyjęła zwinięty, niewielki brązowy notes.

- Oto i on - powiedziała.

- Jest z 1968 roku, pani Oliver. Sprzed czterech lat.

- O to właśnie chodzi - powiedziała pani Oliver, ściskając notes i wracając do biurka. - To wszystko na razie, panno Livingstone, ale może pani poszukać gdzieś mojego urodzinowego albumu.

- Nie wiedziałam...

- Nie korzystam z niego obecnie - powiedziała pani Oliver - ale dawniej tak. Jest dość duży. Zaczęłam go pisać jako dziecko. Przez całe lata. Chyba leży na górze na strychu. Wie pani, w pokoju, którego używamy, kiedy na wakacje przyjeżdżają sami chłopcy albo ludzie, którym nie przeszkadza, że muszą tam zamieszkać. Będzie w sekretarzyku obok łóżka.

- Ach tak. Mam pójść i sprawdzić?

- O tym mówiłam - odrzekła pani Oliver.

Rozchmurzyła się trochę, kiedy panna Livingstone wyszła z pokoju. Pani Oliver

dokładnie zamknęła za nią drzwi, powróciła do biurka i zaczęła sprawdzać adresy na pachnących herbatą stronach pokrytych wyblakłym atramentem.

- Ravenscroft. Celia Ravenscroft. Tak. Fishacre Mews numer 14, S.W.3. To adres w Chelsea. Wtedy tam mieszkała. Potem się przeprowadziła. Coś jak Strand-on-the-Green koło Kew Bridge.

Przerzuciła parę stron.

- Tak, ten wygląda na późniejszy. Mardyke Grove. To chyba przy Fulham Road. Gdzieś tam. Czy będzie numer telefonu? Jest okropnie wytarty, ale chyba... tak, zgadza się. Flaxman... Mimo to spróbuję.

Podeszła do aparatu telefonicznego. Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzała panna Livingstone.

- Czy sądzi pani, że może...

- Znalazłam adres, którego szukałam - powiedziała pani Oliver. - Proszę szukać dalej albumu. To ważne.

- Czy mogła pani zostawić go w Sealy House?

- Nie, nie mogłam - odrzekła pani Oliver. - Proszę szukać dalej.

- I niech się pani nie spieszy - wymruczała do siebie, kiedy zamknęły się drzwi.

Wykręciła numer telefonu. Czekaając otworzyła drzwi i zawołała na górę:

- Może pani spróbować w tej hiszpańskiej skrzyni, wie pani, tej z mosiężnymi okuciami. Nie pamiętam, gdzie stoi. Chyba pod stołem w holu.

Pierwszy telefon okazał się porażką. Ariadna Oliver połączyła się z jakąś panią Smith Potter, która była zła i niechętna, i nie miała pojęcia, jaki mógł być obecny numer telefonu kogokolwiek, kto zajmował poprzednie jej mieszkanie.

Pani Oliver powróciła do studiowania notesu. Znalazła dwa następne adresy, wypisane pospiesznie nad innymi. Nie wyglądały zbyt obiecująco. Jednakże przy trzecim, spod przekreśleń, inicjałów i nazw ulic wyłaniało się nie całkiem czytelne nazwisko Ravenscroft. Głos w słuchawce przyznał się do znajomości z Celią.

- Och, tak, rzeczywiście. Ale nie mieszka tu od lat. Ostatni raz miałam od niej jakąś wiadomość chyba z Newcastle.

- Mój Boże - powiedziała pani Oliver. - Obawiam się, że nie mam tego adresu.

- Niestety, ja też go nie mam - odrzekła uprzejma dziewczyna. - Wydaje mi się, że miała pracować jako sekretarka u chirurga weterynarii.

Ta informacja nie mogła wiele pomóc. Pani Oliver próbowała dalej. Ponieważ adresy w dwóch ostatnich notesach były bezużyteczne, głębiej zanurzyła się w przeszłość. Kiedy

odnalazła najstarszy, z 1967 roku, trafiła w dziesiątkę.

- Och, szuka pani Celi - powiedział głos. - Celi Ravenscroft, prawda? Czy Finchwell?

Pani Oliver w ostatniej chwili powstrzymała się od uwagi: "Nie Finchwell i nie Foxtrot-Fitzpatrick".

- Bardzo kompetentna osoba - stwierdził głos. - Pracowała dla mnie przez ponad półtora roku. Bardzo kompetentna. Byłabym zadowolona, gdyby została dłużej. Chyba przeniosła się gdzieś na Harley Street, powinnam mieć jej adres. Niech sprawdzę. - W słuchawce zaległa długa cisza, kiedy pani X (nazwisko nieznane) sprawdzała. - Mam tu jakiś adres. Najwyraźniej gdzieś w Islington. Myśli pani, że to możliwe?

Pani Oliver odrzekła, że każdy adres byłby możliwy, zapisała go i podziękowała gorąco pani X.

- Tak trudno znaleźć czasem adresy, prawda? Zwykle znajomi wysyłają kartki. Pocztówki i tak dalej. Ja sama zawsze je gubię.

Pani Oliver odrzekła, że ona również cierpi na tę przypadłość. Wykręciła numer w Islington. Odezwał się niski głos, należący niewątpliwie do obcokrajowca.

- Pani chce, tak, co mówi? Tak, mieszka kto?

- Panna Celia Ravenscroft?

- A, tak, to prawda. Mieszka. Pokój - drugie piętro. Wyszła.

- Czy będzie później wieczorem?

- Och, będzie w domu wkrótce, myślę, bo wraca przebrać się na przyjęcie i wychodzi.

Pani Oliver podziękowała za informację i odwiesiła słuchawkę.

- Doprawdy - powiedziała do siebie, dość zła. - Te dziewczęta!

Próbowała przypomnieć sobie, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz widziała swoją chrześną córkę Celię. Kiedy spotkały się po raz ostatni? Właśnie. Celia mieszka teraz w Londynie. Jeśli jest tu jej chłopiec, wszystko do siebie pasuje. Mój ty Boże. westchnęła pani Oliver, to przyprawia mnie o ból głowy.

- Tak, panno Livingstone? - powiedziała na głos, odwracając się.

Panna Livingstone, raczej nie podobna do siebie, przystrojona licznymi pajęczynami i przysypana warstwą kurzu, stała w drzwiach dość zdenerwowana, trzymając w rękach stos zakurzonych tomów.

- Nie wiem. czy cokolwiek z tego przyda się pani, pani Oliver. Są chyba sprzed bardzo wielu lat. - Cała jej postać wyrażała dezaprobatę.

- To oczywiste - odpowiedziała pani Oliver.

- Czy chce pani, żebym szukała czegoś szczególnego?

- Raczej nie - odrzekła pani Oliver. - Jeśli położy je pani w kącie na kanapie, przejrzę je wieczorem.

Panna Livingstone, z każdą chwilą coraz bardziej pełna dezaprobaty, powiedziała:

- Dobrze, pani Oliver. Myślę, że najpierw trochę je przetrę.

- To bardzo miło z pani strony - odrzekła pani Oliver i w ostatniej chwili powstrzymała się przed dokończeniem: "I na litość boską, proszę przetrzeć i siebie. W lewym uchu ma pani garść pajęczyn".

Zerknęła na zegarek i ponownie wykreśliła numer w Islington. Głos, który odezwał się tym razem, był całkowicie anglosaski i miał w sobie pewną ostrość, która spodobała się pani Oliver.

- Panna Ravenscroft? Celia Ravenscroft?

- Tak, mówi Celia Ravenscroft.

- Raczej nie będziesz pamiętała mnie zbyt dobrze. Mówi Ariadna Oliver. Nie widziałyśmy się od dawna, ale jestem twoją chrzestną matką.

- A tak, oczywiście. Wiem. Istotnie nie widziałyśmy się od dawna.

- Zastanawiam się, czy nie mogłabym cię odwiedzić albo czy ty nie mogłabyś mnie odwiedzić, jeśli wolisz. Czy mogłabyś wpaść do mnie na herbatę lub...

- To będzie raczej trudne w tej chwili, ponieważ pracuję. Mogłabym zajrzeć wieczorem, jeśli chcesz. Między pół do ósmej a ósmą. Później mam spotkanie, ale...

- Będzie mi bardzo, bardzo miło, jeśli wpadniesz - powiedziała pani Oliver.

- Oczywiście, że wpadnę.

- Podam ci adres. - Co pani Oliver uczyniła od razu.

- Dobrze. Będę. Tak, wiem, gdzie to jest, nawet całkiem dobrze.

Pani Oliver napisała krótką notatkę w notesie z telefonami i spojrzała z irytacją na pannę Livingstone, która weszła właśnie do pokoju, uginając się pod ciężarem wielkiego albumu.

- Zastanawiam się, pani Oliver, czy to może być to?

- Nie, nie może - odrzekła pani Oliver. - W tym są przepisy kulinarne.

- O Boże - westchnęła panna Livingstone. - Rzeczywiście.

- Ale mogę je przejrzeć - powiedziała pani Oliver, zdecydowanie zabierając album. - Proszę jeszcze raz poszukać. Myślałam o kredensie z bielizną. Obok łazienki. Musi pani zajrzeć na górną półkę nad ręcznikami kąpielowymi. Czasem wtykam tam papiery i książki. Niech pani chwilkę zaczeka. Pójdę i sprawdzę sama.

Dziesięć minut później pani Oliver przeglądała wyblakły sztambuch. Panna Livingstone. osiągnąwszy najwyższy stopień męczeństwa, stała przy drzwiach. Nie będąc w stanie znieść widoku takiego cierpienia, pani Oliver odezwała się:

- W porządku. Może pani zajrzeć jeszcze do biurka w jadalni. Tego starego biurka. Tego, które jest trochę obtłuczone. Proszę sprawdzić, czy nie ma tam innych notesów. Starych. Wszystko sprzed jakichś dziesięciu lat będzie warte uwagi. Wcześniejsze notesy też. Dziś chyba nie będę już pani więcej potrzebowała.

Panna Livingstone odeszła.

- Ciekawe - powiedziała pani Oliver do siebie, siadając z głębokim westchnieniem ulgi. Zaczęła przeglądać stronicę albumu. - Kto jest bardziej zadowolony? Ona, że mogła odejść czy ja. że mogłam się jej pozbyć? Po wizycie Celi czeka mnie bardzo pracowity wieczór.

Ze stosu na stolyczku przy biurku wzięła nowy zeszyt i zaczęła sprawdzać daty, adresy i nazwiska. Poszukała w książce telefonicznej, a na koniec zadzwoniła do Herkulesa Poirota.

- Czy to pan, *monsieur* Poirot?

- Tak, droga pani, ja we własnej osobie.

- Czy zrobił pan coś? - spytała pani Oliver.

- Przepraszam, czy co zrobiłem?

- Cokolwiek - powiedziała pani Oliver - z tego, o co prosiłam pana wczoraj.

- Tak, oczywiście. Uruchomiłem bieg spraw. Przygotowałem się do przeprowadzenia pewnych badań.

- Ale jeszcze ich pan nie przeprowadził - powiedziała pani Oliver, która miała nikle pojęcie o tym, jak mężczyzna rozumie zrobienie czegoś.

- A pani, *chere madame*?

- Byłam bardzo zajęta - pochwaliła się pani Oliver.

- Aha! I co pani robiła, *madame*?

- Gromadziłam słonie - wyjaśniła pani Oliver - jeśli to cokolwiek dla pana znaczy.

- Chyba rozumiem, o czym pani mówi.

- Zagłębienie w przeszłość nie jest zbyt łatwe - stwierdziła pani Oliver. - To naprawdę zdumiewające, ile osób przypomina się, kiedy sprawdza się ich nazwiska. A te głupstwa wypisywane w sztambuchach! Nie rozumiem zupełnie dlaczego, kiedy miałam szesnaście, siedemnaście, a nawet trzydzieści lat, chciałam, żeby ludzie wpisywali mi się do albumu. Na każdy dzień roku jest cytat jakiegoś poety. Niektóre są idiotyczne.

- Posunęła się pani w śledztwie?

- Może nie posunęłam - odpowiedziała pani Oliver - ale nadal uważam, że jestem na dobrej drodze. Zadzwoiłam do mojej chrzestnej córki.

- Aha! I zamierza pani zobaczyć się z nią?

- Tak, przyjdzie do mnie. Dziś wieczór między siódmą a ósmą, o ile nie zrezygnuje. Nigdy nie wiadomo. Młodzi ludzie są bardzo nieodpowiedzialni.

- Czy wydawała się zadowolona, że pani dzwoni?

- Nie wiem - odrzekła pani Oliver. - Raczej nie bardzo. Ma bardzo ostry głos i... Teraz sobie przypominam. Ostatni raz, kiedy ją widziałam, jakieś sześć lat temu, uznałam, że jest dość przerażająca.

- Przerażająca? Pod jakim względem?

- Szybciej ona mogłaby onieśmielić mnie niż ja ją.

- To może okazać się korzystne.

- Naprawdę tak pan sądzi?

- Jeśli ktoś z góry uzna, że nie ma ochoty pani polubić, to jest całkowicie przekonany, że pani nie lubi, i większą przyjemność czerpie z uświadomienia pani tego, a przy tym przekazuje więcej informacji niż gdyby próbował być miły i uprzejmy.

- Podlizywać się, o to panu chodzi? Tak. coś w tym jest. Myśli pan, że w takim wypadku mówią rzeczy, które mogłyby sprawić mi przyjemność. A w odwrotnym są źli na mnie i mają nadzieję, że powiedzą coś, co mnie zdenerwuje. Ciekawe, czy taka jest Celia? Pamiętam ją najlepiej z czasów, kiedy miała pięć lat. Miała guwernantkę. Rzucała w nią butami.

- Guwernantka w dziecko czy dziecko w guwernantkę?

- Dziecko w guwernantkę, oczywiście!

Pani Oliver odłożyła słuchawkę i podeszła do kanapy, by zbadać ułożone w stos wspomnienia z przeszłości. Wylizowała pod nosem nazwiska.

- Marianna Josephine Pontarlier... oczywiście, tak, nie myślałam o niej od lat. Sądziłam, że już nie żyje. Anna Braceby... tak, tak, mieszkała po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ciekawe, czy...

Czas mijał. Panią Oliver, pochłoniętą wspomnieniami, zaskoczył dźwięk dzwonka. Poszła otworzyć drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Celia

Na macie przed drzwiami stała wysoka dziewczyna. Przez chwilę pani Oliver patrzyła na nią ze zdumieniem. Więc to jest Celia. Uosobienie witalności i siły. Pani Oliver odniosła rzadko spotykane wrażenie. Oto, pomyślała, osoba, która coś znaczy. Prawdopodobnie jest agresywna, potencjalnie trudna, czasami niemal niebezpieczna. Jedna z dziewcząt z “misją do spełnienia”. Nawykła do przemocy, walcząca o sprawę. Ale interesująca. Zdecydowanie interesująca.

- Wejdz, Celio - powiedziała. - Nie widziałam cię od tak dawna. Ostatnim razem, o ile pamiętam, na ślubie. Byłaś druhną. Miałaś morelowy szyfon i ogromny bukiet... nie pamiętam z czego, ale przypominało złoty deszcz.

- To pewnie był złoty deszcz - powiedziała Celia Havenscroft. - Wszyscy kichaliśmy. Katar sienny. Okropny ślub? Pamiętam. Marty Leghorn, prawda? Najbrzydsze suknie drухen, jakie widziałam w życiu. Na pewno najbrzydsze, jakie nosiłam!

- Tak. Nie pasowały do żadnej z was. Choć, jeśli mogę powiedzieć, wyglądałaś lepiej niż większość dziewcząt.

- Miło, że to mówisz - zauważyła Celia. - Nie czułam się najlepiej.

Pani Oliver wskazała jej krzesło i zajęła się karafkami.

- Napijesz się sherry, czy wolisz coś innego?

- Wystarczy sherry.

- Proszę. Musi wydawać ci się dziwne, że zadzwoniłam tak ni stąd, ni zowąd - powiedziała pani Oliver.

- Nawet nie. W każdym razie nie bardzo.

- Obawiam się, że nie jestem zbyt sumienną matką chrzestną.

- Dlaczego miałabyś być, skoro ja jestem dorosła?

- Tu masz rację - przyznała pani Oliver. - Uważa się na ogół, że obowiązki kończą się w pewnym wieku. Nie żebym kiedykolwiek w pełni wywiązała się z moich. Chyba nie przyjechałam na twoją konfirmację?

- Przypuszczam, że do obowiązków matki chrzestnej należy zapoznanie dziecka z katechizmem i podobnymi sprawami, prawda? Wyrzec się diabła i wszelakich dzieł jego - powiedziała Celia. Na jej wargach pojawił się nikły, rozbawiony uśmiešek.

Jest bardzo miła, oceniła pani Oliver, ale mimo to pod pewnymi względami może być

niebezpieczna.

- Lepiej wyjaśnię, dlaczego próbowałam się z tobą skontaktować - zaczęła pani Oliver. - Cała sprawa jest dość osobliwa. Nieczęsto bywam na przyjęciach dla literatów, ale przypadkiem poszłam na jedno przedwczoraj.

- Tak, wiem - powiedziała Celia. - Widziałam wzmiankę w gazecie, z twoim nazwiskiem: pani Ariadna Oliver, co mnie raczej zdziwiło. Wiem, że zwykle nie chadzasz na takie imprezy.

- Tak - przyznała pani Oliver. - I żałuję, że na tę poszłam.

- Nie bawiłaś się dobrze?

- W pewnym sensie tak, ponieważ nigdy przedtem nie byłam na podobnym spotkaniu. A za pierwszym razem zawsze możesz znaleźć coś, co cię rozbawi. Ale - dodała - również coś, co cię zdenerwuje.

- I coś cię zdenerwowało?

- Tak. Łączy się to w dość dziwny sposób z tobą. Pomyślałam... pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, ponieważ nie podobało mi się to, co usłyszałam. Wcale mi się nie podobało.

- Brzmi intrygująco - powiedziała Celia i skosztowała sherry.

- Była tam pewna kobieta. Podeszła, by porozmawiać ze mną. Nie znałam jej i ona nie знаła mnie.

- To chyba często ci się przytrafia?

- Bez przerwy - przyznała pani Oliver. - To jedno z... niebezpieczeństw czyhających na pisarza. Ludzie podchodzą do ciebie i mówią: "Tak bardzo kocham pani książki i tak się cieszę, że mogę panią spotkać".

- Kiedyś byłam sekretarką pisarza. Znam te sprawy i wiem, jak są męczące.

- No cóż, takie spotkania też miały miejsce, ale na nie byłam przygotowana. A potem podeszła do mnie ta kobieta i powiedziała: "Przypuszczam, że ma pani córkę chrześną nazwiskiem Celia Ravenscroft".

- Tak, to dość dziwne - powiedziała Celia. - To, że podeszła i z miejsca powiedziała coś takiego. Wydaje mi się, że powinna stopniowo naprowadzić rozmowę na mój temat. Najpierw porozmawiać o twoich książkach i o tym, jak bardzo podobała się jej ostatnia. Dopiero potem naskoczyć na mnie. Co takiego miała przeciwko mnie?

- Nic, o ile wiem - odrzekła pani Oliver.

- Czy była moją przyjaciółką?

- Nie wiem.

Zapadła cisza. Celia wypila kolejny łyk sherry i spojrzała badawczo na panią Oliver.

- Wiesz - zauważyła - zaczynasz mnie intrygować. Nie całkiem rozumiem, do czego zmierzasz.

- Cóż - westchnęła pani Oliver - mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła.

- Dlaczego miałabym być zła?

- Ponieważ chcę ci powiedzieć coś, powtórzyć coś, co możesz uznać za nie moją sprawę i stwierdzić, że powinnam była siedzieć cicho i nie wspominać o niczym.

- Teraz dopiero jestem ciekawa! - powiedziała Celia.

- Ta kobieta przedstawiła się. Pani Burton-Cox.

- Ach! - wykrzyknęła Celia. Jej "Ach" zabrzmiało dość znacząco. - Ach!

- Znasz ją?

- Znam - przyznała Celia.

- Tak myślałam, ponieważ...

- Ponieważ co?

- Coś powiedziała.

- O mnie? Więc mnie znała?

- Powiedziała, że najprawdopodobniej jej syn zamierza się z tobą ożenić.

Wyraz twarzy Celi zmienił się. Uniosła brwi w górę, potem jej czoło znów się wygładziło. Rzuciła pani Oliver ostre spojrzenie.

- I chcesz wiedzieć, czy to prawda?

- Nie - odrzekła pani Oliver. - Nie bardzo. Wspominam o tym, ponieważ to usłyszałam na początku. Ta kobieta powiedziała, że ponieważ jesteś moją chrzestną córką, mogę poprosić cię o pewne informacje. Przypuszczam, że chciała, bym twoją ewentualną odpowiedź przekazała jej.

- Jaką odpowiedź?

- Chyba nie spodoba ci się to. co chcę powiedzieć. Mnie się nie podobało. W rzeczywistości, aż mnie skręca w środku, bo uważam, że była to zwykła impertynencja. Przejaw złych manier. Absolutnie niewybaczalne. Powiedziała: "Czy może pani dowiedzieć się, czy to jej ojciec zabił jej matkę, czy raczej matka zabiła ojca".

- Tak powiedziała? O to miałaś mnie spytać?

- Tak.

- I nie znała cię? To znaczy, tylko jako autorkę obecną na przyjęciu?

- W ogóle mnie nie znała. Nie spotkała mnie wcześniej ani ja nie spotkałam jej.

- I nie uznałaś, że to raczej niezwykle?

- Nie wiem, czy powiedziała cokolwiek niezwykłego - odparła pani Oliver. - Uderzyło mnie natomiast, jeśli mogę się tak wyrazić, że jest to osoba wyjątkowo odpychająca.

- O tak, jest rzeczywiście wyjątkowo odpychająca.

- Zamierzasz wyjść za jej syna?

- Cóż, braliśmy to pod uwagę. Nie wiem jeszcze. Słyszałaś wcześniej historię, o której mówiła ta kobieta?

- Słyszałam tyle, ile słyszał prawdopodobnie każdy, kto znał twoją rodzinę.

- Że ojciec odszedł z wojska na emeryturę i kupili dom na wsi, że oboje poszli któregoś dnia na spacer ścieżką wzdłuż urwiska. Że znaleziono ich potem zastrzelonych. Obok leżał rewolwer. Mojego ojca. Najwyraźniej trzymał dwa rewolwery. Nic nie świadczyło o tym, czy było to wspólne samobójstwo, czy mój ojciec zabił najpierw matkę, a potem zastrzelił siebie, czy też moja matka zastrzeliła najpierw ojca, a potem siebie. Ale prawdopodobnie to już wiesz.

- O tyle, o ile - odrzekła pani Oliver. - To stało się chyba jakieś dwanaście lat temu.

- Mniej więcej.

- Miałaś wtedy dwanaście czy czternaście lat.

- Tak...

- Niewiele wiem - powiedziała pani Oliver. - Nawet nie było mnie wtedy w Anglii. W tamtym czasie podróżowałam z wykładami po Ameryce. Przeczytałam o wszystkim w prasie. Wypadkowi poświęcono dużo miejsca, ponieważ trudno było odkryć fakty. Nie istniał żaden motyw. Twój rodzice byli szczęśliwi razem i nigdy się nie sprzeciali. Pamiętam, że o tym wspomniano. Sama sprawa zainteresowała mnie, bo znałam twoich rodziców, kiedy byliśmy dużo młodszy. Dobrze znałam twoją matkę, chodziłyśmy do tej samej szkoły. Potem nasze drogi się rozeszły. Ja wyszłam za mąż i wyjechałam, a ona poślubiła oficera i wyjechała razem z mężem na Malaje, o ile pamiętam. Prosiła, bym została matką chrzestną jednego z jej dzieci. Twoją. Ponieważ twoi rodzice mieszkali za granicą, przez wiele lat rzadko ich widywałam. Od czasu do czasu odwiedzałam ciebie.

- Tak. Zabierałaś mnie po szkole. Pamiętam. Częstowałaś mnie samymi pysznościami.

- Byłaś niezwykłym dzieckiem. Lubiałaś kawior.

- Nadal go lubię - przyznała Celia - choć nieczęsto mam okazję go jeść.

- Byłam zaszokowana, kiedy przeczytałam o wszystkim w prasie. Napisano niewiele. Wnioski pozostały otwarte. Żadnego motywu. Nic, na co można by wskazać. Żadnych kłótni, żadnych śladów napadu. Byłam zaszokowana - powtórzyła pani Oliver - a potem zapomniałam. Raz czy dwa zastanawiałam się, co mogło doprowadzić do tragedii, ale

ponieważ nie było mnie wtedy w kraju... jak mówiłam, podróżowałam po Ameryce... cała sprawa wypadła mi z głowy. Zobaczyłam cię dopiero parę lat później i oczywiście nie wspominałam o wypadku.

- Nie - powiedziała Celia. - Doceniam to.

- Każdy natyka się w życiu na dziwne sprawy, które przydarzają się jego przyjaciołom lub znajomym. Oczywiście w wypadku przyjaciół masz jakieś pojęcie o przyczynach zdarzenia, jakiegokolwiek by ono było. Ale jeśli nie rozmawiałaś z nimi i nie słyszałaś o nich od dawna, nic nie wiesz i nie masz komu okazać zaciekawienia.

- Zawsze byłaś dla mnie bardzo miła - powiedziała Celia. - Przysyłałaś mi ładne prezenty, szczególnie ten na dwudzieste pierwsze urodziny.

- To czas, kiedy dziewczęta potrzebują dodatkowej gotówki pod ręką - wyjaśniła pani Oliver - ponieważ właśnie wtedy dostrzegają tyle rzeczy, które chciałyby robić lub mieć.

- Tak, zawsze uważałam, że mnie rozumiesz i nie jesteś... wiesz, jacy są niekiedy ludzie. Wciąż zadają pytania i chcą wiedzieć o tobie wszystko. Ty nigdy nie pytałaś. Zabierałaś mnie na wystawy albo do restauracji i rozmawiałaś tak, jakby wszystko układało się dobrze, a ty byłabyś po prostu daleką krewną. Zawsze to doceniałam. Spotkałam tylu wścibskich ludzi.

- Każdy natyka się na nich wcześniej czy później - zgodziła się pani Oliver. - Rozumiesz teraz, co mnie zdenerwowało. To zdumiewające, że zupełnie obca osoba, taka jak pani Burton-Cox, może prosić o coś takiego. Nie mogłam zrozumieć, po co jej to potrzebne. Na pewno nie była to jej sprawa. Chyba że...

- Chyba że ma to coś wspólnego z moim małżeństwem z Desmondem. Desmond to jej syn.

- Tak myślałam, ale dalej nie rozumiem, co ją to może obchodzić.

- Ją obchodzi wszystko. Jest wścibska. Dokładnie tak, jak sama powiedziałaś: odpychająca.

- Ale domyślam się, że Desmond nie jest odpychający.

- Nie. Bardzo lubię Desmonda i Desmond bardzo lubi mnie. Nie cierpię jego matki.

- Czy on ją lubi?

- Właściwie nie wiem - przyznała Celia. - Być może. Przecież jest to możliwe. Ale i tak nie chcę wychodzić za mąż w tej chwili. Nie mam na to ochoty. Jest też sporo... trudności, wiesz sama, te wszystkie za i przeciw. Musiałaś czuć się dość dziwnie - zmieniła temat. - Dlaczego pani Wścibska-Cox poprosiła, żebyś wydusiła ze mnie prawdę, a potem szybciotko przekazała to jej? Przy okazji, czy chcesz zadać mi jej pytanie?

- To znaczy czy przypuszczasz albo wiesz, czy to twoja matka zabiła twojego ojca. czy też ojciec zabił matkę, albo czy było to podwójne samobójstwo? To pytanie?

- Tak, właśnie to, jakkolwiek brzmi. Ale chyba sama muszę cię o coś zapytać. Jeżeli rzeczywiście chcesz się dowiedzieć, czy przekażesz odpowiedź pani Burton-Cox?

- Nie - odrzekła pani Oliver. - Absolutnie, zdecydowanie nie. Nie mam najmniejszego zamiaru przekazywać czegokolwiek tej wstrętnej babie. Powiem jej tylko jasno, że nie jest to ani jej. ani mój interes, i że nie mam zamiaru wyciągać od ciebie informacji dla niej.

-Tak myślałam - powiedziała Celia. - Czułam, że mogę ci pod tym względem zaufać. Powiem ci tyle, ile sama wiem.

- Nie musisz. Nie proszę o to.

- Oczywiście. Ale i tak powiem. Odpowiedź brzmi: nic nie wiem.

- Nic - powtórzyła pani Oliver z namysłem.

- Dokładnie. Nie było mnie tam wtedy. To znaczy, nie było mnie w domu. Nie przypomnę już sobie, gdzie byłam. Chyba w szkole w Szwajcarii albo spędzałam wakacje u szkolnej przyjaciółki. Rozumiesz, po tylu latach wszystko mi się zdążyło pomieszać.

- Przypuszczam - powiedziała pani Oliver, pełna wątpliwości - że nie można oczekiwać, byś ty miała cokolwiek wiedzieć. Biorąc pod uwagę, ile wtedy miałaś lat.

- Zastanawiam się... - zaczęła Celia - Jak sądzisz, co jest bardziej prawdopodobne: czy powinnam wszystko wiedzieć? Czy nie wiedzieć nic?

- Powiedziałaś, że nie było cię wtedy w domu. Gdybyś była, sądzę, że najprawdopodobniej coś byś wiedziała. Dzieci zwykle wiedzą. Nastolatki również. W tym wieku wiele się wie, wiele widzi, a nieczęsto o tym mówi. Wie się rzeczy, o których zewnętrzny świat nie ma pojęcia. Wie się o takich sprawach, o których nie powiedziałaoby się policji.

- To brzmi rozsądnie. Więc nie mogłam wiedzieć. I chyba nie wiedziałam. Nie sądzę, żebym cokolwiek podejrzewała. Jakie było zdanie policji? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko moim pytaniom? Widzisz, nigdy nie czytałam żadnej relacji ani raportu ze śledztwa.

- Chyba uznali, że chodzi o podwójne samobójstwo, ale nie przypuszczam, żeby domyślali się powodów.

- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

- Nie, jeśli nie chcesz, żebym wiedziała -- odparta pani Oliver.

- Ale chyba cię to interesuje. W końcu piszesz kryminały o ludziach, którzy zabijają siebie albo innych i którzy mają jakieś powody, by to robić. Na pewno cię to ciekawi.

- Tak, przyznaję - powiedziała pani Oliver. - Ale ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, jest obrazić ciebie szukając informacji, które nie są moją sprawą.

- Zastanawiałam się - mówiła Celia. Od czasu do czasu zastanawiałam się dlaczego i jak, ale wiedziałam niewiele. To znaczy nie miałam pojęcia, jak właściwie układają się sprawy w domu. Poprzednie wakacje spędziłam na kontynencie i tak naprawdę dawno nie widziałam rodziców. Przyjeżdżali do Szwajcarii zabrać mnie ze szkoły raz czy dwa. ale to wszystko. Wyglądali jak zwykle, tyle że starzej. Ojciec chyba chorował. Robił się coraz słabszy. Nie wiem, czy chodziło o serce, czy o coś innego. Po prostu nie myśli się o tym. Matka stała się trochę nerwowa. Nic była hipochondryczką, ale lubiła przejmować się swoim zdrowiem. Między nimi panowały dobre, przyjacielskie układy. Niczego nie zauważyłam.

- Tylko czasami - Celia przerwała na chwilę. - Czasami coś przychodzi do głowy. Nie myśli się, że to coś poważnego, albo że to prawda. po prostu czasem zastanawiasz się, czy...

- Chyba lepiej, jak nie będziemy już o tym mówić - przerwała pani Oliver - Nie musimy nic wiedzieć ani odkryć. Wszystko skończyło się i jest za nami. Werdykt był w zupełności wystarczający. Żadnych wskazówek. motywów. Nikt nie pytał, czy twój ojciec planował zabić matkę albo czy twoja matka planowała zabić ojca.

- Gdybym zastanawiała się, co jest bardziej prawdopodobne - powiedziała Celia - uznałabym, że ojciec zabił matkę. Myślę, w jest bardziej naturalne, jeśli mężczyzna strzela do kogoś. Jeśli z jakichś powodów strzela do kobiety. Myślę, że kobieta, taka kobieta jak moja matka, nie zastrzeliłaby mojego ojca. Jeśli chciałyby go zabić, wybrałyby raczej inny sposób. Ale nie sądzę, żeby którekolwiek z nich życzyło drugiemu śmierci.

- Więc mógł to być ktoś z zewnątrz?

- Tak, ale co właściwie znaczy z zewnątrz? - zastanowiła się Celia.

- Kto jeszcze mieszkał w domu?

- Gospodyni, starsza, niedowidząca i niedosłysząca; dziewczyna spoza kraju, au pair¹¹, moja dawna guwernantka. Bardzo miła. Wróciła, by zaopiekować się moją matką po jej pobycie w szpitalu. Była jeszcze ciotka, której nigdy zbyt nie kochałam. Nie wydaje mi się, żeby któreś z nich mogło żywić urazę do rodziców. Nikt nie zyskiwał na ich śmierci, oprócz mnie i mojego brata Edwarda, młodszego ode mnie o cztery lata. Dziedziczyliśmy wszystkie pieniądze, ale nie było ich zbyt wiele. Ojciec miał emeryturę. Mama - własne, niewielkie dochody. Nie istniało nic, co mogłoby okazać się ważne.

- Przepraszam - powiedziała pani Oliver - przepraszam, jeśli zdenerwowałam cię

¹¹ fr. opiekunka

pytaniem.

- Nie zdenerwowałaś mnie. Postawiłaś problem, który mnie zainteresował. Teraz bowiem jestem w takim wieku, że chciałabym wiedzieć. Byłam do nich przywiązana tak, jak jest się przywiązanym do swoich rodziców. Nie z pasją, zwyczajnie. Ale uświadomiłam sobie, że właściwie nie wiem, jacy byli naprawdę. Jak wyglądało ich życie. Co miało dla nich znaczenie. O tym nie wiem kompletnie nic. A szkoda. To jak drzazga, coś, co w tobie tkwi i nie można o tym zapomnieć. Tak. Chciałabym wiedzieć. Ponieważ wtedy nie musiałabym już o tym myśleć.

- Więc myślisz o tym?

Celia patrzyła na nią przez chwilę. Wyglądała tak, jakby próbowała podjąć decyzję.

- Tak - odrzekła wreszcie. - Myślę o tym niemal bez przerwy. Muszę coś z tym zrobić, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Tak samo sądzi Desmond.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stare grzechy rzucają długie cienie

Herkules Poirot pchnął obrotowe drzwi. Przytrzymując je ręką, wszedł do niewielkiej restauracji. Nie było tu zbyt wielu osób. Możliwe, że była to kwestia pory nie dość odpowiedniej, Poirot wypatrzył więc wkrótce mężczyznę, z którym miał się spotkać. Krępy, mocno zbudowany inspektor Spence podniósł się od stolika w rogu.

- Świetnie - stwierdził inspektor. - A więc dotarł pan. Znalazł pan restaurację bez kłopotów?

- Bez najmniejszych. Pańskie wskazówki były nadzwyczaj dokładne.

- Przedstawię panów. Nadinspektor Garroway, *monsieur* Herkules Poirot.

Garroway był wysokim, szczupłym mężczyzną o pociągłej, ascetycznej twarzy i siwych włosach z niewielką łysiną przywodzącą na myśl tonsurę, która nadawała mu wygląd duchownego.

- Doskonale - wyraził swe zadowolenie Poirot.

- Jestem na emeryturze, oczywiście - wyjaśnił Garroway - ale pewnych spraw się nie zapomina. Nawet jeśli należą do przeszłości i większość ludzi już ich nie pamięta.

Herkules Poirot omal nie powiedział: "Słonie pamiętają", ale powstrzymał się w porę. To zdanie tak nierozzerwalnie łączyło się w jego myślach z panią Ariadną Oliver, że z trudem nie wypowiadał go na głos w sytuacjach, w których byłoby zupełnie nie na miejscu.

- Mam nadzieję, że nie zaczął się pan niecierpliwić - odezwał się inspektor Spence.

Wysunął krzesło i trzech panowie usiedli. Przyniesiono menu. Inspektor Spence, najwyraźniej przywiązany do tej właśnie restauracji, pomagał im dokonać wyboru. Garroway i Poirot złożyli zamówienie. Potem rozsiedli się wygodniej i zaczęli sączyć sherry. Oceniali się nawzajem w ciszy, zanim zaczęli rozmowę.

- Winien jestem przeprosiny - powiedział Poirot. - Naprawdę winien jestem panu przeprosiny za to, że stoję przed panem z pytaniami dotyczącymi sprawy dawno zamkniętej.

- Ciekawi mnie - odrzekł Spence - co w tej sprawie pana zainteresowało. W pierwszej chwili pomyślałem, że chęć grzebania w przeszłości nic pasuje do Herkulesa Poirota. Może tamto zdarzenie wiąże się z czymś, co dzieje się obecnie, albo nagle zaciekawił pana niewytłumaczalny prawdopodobnie wypadek? Zgodzi się pan ze mną?

Spojrzał ponad stołem.

- Nadinspektor Garroway, wówczas jeszcze inspektor, prowadził śledztwo w sprawie

zabójstwa Ravenscroftów. Jest moim starym przyjacielem, więc skontaktowałem się z nim bez problemów.

- I okazał się na tyle uprzejmy, by przyjść tu - dokończył Poirot - po prostu dlatego, że ja muszę przyznać się do zaciekawienia, którego z pewnością nie mam prawa odczuwać, zaciekawienia sprawą dawno zamkniętą.

- Nie powiedziałbym tego - zaprotestował Garroway. - Wszystkich nas ciekawią pewne sprawy z przeszłości. Czy Lizzie Borden naprawdę zabiła siekierą swych rodziców? Niektórzy nadal mają inne zdanie. Kto zamordował Charlesa Bravo i dlaczego? Istnieje kilka teorii, przeważnie nie do końca udowodnionych. A ludzie wciąż usiłują znaleźć inne rozwiązanie.

Spojrzał bystrym, przenikliwym wzrokiem na Herkulesa Poirota.

- A *monsieur* Poirota, jeśli się nie mylę, zainteresowały już wcześniej ze dwa, może trzy zabójstwa z przeszłości.

- Na pewno trzy - przytaknął inspektor Spence.

- Raz, jak mi się wydaje, przeprowadził pan śledztwo na prośbę pewnej młodej Kanadyjki.

- To prawda - zgodził się Poirot. - Porywca, zapalczywa i gwałtowna dziewczyna z Kanady. Przyjechała tu, by rozwikłać sprawę morderstwa, za które skazano na śmierć jej matkę. Która zresztą zmarła, nim wykonano wyrok. A córka była przekonana, że jej matka jest niewinna.

- Zgadzał się pan z nią? - spytał Garroway.

- Nie - odparł Poirot - kiedy po raz pierwszy opowiedziała mi o wszystkim. Lecz ona była bardzo porywca. I pewna swych racji.

- To naturalne, że córka chciała, by jej matka okazała się niewinna, i próbowała udowodnić to wbrew wszelkim dowodom - zauważył Spence.

- Chodziło o coś więcej - odrzekł Poirot. - Przekonała mnie, do jakiego typu ludzi należała jej matka.

- Kobieta niezdolna do morderstwa?

- Nie - odparł Poirot. - To byłoby niezwykle trudne i na pewno obaj zgodzicie się ze mną, iż nie ma osoby, całkowicie niezdolnej do popełnienia zbrodni, jeśli zna się charakter oskarżonego i motyw. Lecz w tym wypadku matka nigdy nie twierdziła, że jest niewinna. Wydawała się całkiem zadowolona, że ją skazano. Już to było dziwne. Może po prostu nie wierzyła w zwycięstwo? Ale nie wyglądało na to. Kiedy zacząłem dochodzenie, stało się jasne, że nie miała w sobie nic z bezradnej ofiary. Można by rzec, że uosabiała zaprzeczenie

defetyzmu.

Garroway był najwyraźniej zaintrygowany. Nachylił się nad stołem, gniotąc w palcach kawałek bulki leżącej na jego talerzu.

- I była niewinna?

- Tak - powiedział Poirot. - Była niewinna.

- Czy zaskoczyło to pana?

- Nie wtedy, kiedy doszedłem do prawdy - odparł Poirot. - Dwie rzeczy, a zwłaszcza jedna, dowodziły, że nie mogła być winna. Jednego faktu nikt wówczas nie docenił. Wiedząc, że wystarczyłoby spojrzeć na to, co, powiedzmy, leżało na stole, tak, jakby patrzyło się gdzie indziej¹².

W tym momencie postawiono przed nimi pstrąga z rusztu.

- Jeszcze w jednej sprawie zaglądał pan w przeszłość, choć w trochę inny sposób - podjął Spence.

- Dziewczyna, która wyznała podczas przyjęcia, że widziała popełniane morderstwo¹³.

- I znów należało... jakby to ująć... uczynić krok w tył zamiast w przód - powiedział Poirot. - Tak, to prawda.

- I rzeczywiście widziała morderstwo?

- Nie - odrzekł Poirot - bo nie była to właściwa dziewczyna. Ten pstrąg jest wyśmienity - dodał z uznaniem.

- Wszelkie rybne dania przyrządzają tu znakomicie - wyjaśnił inspektor Spence.

Sięgnął do podsuniętej sosjerki.

- Wspaniały sos - stwierdził. Następne trzy minuty wypełniła milcząca aprobata potrawy.

- Kiedy zjawił się u mnie Spence - odezwał się nadinspektor Garroway - i spytał, czy pamiętam sprawę Ravenscroftów, byłem jednocześnie zdziwiony i zachwycony.

- Nie zapomniał pan?

- Nie tę sprawę. Trudno byłoby o niej zapomnieć.

- Zgadza się pan - mówił Poirot - że są w niej pewne rozbieżności? Brak dowodów, alternatywnych rozwiązań?

- Nie - odparł Garroway - nie w tym rzecz. Wszystkie dowody potwierdzały fakty. Przykłady takiej śmierci mieliśmy już wcześniej. Jasna sprawa. A jednak...

- Tak? - powiedział Poirot.

¹² Por. *Pięć małych świnek*

- A jednak nic się nie zgadzało - zakończył Garroway.
- Ach - wyrwało się Spence'owi. Był najwyraźniej zaintrygowany.
- Pan czuł niegdyś to samo, prawda? - powiedział Poirot, zwracając się do niego.
- W sprawie pani McGinty¹⁴. Tak.

- Nie był pan zadowolony - kontynuował Poirot - kiedy aresztowano tego wyjątkowo trudnego młodzieńca. Miał wszelkie powody do zabójstwa, wyglądał, jakby to zrobił i wszyscy myśleli, że to zrobił. Ale pan wiedział, że to nieprawda. Był pan tego tak pewny, że przyszedł pan do mnie prosząc, bym sprawdził, co można odkryć.

- Czy może pan pomóc? I pomógł pan - powiedział Spence.

Poirot westchnął.

- Na szczęście tak. Ale co to był za męczący młody człowiek. Jeśli kiedykolwiek jakiś młodzieniec zasługiwał na stryczek, to właśnie on. Nie dlatego, że popełnił morderstwo, ale ponieważ nie pomógł nikomu udowodnić, że tego nie zrobił. A teraz mamy sprawę Ravenscroftów. Mówił pan, nadinspektorze, że coś się nie zgadzało?

- Tak. i byłem tego całkiem pewien, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Wiem - powiedział Poirot. - Spence też wie. Czasem natrafia się na takie sprawy. Są dowody, motyw, sposobność, wskazówki, *mise-en-scene*,¹⁵ wszystko pod ręką. Cały plan, można by rzec. Lecz mimo to profesjonalista wie. Wie, że nic się nie zgadza. Podobnie jak krytyk w świecie artystycznym wie, kiedy obraz jest zły. Wie, że ma przed sobą fałszerstwo, a nie oryginał.

- Nie mogłem nic na to poradzić - powiedział nadinspektor Garroway. - Obejrzałem wszystko od środka. od zewnątrz, z lewej i z prawej. Rozmawiałem z ludźmi. Nie znalazłem nic. Sprawa wyglądała na podwójne samobójstwo, miała wszelkie oznaki podwójnego samobójstwa. Alternatywa oczywiście brzmiała, że mąż zastrzelił żonę, a potem siebie lub że żona zabiła najpierw męża, potem siebie. Wszystkie trzy warianty zdarzają się. Można je rozpoznać. Lecz w większości przypadków znany jest powód.

- A w tym przypadku nie było powodu? - spytał Poirot.

- Tak. Właśnie. Widzi pan, z chwilą, kiedy zacznę analizować sprawę, badać wydarzenia i ludzi, z reguły otrzymuję dokładny obraz ich życia. Tu chodziło o starzejące się małżeństwo, mąż z zaszczytną karierą, żona przywiązana do niego, miła. Żyli razem szczęśliwie. Chodzili na spacer, wieczorami grali w pikietę i układali pasjansa, mieli dzieci

¹³ Por. *Wigilia Wszystkich Świętych*

¹⁴ Por. *Pani McGinty nie żyje*

¹⁵ fr. inscenizacja

nie sprawiające szczególnych kłopotów. Chłopak w szkole w Anglii i dziewczyna w szwajcarskim *pensionnat*. Na oko w ich życiu nie działo się nic złego. Z dostępnych badań medycznych wynikało, że nie mieli poważnych problemów ze zdrowiem. Mąż cierpiał na nadciśnienie, ale brał odpowiednie lekarstwa utrzymujące go w dobrej kondycji. Żona lekko niedosłyszała i miała niewielkie kłopoty z sercem, ale nic, czym trzeba by się martwić. Oczywiście, jak to się czasem zdarza, któreś z nich mogło się obawiać o swoje zdrowie. Jest mnóstwo ludzi zupełnie zdrowych, którzy są pewni, że mają raka i że nie przeżyją następnego roku. Niekiedy prowadzi ich to do samobójstwa. Ale Ravenscroftowie nie wyglądali na takich. Wydawali się zrównoważeni i pogodni.

- A co pan myślał naprawdę? - spytał Poirot.

- Problem w tym, że nie mogłem myśleć. Wtedy uznałem, że to samobójstwo. Tylko to było możliwe. Z jakichś powodów zdecydowali, że ich życie jest nie do zniesienia. Nie przez kłopoty finansowe, zdrowotne, nie dlatego, że byli nieszczęśliwi. I na tym utknąłem. Ich śmierć miała wszelkie oznaki samobójstwa. Nic innego nie mogło się zdarzyć. Poszli na spacer. Zabrali ze sobą broń. Między ich ciałami leżał rewolwer. Z zamazanymi odciskami palców obojga. Oboje go trzymali, ale nic nie świadczyło o tym, które wystrzeliło ostatnie. Na ogół jesteśmy skłonni zakładać, że to mąż zastrzelił żonę i później siebie. Tylko dlatego, że to wydaje się bardziej prawdopodobne. No dobrze, ale dlaczego? Minęło wiele lat. Kiedy coś przypomni mi tamtą sprawę... jakiś artykuł o małżeństwie, które prawdopodobnie zginęło samobójczą śmiercią, cofam się pamięcią i znów zastanawiam się, co przydarzyło się Ravenscroftom. Po dwunastu czy czternastu latach ciągle pamiętam sprawę Ravenscroftów i nadal się zastanawiam. Właściwie myślę tylko nad jednym: dlaczego? Dlaczego? Czy żona rzeczywiście nienawidziła męża i chciała się go pozbyć? Czy nienawidzili się do tego stopnia, że nie mogli tego dłużej znieść?

Garroway ułamał kolejny kawałek chleba i zaczął go żuć.

- Ma pan jakiś pomysł, monsieur Poirot? Czy ktoś przyszedł do pana i powiedział coś, co obudziło pana zainteresowanie? Czy wie pan cokolwiek, co wyjaśniałoby moje "dlaczego"?

- Nie - odparł Poirot. - A jednak musiał pan mieć jakąś teorię. Niechże pan przyzna, miał pan jakąś teorię?

- Ma pan rację, owszem. Zawsze snuje się jakieś teorie. Spodziewając się, że przynajmniej jedna okaże się słuszna. Ale to się zwykle nie sprawdza. Moja końcowa teoria brzmiała chyba, że nie można rozwiązać sprawy, ponieważ brakuje informacji. Co ja wiedziałem o Ravenscroftach? Generał zbliżał się do sześćdziesiątki, jego żona miała

trzydzieści pięć lat. Ja znałem tylko, mówiąc ściśle, ostatnie pięć czy sześć lat ich życia. Generał przeszedł na emeryturę. Powrócili z zagranicy do Anglii. Wszystkie zebrane przeze mnie dowody, cała moja wiedza dotyczyła krótkiego okresu, kiedy kupili dom w Bournemouth. a potem przeprowadzili się do domu, w którym doszło do tragedii. Mieszkali tam spokojnie, szczęśliwie, dzieci przyjeżdżały do nich na wakacje. Powiedziałbym, że był to spokojny okres na koniec najwyraźniej spokojnego życia. Znałem szczegóły ich pobytu w Anglii, znałem ich rodzinę. Motywem nie były pieniądze, nienawiść, zaangażowanie seksualne, afera miłosna. Nic. Ale przecież był jeszcze okres wcześniejszy. Co o nim wiedziałem? Wiedziałem, że mieszkali przeważnie za granicą, przyjeżdżali czasem do Anglii, mężczyzna cieszył się dobrą opinią, przyjaciółki żony wspominały ją ciepło. Nie słyszano o żadnej awanturze. Być może to ja nie wiedziałem. Pewnych rzeczy się nie wie. Należało zbadać okres powiedzmy dwudziestu, trzydziestu lat: od ich dzieciństwa do chwili ślubu, lata spędzone na Malajach i za granicą. Może tam leżały korzenie wypadku. Moja babka zwykła powtarzać pewne przysłowie. Brzmi ono: Stare grzechy rzucają długie cienie. Czy przyczyną ich śmierci był jakiś długi cień, cień z przeszłości? Niełatwo coś takiego odkryć. Można zbadać czyjaś przeszłość, poznać opinie przyjaciół i znajomych, ale pewne intymne sprawy pozostaną w ukryciu. Powoli zbudowałem teorię, że istniało pewne miejsce, w które powinienem zajrzeć, gdybym tylko mógł. Coś, co wydarzyło się dawno, może w innym kraju. Coś, co uznano za sprawę zapomnianą, minioną, która jednak wciąż istniała. Zadawniona uraza, wydarzenie, o którym nikt nie wiedział, które miało miejsce gdzie indziej, nie podczas ich pobytu w Anglii, choć tego nie należało wykluczać. Gdybym tylko wiedział, gdzie szukać!

- Chodzi panu o coś - podsumował Poirot - czego nikt nie pamiętał. Czego nikt nie pamięta dzisiaj. Coś, o czym nie wiedzieli ich przyjaciele z Anglii.

- Ich przyjaźnie zawarte w Anglii datują się głównie z okresu, kiedy generał był już na emeryturze, choć przypuszczam, że czasem odwiedzali ich starzy znajomi. Niestety, rzadko kiedy wspomina się wydarzenia z przeszłości. Ludzie zapominają.

- Tak - przyznał Poirot, zamyślony. - Ludzie zapominają.

- Nie są jak słonie - powiedział nadinspektor Garroway z nikłym uśmiechem. - Mówi się, że słonie pamiętają wszystko.

- Dziwne, że akurat to pan powiedział - zauważył Poirot.

- O długich cieniach?

- Niezupełnie. Zainteresowała mnie pańska wzmianka o słoniach.

Nadinspektor Garroway rzucił Poirotowi zaintrygowane spojrzenie. Najwyraźniej

czekał na wyjaśnienia. Również Spence zerknął szybko na starego przyjaciela.

- Może chodzi o coś, co wydarzyło się na Wschodzie - podsunął. - To znaczy... przecież stamtąd pochodzą słonie? Albo z Afryki. A w ogóle, to kto rozmawiał z panem o słoniach?

- Wspomniała o nich moja przyjaciółka - odparł Poirot. - Zna ją pan - zwrócił się do inspektora Spence'a. - Pani Oliver.

- Ach, pani Ariadna Oliver. A więc... - umilkł.

- Co a więc? - zapytał Poirot.

- Czy ona coś wie? - spytał Spence.

- Na razie, jak sądzę, jeszcze nie - powiedział Poirot - ale wkrótce może się czegoś dowiedzieć. - Uzupełnił z namysłem:

- Należy do takich ludzi. Sporo się kręci, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

- Tak - przyznał Spence. - Rzeczywiście. Ma już jakieś pomysły?

- Mówicie o pani Ariadnie Oliver, tej pisarce? - spytał z pewnym zainteresowaniem Garroway.

- Tej samej - odrzekł Spence.

- Czy ona wie sporo o zbrodni? Wiem, że pisze powieści detektywistyczne. Nigdy nie wiedziałem, skąd czerpie pomysły i fakty.

- Pomysły - wyjaśnił Poirot - pochodzą z jej głowy. Co do faktów... z tym jest trudniej. - Umilkł na chwilę.

- Nad czym się pan zastanawia, Poirot? Nad czymś szczególnym?

- Tak - przyznał Herkules Poirot. - Kiedyś zniszczyłem jej powieść, tak przynajmniej utrzymuje. Właśnie wpadła na wspaniały pomysł osnuty wokół pewnego faktu, coś z wełnianym podkoszulkiem z długimi rękawami. A ja zadzwoniłem z jakimś pytaniem i cały pomysł wyleciał jej z głowy. Jeszcze teraz mi to wypomina.

- O rany - powiedział Spence. - Brzmi jak pietruszka zatopiona w maśle w upalny dzień. Wie pan. Sherlock Holmes i pies, który nie czekał w nocy.

- Czy oni mieli psa? - spytał Poirot.

- Słucham?

- Spytałem, czy mieli psa? Generał i lady Ravenscroft. Czy wzięli na spacer psa tego dnia, kiedy zostali zastrzeleni?

- Mieli psa, rzeczywiście - powiedział Garroway.

- Sądzę... sądzę, że przeważnie zabierali go ze sobą na spacer.

- Gdyby to była jedna z historii pani Oliver - zauważył Spence - pies powinien był

wyć nad ciałami. Ale tak się nie stało.

Garroway potrząsnął głową.

- Ciekawe, gdzie teraz jest pies? - spytał Poirot.

- Pewnie pochowany w czyimś ogrodzie - odparł Garroway. - Minęło czternaście lat.

- Więc nie możemy pójść zapytać psa? - spytał Poirot. I dodał z namysłem: - A szkoda. To zdumiewające, co wiedzą psy. Kto dokładnie był w domu? W dniu, kiedy doszło do zbrodni?

- Przyniosłem panu listę - powiedział nadinspektor Garroway - na wypadek, gdyby chciał pan sprawdzić. Pani Whittaker, starsza gospodyni i kucharka. Miała dzień wolny, więc nie wydostaliśmy z niej nic, co mogłoby pomóc. Dalej gość Ravenscroftów, dawna guwernantka ich dziecka, jak sądzę. Pani Whittaker była przygłucha i miała słaby wzrok. Nie mogła powiedzieć nam nic interesującego poza tym, że lady Ravenscroft przebywała w szpitalu albo w prywatnej klinice, najwyraźniej z powodu nerwów, nie jakiejś choroby. Był jeszcze ogrodnik.

- Mógł też zjawić się ktoś obcy. Ktoś z przeszłości. Tak brzmiał pański pomysł, nadinspektorze?

- Nie tyle pomysł. Raczej po prostu teoria.

Poirot nie odezwał się. Myślał o sprawie, w której poprosił świadków o sięgnięcie pamięcią wstecz; musiał zbadać przeszłość pięciu osób, co przypomniało mu dziecięcą rymowankę o pięciu małych świnkach. Było to interesujące i w końcu opłaciło się, ponieważ odkrył prawdę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stary przyjaciel pamięta

Kiedy następnego ranka Ariadna Oliver wróciła do domu, panna Livingstone czekała już na nią.

- Były dwa telefony, pani Oliver.

- Tak?

- Pierwszy od Crichtona i Smitha. Pytali, czy wybrała pani brokat cytrynowo-zielony, czy jasnoniebieski.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła pani Oliver. - Proszę przypomnieć mi o tym jutro rano, dobrze? Chciałabym obejrzeć je przy wieczornym świetle.

- Potem dzwonił jakiś cudzoziemiec, pan Herkules Poirot.

- A tak. I czego chciał?

- Pytał, czy będzie pani mogła wpaść do niego po południu.

- To niemożliwe - powiedziała pani Oliver.

- Proszę do niego zadzwonić. Ja muszę zaraz wyjść. Niech pani zadzwoni i powie mu, że przepraszam, ale nie mogę, i że weszłam na ścieżkę słoni.

- Słucham?

- Że weszłam na ścieżkę słoni.

- Ach, tak - powiedziała panna Livingstone. Rzuciła swą pracodawczyni uważne spojrzenie, by sprawdzić, czy nie myli jej wrażenie, jakie nachodziło ją czasem. Wrażenie, że pani Ariadna Oliver, mimo sukcesów literackich, nie ma równo pod sufitem.

- Nigdy jeszcze nie polowałam na słonie - wyznała pani Oliver. - A to całkiem interesujące.

Weszła do salonu i wzięła pierwszą książkę ze stosu spiętrzonego na kanapie. Większość tomów była podniszczona, a w dodatku pani Oliver przerzucała je dość gwałtownie poprzedniego wieczoru, spisując całą stronę adresów.

- No cóż, od czegoś trzeba zacząć - stwierdziła. - W sumie, o ile Julia nie zdziecinniała do reszty, mogłabym zacząć od niej. Zawsze miała własne zdanie i zna tę część Anglii, skoro mieszkała w okolicy. Tak, zaczniemy od Julii.

- Tu są cztery listy do podpisania - powiedziała panna Livingstone.

- Proszę mi teraz nie zawracać głowy - burknęła pani Oliver. - Nie mogę tracić ani chwili. Muszę jechać do Hampton Court. a to długa droga.

Czcigodna Julia Carstairs podniosła się z fotela z wysiłkiem typowym dla ludzi po siedemdziesiątce, którzy wstają po dłuższym odpoczynku, a nawet drzemce. Postąpiła krok w przód, wypatrując, kogóż to takiego zaanonsował jej wierny domownik, dzielący z nią apartament w "Domu dla Uprzywilejowanych". Nie słyszała zbyt dobrze i dlatego nazwisko nie całkiem do niej dotarło. Pani Gulliver. Czy tak? Ale nie pamiętała żadnej pani Gulliver. Posunęła się dalej na lekko drżących nogach, wciąż wysuwając w przód głowę.

- Nie spodziewam się, że pamięta mnie pani. Minęło wiele lat od naszego spotkania.

Jak wielu starszych ludzi, pani Carstairs lepiej pamiętała głosy niż twarze.

- Przecież - wykrzyknęła - mój Boże, przecież to droga Ariadna! Moja droga, jakże miło cię widzieć.

Przywitały się.

- Akurat znalazłam się w tej części świata - wyjaśniła pani Oliver. - Musiałam kogoś odwiedzić tu niedaleko. A potem przypomniałam sobie, że sprawdzając wczoraj wieczorem adres w moim notesie zauważyłam, że to bardzo blisko pani mieszkania. Jest zachwycające - dodała, rozglądając się wokół.

- Nie najgorsze - odparła pani Carstairs. - Nie całkiem takie, jakie być powinno. Ale ma wiele zalet. Mogłam przywieźć własne meble, obok jest restauracja, można też gotować samemu, wedle woli. Tak, rzeczywiście mieszka się tu wygodnie. Zielen jest śliczna i dobrze utrzymana. Ale siadaj, Ariadno, siadajże. Doskonale wyglądasz. Czytałam w prasie, że parę dni temu byłaś na literackim obiedzie. Jakie to dziwne: czyta się coś w gazecie, a niemal następnego dnia spotyka się tę samą osobę. Nadzwyczajne.

- Wiem - odparła pani Oliver, siadając na wskazanym krześle. - Czasem tak bywa.

- Dalej mieszkasz w Londynie?

Pani Oliver odparła, że owszem, dalej mieszka w Londynie. A potem przystąpiła do tego, co w myślach nazwała pierwszą figurą lansjera, o ile nie poplątały się jej niejasne wspomnienia z lekcji tańca w dzieciństwie. Krok w przód, krok do tyłu, ręce w bok, dwa razy obrót, kółko po parkiecie, i od nowa to samo.

Spytała o córkę pani Carstairs i dwoje wnuków, potem o drugą córkę i jej pracę. Najwyraźniej zajmowała się czymś w Nowej Zelandii. Pani Carstairs nie była pewna, czym dokładnie. Badania socjologiczne? Pani Carstairs przycisnęła elektryczny dzwonek umocowany w poręczy fotela i poleciła Emmie przynieść herbatę. Pani Oliver błagała, by nie sprawiała sobie kłopotu. Na co Julia Carstairs odparła:

- Ależ Ariadna musi się napić herbaty.

Obie panie oparły się wygodnie w fotelach. Kolej na drugą i trzecią figurę lansjera.

Starzy znajomi. Dzieci znajomych. Śmierć przyjaciół.

- Musiały minąć wieki, odkąd cię ostatni raz widziałam - zauważyła gospodyni.

- To było chyba na ślubie Llewellynów - podsunęła pani Oliver. - Chyba wtedy. Moira wyglądała okropnie. Wszystkie drużny miały suknie w tym przeraźliwie nietwarzowym morelowym odcieniu..

- Pamiętam - Zupełnie im nie pasował.

- Śluby nie są już tak ładne, jak za naszych czasów. Niektórzy ubierają się naprawdę dziwnie. Parę dni temu moja znajoma wybrała się na ślub i opowiadała mi, że pan młody miał na sobie jakiś pikowany biały atlas z kryza przy szyi. Z walenckiej koronki, jak sędzę. Bardzo dziwaczne. A dziewczyna nosiła osobliwy kostium ze spodniami. Też biały, ale z góry na dół zadrukowany zielonymi koniczynkami.

- No popatrz, droga Ariadno. Doprawdy niezwykle. W kościele to samo. Gdybym ja była księdzem, odmówiłabym im ślubu.

Przyniesiono herbatę. Rozmowa płynęła dalej.

- Parę dni temu spotkałam moją córkę chrzestną, Celię Ravenscroft - powiedziała pani Oliver. - Pamiętasz Ravenscroftów? Och, oczywiście, minęło już tyle lat.

- Ravenscroftów? Poczekaj chwilę. To ta głośna tragedia? Podwójne samobójstwo, tak chyba uważano? Koło ich domu w Overcliffe?

- Masz doskonałą pamięć, Julio - stwierdziła pani Oliver.

- Zawsze miałam. Choć niekiedy mam kłopoty z nazwiskami. Tak, to była tragiczna historia.

- Rzeczywiście.

- Mój kuzyn znał ich dobrze z Malajów. Roddy Foster, znasz go. Kariera generała Ravenscrofta była wybitna. Oczywiście, kiedy przechodził na emeryturę, był już trochę przygłuchy. Nie zawsze słyszał, co się do niego mówi.

- Pamiętasz ich dobrze?

- O tak. Nie zapomina się przecież pewnych ludzi. W końcu mieszkali w Overcliffe przez pięć czy sześć lat.

- Zapomniałam, jak miała na imię - powiedziała pani Oliver.

- Chyba Margaret. Ale wszyscy nazywali ją Molly. Tak, Margaret. Tyle kobiet nosiło wtedy to imię, prawda? Miała perukę, pamiętasz?

- A tak - przyznała pani Oliver. - To znaczy nie pamiętam dokładnie, ale tak sędzę.

- Nie jestem pewna, ale chyba próbowała namówić i mnie. Mówiła, że peruka jest bardzo praktyczna, jeśli dużo się podróżuje, i to za granicę. Miała cztery różne. Jedną na

wieczór, jedną na podróż, a jedna była bardzo dziwna. Można było wsadzić na nią kapelusz i nie zniszczyć fryzury.

- Nie znałam ich tak dobrze, jak ty - zauważyła pani Oliver. - No i kiedy zostali zastrzeleni, jeździłam po Ameryce z wykładami. Nigdy nie poznałam szczegółów.

- To, oczywiście, było bardzo tajemnicze - posiedziała Julia Carstairs. - Chodzi mi o to, że nikt nic nie wiedział. Krążyło tyle różnych opowieści.

- Co stwierdzono po śledztwie? Chyba przeprowadzono jakieś śledztwo?

- O tak, oczywiście. Policja musiała je przeprowadzić. To była jedna z tych nie rozstrzygniętych spraw, poza oczywistością faktu, że zabito ich z rewolweru. Ale nie potrafiono stwierdzić, co się zdarzyło naprawdę. Mogło być tak, że generał Ravenscroft zastrzelił żonę, a potem siebie, ale wydawało się, że równie dobrze lady Ravenscroft zastrzeliła męża, a potem siebie. Myślę, że bardziej prawdopodobne jest wspólne samobójstwo. Nie można było jednoznacznie określić, jak do niego doszło.

- Przepięstwo nie wchodziło w grę?

- Nie, skąd. Całkiem jasno stwierdzono, że nie chodzi o żadną podłość. To znaczy, nie było odcisków palców albo jakichkolwiek śladów, żeby zaskoczył ich ktoś obcy. Po podwieczorku wyszli na spacer, co często robili. Nie wrócili na obiad i służący albo ogrodnik, ktokolwiek to był, poszedł ich szukać i znalazł oboje martwych. Przy ciałach leżał rewolwer.

- Broń należała do niego, prawda?

- Tak. W domu trzymał dwa rewolwery. To typowe dla byłych wojskowych. Pewnie czują się bezpieczniej, biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj dzieje. Drugi rewolwer leżał w szufladzie w domu, tak więc on... no cóż, musiał rozmyślnie zabrać broń ze sobą. Na to wygląda. To, żeby ona poszła na spacer dźwigając rewolwer, nie brzmi prawdopodobnie.

- Rzeczywiście. I nie byłoby to łatwe, prawda?

- Ale nie istniał żaden dowód na to, że byli nieszczęśliwi albo że kłócili się, albo że mieli jakikolwiek powód do samobójstwa. Oczywiście nigdy nie wiadomo, co smutnego może się dziać w życiu drugiego człowieka.

- Nie - zgodziła się pani Oliver.- Tego nigdy nie wiadomo. Masz absolutną rację, Julio. Wpadłaś na jakiś pomysł?

- Człowiek zawsze się zastanawia, moja droga.

- Właśnie - przytaknęła pani Oliver. - Człowiek zawsze się zastanawia.

- Widzisz, on mógł być chory. Na przykład powiedziano mu, że umrze na raka. Tyle że nic takiego nie napisano w jego karcie chorobowej. Był zupełnie zdrowy. Właściwie, to miał wcześniej... jakże się to nazywa...wieńcówkę, dobrze mówię? Brzmi tak jakoś

cmentarnie, ale to przecież nie atak serca, prawda? Miał to i wyzdrowiał. A ona, cóż, była bardzo, bardzo nerwowa. Zawsze była neurotyczką.

- Tak, to chyba pamiętam - przyznała pani Oliver. - Oczywiście, nie znałam ich dobrze, ale... - Nagle zapytała: - Założyła wtedy perukę?

- Ach. No wiesz, trudno to sobie przypomnieć. Zawsze je nosiła. To znaczy, nie wszystkie naraz.

- Tak mi przyszło do głowy - zaczęła pani Oliver.

- Wydaje mi się, że gdybyś zamierzała zastrzelić się albo choćby zabić swojego męża, to chyba nie założyłbyś peruki, jak myślisz?

Panie przedyskutowały problem z pewnym zainteresowaniem.

- Jakie jest tak naprawdę twoje zdanie, Julio?

- Jak mówiłam, kochanie, człowiek lubi się zastanawiać. Mówiono pewne rzeczy, ale plotkuje się zawsze.

- O nim czy o niej?

- Podobno była jakaś młoda kobieta, rozumiesz. Tak, chyba pomagała mu jakaś sekretarka. Pisał wspomnienia ze służby za granicą. Zdaje się, że na zlecenie wydawcy, a ona pisała pod jego dyktando. Niektórzy twierdzili... Wiesz, co czasem się mówi... że może... jakby to... że związał się z tą dziewczyną. Nie była taka młoda. Po trzydziestce i niezbyt przystojna. Nie sądzę... Nie było żadnego skandalu, choć nigdy nic nie wiadomo. Uważano, że mógł zastrzelić żonę, bo chciał. to znaczy być może chciał się z nią ożenić. Ale nie mówiono o tym głośno i ja nigdy w to nie wierzyłam.

- A co myślałaś?

- No, oczywiście troszkę się zastanawiałam nad nią.

- To znaczy, że napomykano też o jakimś mężczyźnie?

- Coś chyba wydarzyło się na Malajach. Słyszałam pewną historię o niej. Że wplątała się w aferę z jakimś młodym, dużo od siebie młodszym mężczyzną. Co nie podobało się generałowi i doprowadziło do małego skandalu. Nie pamiętam, gdzie to się działo. Ale i tak to stara historia i raczej nic z niej nie wynikło.

- A nie było żadnych plotek dotyczących Overcliffe? Nie łączyły ich jakieś szczególne związki z kimś z sąsiedztwa? Żadnych oznak kłótni czy sprzeczek?

- Nie, nie sądzę. Oczywiście czytałam o wszystkim. Dyskutowano, ponieważ nie można było oprzeć się wrażeniu, że z wypadkiem łączy się jakiś... jakiś naprawdę tragiczny romans.

- Ale nie myślisz, że tak było? Pewnie mieli dzieci. Och, oczywiście, moja chrzestna

córka.

- Tak. Mieli jeszcze syna. Był chyba bardzo młody. Uczył się gdzieś. Dziewczynka miała zaledwie dwanaście lat, chociaż nie, musiała być starsza. Mieszkała u jakiejś rodziny w Szwajcarii.

- W ich rodzinie nie było przypadków... choroby umysłowej?

- Chodzi ci pewnie o chłopca. To całkiem możliwe. Słyszysz się tyle różnych rzeczy. Jak o tym chłopcu, który zastrzelił ojca. To stało się chyba koło Newcastle. Parę lat wcześniej. Był w depresji i najpierw, w trakcie semestru, próbował się powiesić, a potem przyjechał do domu i zastrzelił ojca. Nikt nie wiedział do końca, dlaczego. Ale nie ma to nic wspólnego z Ravenscroftami. Nie, raczej nie. Jestem tego pewna. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie myśleć...

- Tak, Julio?

- Bo widzisz, ciągle wydaje mi się, że mógł tam być jakiś mężczyzna.

- To znaczy, że ona...?

- Tak. No cóż, to całkiem możliwe, wiesz przecież. Choćby te peruki.

- Nie całkiem rozumiem, co do tego mają peruki.

- Chciała poprawić swój wygląd.

- Miała jakieś trzydzieści pięć lat.

- Więcej. Raczej trzydzieści sześć. Któregoś dnia okazała mi swoje peruki. Jedna czy dwie czyniły ją bardzo atrakcyjną. No i mocno się malowała. Wszystko zaczęło się zaraz, jak osiedlili się tutaj. Była z niej ..całkiem ładna kobieta.

- Myślisz, że mogła poznać kogoś, to znaczy jakiegoś mężczyznę?

- Tak sobie zawsze myślałam - przyznała pani Caraairs. - Widzisz, jeśli mężczyzna zaczyna kręcić z jakąś dziewczyną, ludzie zwykle to zauważą, ponieważ mężczyźni nie są dobrzy w ukrywaniu sekretów. Ale kobiety... Mogła na przykład poznać kogoś i nikt o tym nie wiedział.

- Naprawdę tak sądzisz, Julio?

- Tak naprawdę to nie - wycofała się Julia - bo ludzie i tak zawsze się dowiedzą, prawda? Służba albo ogrodnik czy kierowca autobusu. Lub ktoś z sąsiadów. A jak się dowiedzą, zaczynają mówić. Mimo to, mógł być jakiś mężczyzna i jej mąż albo dowiedział się o tym...

- To byłaby zbrodnia z zazdrości?

- Tak, tak sądzę.

- Więc uważasz, za bardziej prawdopodobne, że on zastrzelił ją, a potem siebie, a nie,

że ona strzeliła do jego pierwsza?

- Tak myślę, bo gdyby to ona chciała się go pozbyć, wtedy raczej nie poszliby razem na spacer. Musiałyby zabrać rewolwer w torebce i musiałyby to być dość duża torebka. Trzeba brać pod uwagę praktyczną stronę rzeczy.

- Wiem - zgodziła się pani Oliver. - Ale to brzmi interesująco.

- Oczywiście, że to brzmi interesująco dla ciebie, skoro piszesz te swoje kryminały. Spodziewałam się, że sama będziesz miała lepsze pomysły. Lepiej wiesz, co może się wydarzyć.

- Nie wiem. co może się wydarzyć - odrzekła pani Oliver - bo we wszystkich opowieściach, które piszę, to ja wymyślam zbrodnie. To znaczy dzieje się w nich to, co ja chcę, żeby się działo. To nie jest coś, co się wydarzyło naprawdę albo mogło się wydarzyć. Tak naprawdę to wiem najmniej. Ciekawi mnie to, co ty myślisz, ponieważ znasz się na ludziach i dobrze znałaś Ravenscroftów. Myślę, że ona mogła opowiedzieć ci o czymś któregoś dnia. Ona albo on.

- No tak. Tak. Zaczekaj chwilkę. Twoje słowa coś mi przypomniały.

Pani Carstairs oparła się w fotelu, potrząsnęła z powątpiewaniem głową, przymknęła oczy i zapadła w drzemkę. Pani Oliver nie przerywała ciszy. Utkwiła w pani Carstairs spojrzenie typowe dla kobiety czekającej na pierwsze oznaki, że woda w czajniku zaczyna wrzeć.

- Rzeczywiście raz coś powiedziała, pamiętam. Zastanawiam się, o co jej chodziło - przemówiła wreszcie pani Carstairs. - Coś o rozpoczynaniu nowego życia. Chyba wiązało się to ze świętą Teresą. Świętą Teresą z Avila...

Pani Oliver była lekko zaskoczona.

- A co ma do tego święta Teresa z Avila?

- Nie mam pojęcia. Chyba czytała wtedy jej żywot. Powiedziała, że to cudowne, jak kobiety potrafią nabrać wiatru w żagle. Nie całkiem tak to ujęła, ale podobnie. Rozumiesz, kiedy mają czterdzieści czy pięćdziesiąt lat i nagle chcą rozpocząć nowe życie. Tak zrobiła Teresa z Avila. Wcześniej nie robiła nic szczególnego, tyle że była zakonnica, a potem opuściła klasztorne mury i zreformowała wszystkie zakony. Rzuciła się bez opamiętania w wir działalności i została wielką świętą.

- Ale to nie całkiem to samo.

- Nie, oczywiście że nie - przyznała pani Carstairs. - Lecz kobiety naprawdę wygadują głupstwa, kiedy przydarzy im się jakiś romans. Plotą, że nigdy nie jest za późno.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z powrotem w dziecinnym pokoju

Pani Oliver z powątpiewaniem zmierzyła wzrokiem trzy schodki wiodące do drzwi małego, odrapanego domku stojącego przy bocznej uliczce. Pod oknami rosło kilka kwiatków, głównie tulipanów.

Przystanąła, otworzyła trzymany w ręce notes z adresami i sprawdziła, czy rzeczywiście trafiła tam, gdzie planowała. Zastukała delikatnie kołatką. Przyciśnięty wcześniej dzwonek, który świadczył przecież o elektryczności, niestety milczał i podobnie milcząca była odpowiedź całego domku. Po prostu nic się nie stało. Ponieważ nadal nikt nie reagował, pani Oliver zastukała powtórnie. Tym razem ze środka dobiegły ją jakieś odgłosy. Szuranie stóp, astmatyczny oddech i dłonie najwyraźniej usiłujące poradzić sobie z zamkiem w drzwiach. Jednocześnie jakieś stłumione echo zadźwięczało w skrzynce na listy.

- Bodaj go. Do licha. Znow się zaciąłeś, ty paskudo.

Wreszcie wysiłki zostały uwieńczone sukcesem i drzwi, skrzypliwie i niepewnie, otworzyły się wolno. Wiekowa staruszka o pomarszczonej twarzy, zgarbionych ramionach i artretycznym wyglądzie spojrzała na gościa. Jej twarz, wolna od oznak serdecznej gościnności albo strachu, wyrażała jedynie niesmak wobec tych, co to przychodzą i pukają do drzwi prywatnego zamku angielskiej damy. Wyglądała na siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat, ale wciąż mężnie broniła swego domostwa.

- Nie wiem, po coś paniusia przyszła i... - urwała.

- Ależ to panienka Ariadna! - wykrzyknęła. - Nigdy bym nie zgadła! Panienka Ariadna.

- To cudowne, że jeszcze mnie pani pamięta - powiedziała pani Oliver. - Jak się pani miewa, pani Matcham?

- Panienka Ariadna! No patrzcie.

Pani Ariadna Oliver pomyślała sobie, że minęło już wiele lat, odkąd zwracano się do niej "panienko Ariadno", ale głos, choć nadwątłony wiekiem, brzmiał znajomo.

- Wchodźże do środka, kochana - powiedziała stara dama - wchodźże dalej. Ależ ładnie wyglądasz. Ile to lat, odkądśmy się widziały? Co najmniej piętnaście.

Lat było o wiele więcej, ale pani Oliver nie sprostowała pomyłki. Weszła do środka. Pani Matcham potrząsnęła jej dłonią, przy czym jej własne ręce nie miały zbyt chętności słuchać jej rozkazów. Zdołała zamknąć drzwi. Powłócząc nogami, dokuśtykała do małego

pokoiku, najwyraźniej przeznaczonego do przyjmowania oczekiwanych i nieoczekiwanych gości, których pani Matcham była gotowa wpuścić do domu. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo fotografii, zarówno niemowląt, jak i dorosłych. Część oprawiona była w ładne ramki ze skóry, popękanej z upływem lat, ale jeszcze nie całkiem w strzępach. Zdjęcie w srebrnej, zaśnieżonej ramce przedstawiało młodą kobietę w balowej sukni z piórami sterczącymi we włosach. Dwa następne - oficerów marynarki, dwa - wojskowych, dalej liczne fotografie gołych niemowląt rozciągniętych na kocykach. Poza tym w pokoju stała kanapa i dwa krzesła. Pani Oliver posłusznie usiadła na krześle. Pani Matcham usadowiła się na kanapie i z pewnym trudem wcisnęła sobie za plecy poduszkę.

- Co za spotkanie, moja droga. Ciągłe pisujesz te swoje miłe historyjki?

- Tak - przyznała pani Oliver zgodnie acz z lekkimi wątpliwościami, czy jej powieści detektywistyczne i książki o zbrodniach i przestępcach można nazwać "miłymi historyjkami". Lecz to było charakterystyczne dla pani Matcham.

- Zostałam sama - powiedziała staruszka. - Pamiętasz moją siostrę Gracie? Zmarło się jej zeszłej jesieni. Na raka. Operowali ją, ale było za późno.

- Tak mi przykro - powiedziała pani Oliver. Przez kolejne dziesięć minut rozmowa dotyczyła zgonów ostatnich krewnych pani Matcham, którzy odchodzili jeden po drugim.

- Ale ty masz się dobrze, prawda? Dobrze ci się wiedzie? Masz męża? A, rzeczywiście, pamiętam, zmarł dawno temu. No i co sprowadza cię do Little Saltem Minor?

- Byłam w okolicy - powiedziała pani Oliver - a ponieważ miałam pani adres w notesie, pomyślałam sobie, że wpadnę i... sprawdzę, jak się pani wiedzie.

- Aha. I porozmawiamy o starych czasach. Tak miło, kiedy można to robić, prawda?

- Dokładnie - przytaknęła pani Oliver z ulgą wynikłą z pojawienia się tego tematu. Przecież po to właśnie przyjechała - Ma pani mnóstwo zdjęć - dodała.

- Ano, mam. A wiesz, jak byłam w tym Domu... Ależ on się głupio nazywał. Szczęśliwy Dom Zachodzącego Słońca dla Ludzi Starych albo podobnie. Mieszkałam tam rok i trzy miesiące, aż nie mogłam tego dłużej ścierpieć. Prowadzili go okropni ludzie. Nie wolno było zabrać nic z własnych rzeczy. Wszystko musiało należeć do Domu. Nie mówię, że było niewygodnie, no ale wiesz, lubię mieć swoje rzeczy pod ręką. Moje zdjęcia i meble. Potem zjawiała się przemiła dama z jakiejś rady, nie pamiętam dokładnie jakiej. Powiedziała mi, że jest takie miejsce, gdzie można mieć własne mieszkanie i zabrać ze sobą co tylko się chce. Że codziennie przychodzi bardzo miła osoba do pomocy zobaczyć, jak sobie radzisz. Bardzo mi tu wygodnie. Naprawdę. Wszystkie moje rzeczy są ze mną.

- Pamiątki z każdego zakątka świata - zauważyła pani Oliver, patrząc wokół.

- Tak, ten stolik, ten z mosiądzu, to od kapitana Wilsona. Przysłał go dla mnie z Singapuru. Tamten mosiądz z Benares też od niego. Ładny, prawda? A ta śmieszna rzecz na popielniczce pochodzi z Egiptu. To szkarabusz, jakoś tak się nazywa. Ty pewnie będziesz wiedziała. Brzmi jak nazwa śwędzącej wysypki, ale to nie to. To jakiś żuk. Zrobiono go z kamienia. I to cennego. Jasnobłękitny. Lepki... azulan... lepki azulan albo coś podobnego.

- Lapis lazuli - podsunęła pani Oliver.

- Zgadza się. To właśnie to. Bardzo jest ładny. Od mojego chłopca. Został archeologiem i pojechał gdzieś kopać. To on mi go przysłał.

- Cała pani uroczą przeszłość - zauważyła pani Oliver.

- Tak, wszyscy moi chłopcy i dziewczęta. Na niektórych fotografiach mają dopiero miesiąc, inne zdjęcia są starsze. Część jest z czasów, kiedy pojechałam do Indii, a część z Syjamu. Tak. To panna Moya w galowej sukni. Ależ z niej było ładne stworzenie. Rozwiodła się dwa razy. Tak. Jakies kłopoty z jego lordowską mością, jej pierwszym. Potem wyszła za piosenkarza i oczywiście to nie mogło się dobrze skończyć. A potem za kogoś w Kalifornii. Mieli jacht i pływali po świecie. Zmarła dwa czy trzy lata temu. Zaledwie sześćdziesiąt dwa lata. To smutne: umierać tak młodo.

- Zwiedziła pani wiele miejsc, prawda? - spytała pani Oliver. - Indie, Hongkong, potem Egipt, Południowa Ameryka...

- Sporo jeździłam.

- Pamiętam, że kiedy spotkałyśmy się na Malajach, pani pracowała dla kogoś z armii, prawda? Generał jakiś tam. Czy nie był to... chwileczkę, niech sobie przypomnę nazwisko... Czy nie byli to generał i lady Ravenscroftowie?

- Nie, nie, pomyliło ci się. Wtedy byłam z Barnabymi. Tak. Zatrzymałaś się u nich, pamiętasz? Byłaś na wycieczce, a potem przyjechałaś i zostałaś u Barnabych. Byłaś jej starą przyjaciółką. A on był sędzią.

- A tak - powiedziała pani Oliver. - To trudne. Nazwiska zawsze się mylą.

- Mieli dwójkę miłych dzieciaków - ciągnęła pani Matcham. - Oczywiście, wyjechały do szkół w Anglii. Chłopiec do Harrow, a dziewczynka do Roedan, tak, chyba tam. No więc ja przeniosłam się do następnej rodziny. Dzisiaj jest inaczej. Nie ma nawet tyle amah¹⁶ co dawniej. A weź pod uwagę, że amah sprawiały czasem trochę kłopotów. Ale mnie się dobrze układało u Barnabych. O kim to mówiłaś? O Ravenscroftach? Pamiętam ich. Zapomniałam tylko, gdzie mieszkali. Niedaleko od nas. Obie rodziny się znały. Tak, to bardzo stare czasy,

ale wszystko pamiętam. Ciągle pracowałam u Barnabych. Zostałam, jak dzieci wyjechały do szkół, żeby opiekować się panią Barnaby. Wiesz, zadbać o jej rzeczy, ponaprawiać, poszyć. Byłam tam, kiedy stała się ta straszna rzecz. Nie u Barnabych, oczywiście, tylko - Ravenscroftów. Nigdy tego nie zapomnę. Znaczący tego, co słyszałam. Oczywiście, ja nie brałam w niczym udziału. Ale to było straszne, prawda?

- Na pewno - powiedziała pani Oliver.

- To stało się, kiedy ty już wróciłaś do Anglii. długo potem. Miła z nich była para. Bardzo miła. Jaki to był szok dla nich.

- Niewiele pamiętam - powiedziała pani Oliver.

- Wiem, zapomina się. Ale nie ja. Podobno ona zawsze była dziwna. Od dzieciństwa. Opowiadano taką historię. Wyjęła niemowlę z wózka i wrzuciła do rzeki. Zazdrość, tak mówili. A według innych chciała, żeby dziecko nie czekało i od razu poszło do nieba.

- Mówi pani o... o lady Ravenscroft?

- Nie, oczywiście że nie. No tak, ty nie pamiętasz tak dobrze, jak ja. To była siostra.

- Jej siostra?

- Nie jestem pewna, czy jej, czy jego. Podobno przebywała długo w jakimś zakładzie dla umysłowo chorych. Odkąd skończyła jedenaście czy dwanaście lat. Trzymali ją latami, a potem orzekli, że wyzdrowiała i wypuścili. Wyszła za kogoś z wojska. I zaczęły się kłopoty. Podobno wsadzono ją z powrotem do jednego z tych tam domów dla wariatów. Traktują cię dobrze, masz własne mieszkanie albo pokój. Odwiedzali ją, znaczący się generał i jego żona. Dzieci wychowywał ktoś inny, bo się bali. W końcu znowu uznano, że jest zdrowa. Wróciła do męża, a potem on chyba zmarł. Na coś z ciśnieniem lub sercem. Ją to załamało. Zamieszkała z bratem czy siostrą i wydawała się całkiem szczęśliwa. Bardzo kochała dzieci. Nie chłopca, wtedy chyba był w szkole. Dziewczynkę, i jeszcze drugą dziewczynkę, która przychodziła się bawić po południu. Nie pamiętam wszystkich szczegółów. To takie stare czasy. Sporo się o tym mówiło. Że to wcale nie ona. Myślano, że zrobiła to amah, ale amah bardzo kochała dzieci i ogromnie się przejęła. Chciała zabrać je z domu. Mówiła, że nie są tam bezpieczne. Ale oczywiście nikt nie uwierzył, a potem to się stało. Wtedy uważano, że to na pewno ona, jak się tam zwała. No, nie pamiętam nazwiska. Tak to było.

- A co stało się z siostrą generała albo lady Ravenscroft?

- Myślę, że zabrał ją lekarz i umieścił w jakimś zakładzie, a w końcu wróciła do Anglii. Nie wiem, czy do tego samego zakładu gdzie przedtem, ale zaopiekowano się nią.

¹⁶ W Indiach niańka, służąca

Wiesz, mieli mnóstwo pieniędzy. Znaczący się rodzina jej męża. Może znów wydobrzała. Nie myślałam o tym od lat. Dopóki nie zjawiałaś się pytając o generała Ravenscrofta i jego żonę. Ciekawe, gdzie są teraz. On pewnie dawno już odszedł z wojska.

- No cóż, to raczej smutna historia - powiedziała pani Oliver. - Może czytała pani o niej w gazetach.

- O czym?

- Ravenscroftowie kupili dom w Anglii, a potem...

- Teraz sobie przypominam. Pamiętam, że coś czytałam w gazecie. I pomyślałam sobie, że chyba znam nazwisko, ale nie wiedziałam skąd. Spadli ze skały, prawda? Albo coś podobnego.

- Tak - powiedziała pani Oliver. - Coś podobnego.

- No, kochana, tak dobrze cię widzieć, naprawdę. Musisz napić się herbaty.

- Och, niepotrzebna mi herbata. Naprawdę nie, dziękuję.

- Oczywiście, że potrzebna. Jeśli nie masz nic przeciwko, chodźmy do kuchni, dobrze? Teraz spędzam w niej większość czasu. Łatwiej się tam poruszać. Ale gości biorę zawsze do tego pokoju, bo jestem dumna z moich rzeczy. Wiesz, z moich rzeczy i z wszystkich dzieci.

- Myślę - zauważyła pani Oliver - że ludzie tacy jak pani musieli mieć cudowne życie. Wszystkie dzieci, którymi się pani zajmowała.

- Tak. Pamiętam, kiedy ty byłaś mała, lubiałaś słuchać moich historyjek. Jedna była o tygrysie, a druga o małpach na drzewie.

- Tak - przyznała pani Oliver. - Pamiętam je. Ta było tak dawno temu.

Cofnęła się pamięcią do czasów, kiedy miała sześć albo siedem lat. Szła w za ciasnych, zapinanych na guziczki butach drogą w Anglii i słuchała opowieści towarzyszącej jej niani o Indiach i Egipcie. To właśnie była niania. Pani Matcham była nianią. Rozejrzała się po pokoju, idąc za gospodynią. Spojrzała na zdjęcia dziewczynek, chłopców w szkolnych mundurkach, dzieci ludzi w średnim wieku, przeważnie w swych najlepszych ubraniach. Na zdjęcia przesłane w ładnych ramkach, ponieważ wychowankowie nie zapomnieli o swojej niani. Prawdopodobnie to dzięki nim niania spędzała starość stosunkowo wygodnie, mając dość pieniędzy. Pani Oliver poczuła nagle łyzy w oczach. To było tak niepodobne do niej, że powstrzymała się wysiłkiem woli. Weszła za panią Matcham do kuchni. Tam wyjęła przywieziony prezent.

- No nie! Puszka Tophole Thathams. Moja ulubiona herbata. Miło, że pamiętałaś. Trudno ją teraz dostać. A to moje ulubione herbatniki. No, ale ty nigdy nie zapominasz. Jak to

cię przezywali? Ci dwaj mali chłopcy, którzy przychodzili się bawić. Jeden nazywał cię Panią Słoniową, a drugi Panią Łabędziową. Ten, co to nazywał cię Panią Słoniową, siadał ci na plecach, a ty chodziłaś na czworakach po podłodze i udawałaś, że masz trąbę i że podnosisz nią różne rzeczy.

- Nie zapominasz wielu rzeczy, prawda, niani? - spytała pani Oliver.

- Och! - odparła pani Matcham. - Słonie mają dobrą pamięć. To takie stare powiedzenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pani Oliver pracuje

Pani Oliver przekroczyła próg sklepu Williams & Barnet, czyli dobrze zaopatrzonej apteki sprzedającej również kosmetyki. Zatrzymała się przy tacy z różnymi rodzajami plastrów, zawahała nad stosem gąbek, niezdecydowanie powędrowała w stronę lady i obok ładnie rozłożonych kosmetyków upiększających według koncepcji Elizabeth Arden, Heleny Rubinstein, Maxa Factora i innych dobroczyńców kobiecej urody.

Zatrzymała się na koniec obok dość pulchnej dziewczyny i zapytała o szminkę, a potem wykrzyknęła ze zdumieniem:

- Ależ to Marlene! To ty, nie myłę się?

- Co za spotkanie. Pani Oliver. Tak się cieszę. To cudowne. Ależ wszystkie dziewczyny będą podekscytowane, kiedy powiem, że zaszła pani do nas coś kupić.

- Nie ma potrzeby im mówić - odrzekła pani Oliver.

- Jestem pewna, że zaraz przybiegną po autograf!

- Wolałabym obyć się bez tego - powiedziała pani Oliver. - Jak ci się wiedzie, Marlene?

- Jakoś leci, jakoś leci - odparła Marlene.

- Nie wiedziałam, że nadal tu pracujesz.

- Tu jest równie dobrze jak gdzie indziej i dobrze mnie traktują. W zeszłym roku podwyższyli mi pensję i teraz właściwie nadzoruję dział kosmetyczny.

- A twoja matka? Dobrze się miewa?

- O tak. Mama ucieszy się, kiedy jej powiem, że panią spotkałam.

- Ciągle mieszka w domu przy... przy drodze za szpitalem?

- O tak, dalej tam mieszkamy. Z tatą nie jest najlepiej. Był w szpitalu, ale mama naprawdę dobrze sobie radzi. Ucieszy się, że panią spotkałam. Zatrzyma się pani na dłużej?

- Właściwie nie - odparła pani Oliver. - Po prostu przejeżdżałam tędy. Odwiedziłam dawną przyjaciółkę - Zastanawiam się - zerknęła na zegarek - czy twoja mama będzie teraz w domu? Mogłabym wpaść do niej. Zamienić parę słów, zanim będę musiała jechać dalej.

- Och, proszę tak zrobić - powiedziała Marlene. - Tak się ucieszy. Przepraszam, że nie odprowadzę pani, ale raczej nie patrzono by na to zbyt dobrze. Nie mogę stąd wyjść jeszcze przez półtorej godziny.

- No cóż, może innym razem - pocieszyła ją pani Oliver. - I tak nie pamiętam: to dom

numer siedemnaście? Czy może ma jakąś nazwę?

- Wawrzynowa Chatka.

- A tak, oczywiście. Ależ ze mnie głuptas. Cóż, miło było cię widzieć, Marlene.

Pani Oliver pospieszyła na zewnątrz z nową, niepotrzebną szminką w torbie i pojechała swoim samochodem główną ulicą Chipping Bartram, minęła garaż i szpital i skręciła w wąską drogę z ładnymi domkami po obu stronach.

Zostawiła auto przed Wawrzynową Chatką i weszła do środka. Drzwi otworzyła pięćdziesięcioletnia chuda, energiczna kobieta o siwych włosach, która natychmiast rozpoznała gościa.

- Pani Oliver! Nie widziałam pani od wieków.

- Minęło dużo czasu.

- Proszę wejść do środka. Wypije pani filiżankę herbatki?

- Raczej nie - odparła pani Oliver. - Piłam już herbatę u przyjaciółki, a muszę wracać do Londynu. Zaszłam do apteki i spotkałam Marlene.

- Ma bardzo dobrą pracę. I bardzo ją tam cenią. Mówią, że jest przedsiębiorcza.

- To bardzo miło. A jak pani się miewa, pani Buckle? Bardzo dobrze pani wygląda.

Niewiele się pani postarzała od ostatniego czasu.

- Nie powiedziałabym. Siwe włosy, no i sporo schudłam.

- To najwyraźniej dzień, kiedy spotykam przyjaciół, których znałam dawno temu - powiedziała pani Oliver, wchodząc do domu. Została zaprowadzona do małego raczej przeladowanego saloniku. - Nie wiem, czy pamięta pani panią Carstairs. Panią Julię Carstairs.

- Oczywiście. Mniej więcej. Musi być już stara.

- Tak, w rzeczy samej. Ale rozmawialiśmy o starych czasach. Mówiliśmy nawet o tej tragedii, wie pani. Ja wtedy byłam w Ameryce, więc niewiele wiem. Para nazwiskiem Ravenscroft.

- Dobrze ich pamiętam.

- Pracowała pani dla nich kiedyś, prawda?

- Tak. Trzy razy w tygodniu, rano. Bardzo mili byli z nich ludzie. Wie pani, prawdziwa żona oficera dżentelmen, można by rzec. Stara szkoła.

- To była prawdziwa tragedia.

- Tak, rzeczywiście.

- Pracowała pani wtedy u nich?

- Nie. Zrezygnowałam. Moja stara ciotka Emma zamieszkała z nami, a była prawie ślepa i niezbyt zdrowa, więc nie miałam już czasu, żeby pracować u innych. Ale byłam u nich

jeszcze miesiąc czy dwa przed tragedią.

- Taki okropny wypadek - zauważyła pani Oliver. - Sądzone, o ile wiem, że to było samobójstwo.

- Nie wierzę - odrzekła pani Buckle. - Jestem pewna, że nigdy nie popełniliby razem samobójstwa. Nie oni. Nie ktoś, komu żyje się tak przyjemnie. Oczywiście, nie mieszkali tu długo.

- Też mi się tak wydaje - powiedziała pani Oliver.

- Zaraz po powrocie do Anglii zamieszkali chyba gdzieś koło Bournemouth.

- Tak. ale uznali, że za daleko stamtąd do Londynu i dlatego przyjechali do Chipping Bartram. Mieli bardzo ładny dom i ładny ogród.

- Oboje byli zdrowi, kiedy pracowała pani u nich?

- Cóż, on czuł swoje lata, jak większość ludzi w jego wieku. Miał jakieś kłopoty z sercem albo mały wylew. Coś w tym rodzaju. Brał pigułki i od czasu do czasu musiał się położyć na dłużej.

- A lady Ravenscroft?

- Myślę, że tęskniła za życiem za granicą. Nie mieli tu wielu znajomych, choć jako ludzie z tej klasy, pani rozumie, poznali sporo rodzin. Ale pewnie nie przypominało to Malajów i innych miejsc. To znaczy takich, gdzie ma się służbę. I huczne przyjęcia.

- Myśli pani, że brakowało jej tych przyjęć?

- Tego nie wiem na pewno.

- Ktoś mi mówił, że zaczęła nosić perukę.

- Och, miała kilka peruk - odparła pani Buckle z lekkim uśmiechem. - Bardzo eleganckich i drogich. Od czasu do czasu odsyłała którąś do Londynu do sklepu, gdzie ją kupiła, a oni zmieniali fryzurę i wysyłali perukę z powrotem. Różne były. Jedna z kasztanowymi włosami, inna cała w małe, siwe loczki. Bardzo ładnie w niej wyglądała. Dwie nie były tak atrakcyjne, ile praktyczne. Na wietrzne dni, kiedy chce się coś włożyć na wypadek deszczu. Dużo myślała o swoim wyglądzie i wydawała sporo pieniędzy na stroje.

- Jak pani sądzi, co stało się przyczyną tragedii? - spytała pani Oliver. - Rozumie pani. skoro nie było mnie w pobliżu w tym czasie i nie widziałam żadnego z przyjaciół - byłam w Ameryce - przegapiłam wszystko, co mówiono, a przecież raczej nie zadaje się pytań ani nie pisze listów w takich sprawach. Myślę, że musiał być jakiś powód. O ile wiem, użyto rewolweru generała.

- Tak, miał dwa takie w domu, ponieważ mawiał, że żaden dom nie jest bezpieczny bez broni. Może miał rację. Nie żeby były wcześniej jakieś problemy. Jednego popołudnia

przyszedł taki dość odrażający typ. Nie spodobał mi się jego wygląd. Chciał zobaczyć się z generałem. Powiedział, że w młodości służył w pułku generała. Generał zadał mu parę pytań i według mnie uznał... No, chyba pomyślał sobie, że nie bardzo można na tym człowieku polegać. Więc go odesłał.

- Sądzi pani, że winny jest ktoś z zewnątrz?

- Nie widzę innej możliwości. Nie bardzo podobał się człowiek, który przez jakiś czas zajmował się ogrodem. Nie miał najlepszej reputacji i podobno wcześniej siedział parę razy w więzieniu. Ale oczywiście generał przyjął jego referencje i chciał dać mu szansę.

- Myśli pani, że ogrodnik mógł ich zabić?

- Właściwie to zawsze tak myślałam. Ale pewnie się mylę. Tyle że nie wydaje mi się... To znaczy ci. co .twierdzili, że był jakiś skandal dotyczący jego albo jej i że albo on zastrzelił ją, albo ona jego - według mnie to bzdura. To musiał być ktoś obcy. Jeden z tych... Wtedy nie było tak źle jak dziś. Musi pani pamiętać, że to działo się, zanim ludziom przyszło do głowy używać przemocy. Niech pani spojrzy, o czym czyta się teraz w prasie każdego dnia. Młodzi ludzie, praktycznie jeszcze chłopcy, biorą narkotyki, tracą rozum i zaczynają szaleć strzelając do ludzi zupełnie bez powodu, zapraszają dziewczynę w pubie na drinka, odprowadzają ją do domu, a następnego dnia ktoś znajduje w rowie jej ciało. Porywają niemowlęta z wózków, zabierają dziewczyny na tańce i mordują je albo duszą w powrotnej drodze. Człowiek czuje się tak, jakby każdy mógł zrobić wszystko. A z drugiej strony ta miła para, generał i jego żona, idzie na wieczorny spacer, i oboje kończą z kulą w głowie.

- Strzelono w głowę?

- Teraz już nie pamiętam dokładnie i oczywiście sama nic nie widziałam. Chodzi mi o to, że po prostu jak zwykle poszli na spacer.

- Nie kłócili się?

- Czasem przemówili się, ale kto tego nie robi?

- Nie mieli żadnych sympatii?

- Jeśli można użyć tego słowa wobec ludzi w ich wieku... To znaczy mówiło się coś tu i tam, ale to bzdury. Nic nie było. Ludzie lubią wymyślać takie rzeczy.

- Może jedno z nich było... chore?

- Lady Ravenscroft wyjechała do Londynu ze dwa razy na konsultacje z lekarzem i chyba wybierała się do szpitala czy raczej zamierzała położyć się na operację, choć nigdy nie powiedziała mi, jaką. Ale myślę, że udało im się ją wyleczyć, bo krótko leżała w tym szpitalu. A po powrocie wyglądała dużo młodziej. Miała piękną cerę i tak ładnie jej było w tych perukach z loczkami. Jakby wróciła do życia.

- A generał Ravenscroft?

- To był bardzo miły dżentelmen. Nigdy nie słyszałam o żadnym skandalu i nie sędzę, żeby był jakiś.

Ladzie plotkują, ale tak jest zawsze, kiedy dochodzi do tragedii. Wydaje mi się, że mógł uderzyć się w głowę na Malajach. Mój wuj czy stryj spadł kiedyś z konia, chyba prosto na armatę, i od tej pory zdziwaczał. Wszystko było w porządku przez pół roku, a potem musieli go umieścić w zakładzie, ponieważ chciał zabić swoją żonę. Mówił, że go prześladowe i śledzi, że szpieguje dla innego kraju. Nigdy nie wiadomo, co dzieje się czy może się przydarzyć w rodzinie.

- Ale nie sądzi pani, żeby było coś z prawdy w opowieściach, które słyszałam: o niesnaskach między nimi, w których efekcie jedno mogło zabić drugie i siebie.

- Na pewno nie.

- Czy jej dzieci były wówczas w domu?

- Nie. Panienska... jakżesz ona ma na imię? Rosie? Nie. Penelopa?

- Celia - podpowiedziała pani Oliver. - To moja chrzestna córka.

- Oczywiście. Teraz sobie przypominam. Pamiętam jak raz przyjechała pani po nią. Dziewczyna pełna wigoru, choć skora do gniewu, ale bardzo przywiązana do ojca i matki. Kiedy to się stało, była w szkole w Szwajcarii, na szczęście, bo przeżyłaby okropny szok. Gdyby znalazła ich ciała.

- Mieli jeszcze chłopca, prawda?

- A tak. Panicz Edward. Generał trochę się o niego martwił. Wyglądało na to, że chłopiec nie lubi ojca.

- Och, to nic poważnego. Chłopcy przechodzą taki okres. Czy był bardzo przywiązany do matki?

- Według mnie trochę za bardzo się nad nim trzęsła, co go męczyło. Wie pani, dzieci nie lubią nadopiekuńczych rodziców, co to każą zakładać ciepleszy podkoszulek czy drugi sweter. Ojcu nie podobała się jego fryzura. Wtedy młodzież nie nosiła aż takich fryzur jak dziś, ale już zaczynała, jeśli wyrażam się jasno.

- Ale chłopca nie było w domu w czasie tragedii?

- Nie.

- Musiał to być dla niego szok?

- Na pewno. Wtedy oczywiście nie chodziłam już do nich, więc niewiele słyszałam. Jeśli pyta pani o moje zdanie, to nie podobał mi się ogrodnik. Jak się nazywał? Chyba Fred. Fred Wizell. Jakoś tak. Wydaje mi się, że jeśli trochę... trochę oszukiwał i generał to odkrył i

chciał co wylać, to mógłby to zrobić.

- Zastrzelić generała i jego żonę?

- Cóż, pewnie zabiłby samego generała. A gdyby żona generała nadeszła, musiałby zastrzelić i ją. Czyta się o takich historiach w książkach.

- Tak - odparła pani Oliver z namysłem. - W książkach można znaleźć wszystko.

- Był jeszcze nauczyciel. Nie lubiłam go.

- Jaki nauczyciel?

- Wcześniej chłopiec miał nauczyciela. Nie mógł zdać egzaminu i miał kłopoty w poprzedniej szkole, chyba przygotowawczej. Więc zatrudnili nauczyciela. Uczył go przez jakiś rok. Lady Ravenscroft bardzo go lubiła. Była muzykalna, tak jak on. Pan Edmunds, tak się chyba nazywał. Dosyć ckliwy młody człowiek, tak sobie myślałam, i moim zdaniem generał Ravenscroft nie miał o nim najlepszej opinii.

- Odwrotnie niż lady Ravenscroft.

- Mieli wiele wspólnego. I myślę, że to ona tak naprawdę go wybrała, a nie generał. Miał dobre manieri, miło z każdym rozmawiał...

- A czy... jak on miał na imię?

- Edward? Tak, on bardzo go lubił. Prawie wielbił. Tak czy owak, niech pani nie wierzy w plotki o skandalu w rodzinie albo o tym, że ona miała z kimś romans, albo że generał miał romans z tą pobożniwą, która mu sekretarzowała. Nie. Kimkolwiek był ten podły morderca, był to ktoś obcy. Policja nigdy nikogo nie znalazła. Niedaleko widziano jakiś samochód, ale nic w tym nie było i śledztwo utknęło. Mimo to sądzę, że trzeba poszukać kogoś, kto znał Ravenscroftów na Malajach czy za granicą, albo nawet kiedy sprowadzili się do Bournemouth. Nigdy nie wiadomo.

- A co sądził o tym pani mąż? - spytała pani Oliver. - Nie wiedział o nich tak wiele jak pani, oczywiście, ale mógł sporo słyszeć.

- Och, oczywiście słyszał masę plotek. Wiezorami w "Jerzym i Sztandarze". Ludzie tyle wygadywali. Mówili, że ona pije i z domu wynosi się skrzynie pustych butelek. Absolutne kłamstwo, wiem to na pewno. Czasem przyjeżdżał do nich bratanek. Miał jakieś kłopoty z policją, ale nie sądzę, żeby coś w tym było. Tak uważała policja. Przynajmniej wtedy.

- Poza generałem Ravenscroftem i jego żoną nikt nie mieszkał w domu na stałe?

- Ona miała siostrę, która odwiedzała ich czasem.

Chyba jej cioteczna siostra. Była podobna do lady Ravenscroft. Zawsze sądziłam, że kiedy przyjeżdżała z wizytą, robiła między nimi trochę zamieszania. Należała do tych, co to

lubią namieszać, jeśli wie pani, o czym mówię. Mówiła coś tylko po to, by kogoś zdenerwować.

- Czy lady Ravenscroft lubiła ją?

- Jeśli mnie pani pyta, to nie bardzo. Myślę, że siostra przywiązała się do nich, a lady Ravenscroft nie lubiła, kiedy była daleko, ale chyba uważała ją za męczącą. Generał całkiem ją lubił, bo dobrze grała w karty. Grała z nim w szachy i tak dalej, a on za tym przepadał. W pewnym sensie była zabawna. Chyba pani Jerryboy, tak się chyba nazywała. Była wdową. I myślę, że pożyczala od nich pieniądze.

- Czy lubiła ją pani?

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proszę pani, to nie, nie lubiłam jej. Bardzo jej nie lubiłam. Uważałam, że to jedna z tych, co to sprawiają kłopoty. Ale nie odwiedziła ich na długo przed tragedią. Właściwie nie pamiętam jej za dobrze. Miała syna i przyjechali razem ze dwa razy. Nie przepadałam za nim. Taki chytrus.

- No cóż - podsumowała pani Oliver. - Przypuszczam, że nigdy nie odkryje się prawdy. Nie dziś. Nie po tak długim czasie. Dwa dni temu spotkałam moją chrzestną córkę.

- Doprawdy, proszę pani? Ciekawe, co u niej. Jak się jej wiedzie? Wszystko dobrze?

- Tak, wszystko układa się jej pomyślnie. Myślę, że zastanawia się nad małżeństwem.

W każdym razie ma...

- Stałego chłopca, prawda? - spytała pani Buckle. - Wszystkie przez to przeszłyśmy. Nie to, żebyśmy wychodziły za pierwszego, jaki się spodoba. Równie dobrze można odmówić, dziewięć razy na dziesięć.

- Nie zna pani pani Burton-Cox? - zmieniła temat pani Oliver.

- Burton-Cox? Chyba coś kojarzę. Nie, raczej nie. Nie mieszkała tu ani nie zatrzymała się u Ravenscroftów? Nie, nie przypominam sobie. Tak, coś słyszałam. Chyba jakaś stary przyjaciel generała Ravenscrofta z Malajów. Ale nie jestem pewna. - Potrząsnęła głową.

- Cóż - powiedziała pani Oliver. - Nie mogę plotkować dłużej. Miło było zobaczyć panią i Marlene.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rezultaty polowania na słonie

- Był telefon do pana - powiedział służący Herkulesa Poirota, George. - Od pani Oliver.

- A tak. I co mówiła?

- Zastanawiała się, czy może odwiedzić pana wieczorem po obiedzie.

- To byłoby zachwycające - odparł Poirot. - Zachwycające. Miałem męczący dzień. Odwiedziny pani Oliver będą stymulującym doświadczeniem. Jest zabawna zawsze zaskakuje mnie tym, co mówi. Przy okazji, czy wspominała o słoniach?

- O słoniach? Nie, raczej nie.

- Aha. W takim razie być może słonie ją rozczarowały.

George spojrział na swego pana z powątpiewaniem. Niekiedy nie całkiem rozumiał trafność uwag Poirota.

- Oddzwoń do niej - polecił detektyw - i powiedz, że będę zachwycony mogąc ją gościć.

George odszedł, by wykonać polecenie, i po chwili wrócił z wiadomością, że pani Oliver zjawi się za kwadrans dziewiąta.

- Kawa - zaordynował Poirot. - Przygotujemy kawę i trochę *petit-fours*¹⁷. Ostatnio chyba zamówiłem je u Fortnuma i Masona.

- Jakiś likier, sir?

- Raczej nie. Ja sam wypiję odrobinę *sirop de cassis*.

- Tak, sir.

Pani Oliver zjawiała się dokładnie o czasie. Poirot powitał ją z wszelkimi oznakami zadowolenia.

- I jak się pani miewa, *chere madame*?

- Jestem wyczerpana - odparła pani Oliver. Opadła na wskazany przez Poirota fotel.

- Kompletnie wyczerpana.

- Ach- *Qui va a la chasse...* nie pamiętam, jak to brzmi dalej.

- Ja pamiętam - powiedziała pani Oliver. - Uczyłam się tego w dzieciństwie. *Qui va a*

¹⁷ fr. herbatniki

*la chasse, perd sa place.*¹⁸

- Na pewno nie jest to adekwatne do polowania, które pani prowadzi. Mówię o poszukiwaniu słoni. Chyba że to jedynie metafora.

- Wcale nie - zaprzeczyła pani Oliver. - Szukałam słoni jak szalona. Tu i tam... wszędzie. Spaliłam masę benzyny, złapałam mnóstwo pociągów, napisałam stosy listów i wysłałam tyle telegramów... nie uwierzyłby pan, jakie to wyczerpujące.

- W takim razie proszę odpocząć. I napić się kawy.

- Dobra, mocna czarna kawa. Tak, chętnie. Właśnie tego mi trzeba.

- Czy osiągnęła pani, niech mi będzie wolno zapytać, jakieś efekty?

- Mnóstwo - odparła pani Oliver. - Problem w tym, że nie wiem, czy będzie z nich jakikolwiek pożytek.

- Jednak poznała pani fakty?

- Nie. Niezupełnie. Usłyszałam to, co ludzie uważali za fakty, ale wątpię, czy cokolwiek z tego rzeczywiście jest faktem.

- A więc to pogłoski?

- Nie. To, co przewidywałam. Wspomnienia. Mnóstwo ludzi ze wspomnieniami. Kłopot w tym, że kiedy się coś pamięta, nie zawsze pamięta się dobrze, prawda?

- Rzeczywiście. Ale to nadal coś, co można nazwać rezultatem. Czyż nie?

- A co pan zrobił? - spytała pani Oliver.

- Zawsze jest pani tak uparta, madame - stwierdził Poirot. - Żąda pani, bym biegał w kółko i coś robił.

- A biegał pan?

- Nie biegałem, ale przeprowadziłem kilka rozmów z ludźmi mojej profesji.

- Brzmi o wiele spokojniej od tego, czym ja się zajmowałam - westchnęła pani Oliver.

- Jaka dobra ta kawa. Naprawdę mocna. Nie uwierzyłby pan, jak bardzo jestem zmęczona. I zagubiona.

- Ależ, madame. Powinniśmy spodziewać się rzeczy dobrych. Na pewno coś pani osiągnęła. Jak przypuszczam, ma pani coś w zanadrzu.

- Mnóstwo różnych sugestii i opowieści. Wie wiem, czy którakolwiek jest prawdziwa.

- Mogą nie być prawdziwe, ale wciąż użyteczne - stwierdził Poirot.

- Wiem, o co panu chodzi. Też tak sędzę. To znaczy, sądziłam tak na początku. Kiedy ludzie pamiętają coś i opowiadają o tym... często nie całkiem to jest to, co się wydarzyło, a

¹⁸ fr. Kto wyrusza na łowy, traci spokój

bardziej to, co oni sądzą, że się stało.

- Ale musieli się na czymś opierać - zauważył Poirot.

- Przyniosłam panu listę. - Nie będę wchodzić w szczegóły tego, gdzie pojechałam, co mówiłam i dlaczego. Pojechałam zebrać informacje, których pewnie nie można by teraz zdobyć w Anglii. Ale wszystkie pochodzą od ludzi, którzy wiedzieli coś o Ravenscroftach, nawet jeśli nie znali ich za dobrze.

- Wieści z zagranicy?

- Całkiem spora ich część pochodzi z zagranicy. Od ludzi, którzy poznali trochę Ravenscroftów w Anglii lub od tych, których ciotki, kuzyni czy znajomi znali ich dawno temu.

- I każdy, kogo pani pytała, miał jakąś historię do opowiedzenia, własne uwagi o tragedii lub ludziach z nią związanych.

- Właśnie tak - przyznała pani Oliver. - Opowiem panu wszystko z grubsza, dobrze?

- Tak- Proszę poczęstować się *petit-four*.

- Dziękuję - odparła pani Oliver.

Wzięła wyjątkowo słodki i najprawdopodobniej ciężkostrawny herbatnik i schrupała go energicznie.

- Zawsze powtarzam - powiedziała - że słodczyce dodają energii. Oto co usłyszałam. Najczęściej powtarzało się: "A tak, oczywiście! Jaka to smutna historia! Myślę, że każdy wie, co się naprawdę stało". Tak mówiono.

- Tak.

- Wszyscy uważali, że wiedzą, co się wydarzyło. Ale nie potrafili podać żadnego sensownego powodu. Powtarzali tylko, co ktoś im powiedział, albo co usłyszeli - od przyjaciół, służących czy krewnych. Sugestie są najróżniejsze. na przykład, że generał Ravenscroft pisał wspomnienia z pobytu na Malajach, w czym pomagała mu młoda kobieta, sekretarka, która notowała jego słowa i przepisywała na maszynie, że była to ładna dziewczyna i bez wątplenia było coś między nimi. W efekcie... cóż, są dwie szkoły. Według pierwszej on zastrzelił żonę, ponieważ miał nadzieję ożenić się z dziewczyną, a kiedy zastrzelił ją, natychmiast przeraził się tego, co zrobił zastrzelił siebie...

- Zgadza się - ocenił Poirot. - Wyjaśnienie romantyczne.

- Druga szkoła bierze pod uwagę nauczyciela syna Ravenscroftów. Chłopiec chorował i przez jakieś półroku nie chodził do szkoły. Nauczyciel był przystojnym, młodym człowiekiem.

- Ach tak. I żona zakochała się w nim. Miała z nim może romans?

- Tak się uważa - przyznała pani Oliver. - Nie ma dowodów. Znowu romantyczne przypuszczenia.

- I dlatego?

- Dlatego według drugiej teorii generał zabił żonę i pod naporem wyrzutów sumienia siebie. Zgodnie z inną wersją, generał miał romans, jego żona dowiedziała się o tym i zastrzeliła najpierw jego, a potem siebie. Za każdym razem opowiadanie trochę się różni. Ale tak naprawdę nikt nic nie wie. Za każdym razem jest to po prostu prawdopodobna historyjka. Chodzi mi o to, że generał mógł mieć romans z dziewczyną albo z mnóstwem dziewcząt, z jakąś zamezną kobietą... i jego żona mogła mieć romans. Za każdym razem słyszałam o kimś innym. Wspominanym niejasno i bez dowodów. To tylko plotki krążące dwanaście czy trzynaście lat temu, dzisiaj już raczej zapomniane. Ale zapamiętano tyle, żeby przekazać kilka nazwisk i niewiele pomylić się co do wydarzeń. W domu mieszkał ponury ogrodnik, miła starsza gospodyni, trochę ślepa i głucha, ale jej nikt nie podejrzewa. I tak dalej. Zapisałam wszystkie nazwiska i możliwe rozwiązania. Niektóre nazwiska zapamiętano błędnie, niektóre poprawnie. Bardzo to wszystko trudne. Jego żona, jak zrozumiałam, chorowała przez krótki czas, chyba miała jakąś gorączkę. Najprawdopodobniej wypadły jej włosy, bo kupiła cztery peruki. W jej rzeczach znaleziono co najmniej cztery nowe peruki.

- Tak. Też to słyszałem - powiedział Poirot.

- Od kogo?

- Od znajomego z policji. Sprawdził dokumentację śledztwa i spis rzeczy znalezionych w domu. Cztery peruki! Chciałbym poznać pani zdanie, madame. Nie sady pani, że cztery peruki to lekka przesada?

- Właściwie tak - zgodziła się pani Oliver. - Moja ciotka miała dodatkową perukę, z tym że jedną wysyłała do uczesania i w tym czasie nosiła drugą. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś miał aż cztery.

Pani Oliver wyjęta z torby mały notes i przerzuciła kartki szukając zapisków.

- Panu Carstairs. Ma siedemdziesiąt siedem lat i jest trochę zramolała. Cytuję: "Tak, całkiem dobrze pamiętam Ravenscroftów. Bardzo miła para. To bardzo smutne. Tak. To był rak!" Zapytałam, które z nich miało raka - ciągnęła pani Oliver - ale tego pani Carstairs nie mogła sobie przypomnieć. Powiedziała, że chyba żona pojechała do Londynu do lekarza, miała operację, a po powrocie do domu była przygnębiona i mąż bardzo się tym przejmował. Więc oczywiście zastrzelił ją i siebie.

- Czy tak brzmiała jej teoria, czy też dokładne fakty?

- Myślę, że była to jedynie teoria. Z tego, co zobaczyłam i usłyszałam w trakcie moich

badań - powiedziała pani Oliver, kładąc nacisk na ostatnie słowo - jeśli tylko ktoś dowie się, że jego niezbyt bliski znajomy nagle wpada w chorobę lub konsultuje się z lekarzem, zawsze uznaje, że to rak. Tak samo było tutaj. Nie mogę przeczytać jej nazwiska, chyba zaczynało się na T... no więc ta kobieta powiedziała, że to mąż miał raka. Był bardzo nieszczęśliwy, podobnie jak żona. Przedyskutowali cały problem i nie mogąc go znieść, ponowili popełnić samobójstwo.

- Smutne i romantyczne - podsumował Poirot.

- Tak, i raczej nieprawdziwe - odparła pani Oliver.- To przygnębiające, prawda? Że ludzie pamiętają tak dużo, ale tak naprawdę przeważnie sami to wymyślili.

- Wymyślili rozwiązanie znanej im historii - sprecyzował Poirot. - Innymi słowy, wiedzą, że ktoś wyjechał do Londynu, powiedzmy, do lekarza, albo że ktoś leżał w szpitalu przez dwa lub trzy miesiące. Tak wygląda znany im fakt.

- Tak - zgodziła się pani Oliver. - A kiedy zaczynają rozmawiać o tym dużo później. Przyjmują rozwiązanie, które sami wymyślili. Nie bardzo to pomocne, prawda?

- Wręcz przeciwnie - nie zgodził się Poirot.- Ma pani absolutną słuszość w tym. co mi pani powiedziała.

- O słoniach? - spytała z powątpiewaniem pani Oliver.

- O słoniach - przytaknął detektyw. - Ważne jest, by poznać fakty tkwiące w ludzkiej pamięci, choć zapomniano już, jakie były dokładnie, dlaczego nastąpiły i co stanowiło ich przyczynę. Ale ludzie mogą wiedzieć coś, czego my nie wiemy ani nie mamy szans się dowiedzieć. Mamy za to wspomnienia wiodące do teorii. Teorii o niewierności, chorobie, wspólnym samobójstwie, zazdrości - to wszystko pani sugerowano. Dalsze poszukiwania winny mieć na celu odkrycie, czy teorie te mogą być w jakimkolwiek stopniu prawdopodobne.

- Ludzie lubią wspominać przeszłość - zauważyła «ni Oliver. - Lubią wspominać przeszłość o wiele bardziej niż dyskutować o tym, co dzieje się obecnie czy stało się w zeszłym roku. To sprawia, że pewne kwestie powracają. Najpierw mówią oczywiście o ludziach, o których nie mam ochoty słuchać, ale potem dowiaduję się, co inni, zapamiętani przez nich, wiedzieli o kimś nie znanym osobiście, a tylko ze słyszenia. Tak jakby generał i lady Ravenscroft należeli do innego pokolenia. To przypomina stosunki rodzinne. Pierwszy kuzyn w drugiej linii, drugi kuzyn w trzeciej linii i tak dalej. Chyba nie okazałam się za bardzo pomocna.

- Nie wolno pani tak myśleć - sprzeciwił się Poirot. - Jestem przekonany, że dojdzie pani wkrótce do wniosku, iż niektóre z zapisków w pani ładnym fioletowym notesiku mają

coś wspólnego z minioną tragedią. Mogę pani powiedzieć, na podstawie moich własnych badań oficjalnych raportów dotyczących śmierci tej pary, że sprawa pozostała tajemnicą. To znaczy z punktu widzenia policji. Była to para przywiązana do siebie; brakuje plotek czy pogłosek o tym, iżby mieli jakieś romanse; nie odkryto żadnej choroby, która mogłaby skłonić ich do odebrania sobie życia. Proszę pamiętać, że mówię teraz o okresie bezpośrednio poprzedzającym tragedię. Lecz istniał przecież okres wcześniejszy.

- Wiem, o co panu chodzi - powiedziała pani Oliver. - I dowiedziałam się czegoś od starej niani. Teraz ma... nie jestem pewna, może i sto lat, ale raczej chyba koło osiemdziesięciu. Pamiętam ją z dzieciństwa. Opowiadała mi o ludziach odbywających służbę za granicą: w Indiach, Egipcie, Syjamie, Hongkongu i tak dalej.

- Coś w jej słowach zainteresowało panią?

- Tak - przyznała pani Oliver. - Opowiedziała mi o pewnej tragedii. Niania nie była całkiem pewna, co dokładnie się stało. Nie wiem, czy miało to cokolwiek wspólnego z Ravenscroftami. Może chodzi o zupełnie innych ludzi, ponieważ niania nie pamięta za dobrze nazwisk. To była historia o chorobie umysłowej w pewnej rodzinie. Czyjaś szwagierka. Siostra generała Jakiegośtam albo pani Jakiejśtam. Ktoś, kto od lat przebywał w zakładzie dla obłąkanych. Dawno temu. jak zrozumiałam, zabiła swoje dzieci albo próbowała je zabić, a potem albo uznano, że wyzdrowiała, albo zwolniono ją warunkowo i wyjechała do Egiptu, na Malaje czy gdzieś tam. Zamieszkała ze swoją rodziną. Później chyba doszło do następnej tragedii, znów związanej najprawdopodobniej z dziećmi. W każdym razie sprawę zatuszowano. Ale ja zaczęłam się zastanawiać. Czy był ktoś umysłowo chory albo w rodzinie lady Ravenscroft, albo generała Ravenscrofta? Nie musiał być to ktoś równie bliski jak siostra. Wystarczyłby kuzyn. Wydało mi się, że byłaby to prawdopodobna linia śledztwa.

- Tak - zgodził się Poirot - zawsze istnieje taka możliwość: coś, co czekało przez lata, a potem powraca z przeszłości, by się zemścić. Ktoś mi to powiedział. "Stare grzechy rzucają długie cienie".

- Wydawało mi się - zauważyła pani Oliver - że nie jest to prawdopodobne; stara niania Matcham raczej nie zapamiętała prawdziwych zdarzeń i nie dotyczyły one nawet tych ludzi, o których myślała. Lecz ta historia pasowałaby do tego, co powiedziała mi ta okropna kobieta na obiedzie literackim.

- To znaczy, kiedy chciała dowiedzieć się...

- Właśnie. Kiedy chciała, żebym wypytała dziecko, moją chrzestną córkę, czy jej matka zabiła ojca czy też jej ojciec zabił matkę.

- Myślała, że dziewczyna może wiedzieć?

- Właściwie mogła. Może nie dowiedziała się wtedy: wtedy prawdopodobnie chroniono ją. Natomiast mogła wiedzieć o pewnych sprawach, które uświadomiły jej, co zaszło w życiu jej rodziców i kto mógł ich zabić. Choć prawdopodobnie nigdy by o tym nie napomknęła i nie opowiedziała nikomu.

- I mówi pani, że ta kobieta, pani...

- Dokładnie. Zapomniałam, jak się nazywa. Pani Burton coś tam. Mniej więcej tak. Mówiła, że jej syn chodzi z dziewczyną i że oboje myślą o małżeństwie. Rozumiem, że w takim wypadku matka chce się dowiedzieć, czy rodzice narzeczonej syna mają w rodzinie jakichś przestępców... albo szaleńców. Prawdopodobnie uważała, że jeśli to matka dziewczyny zabiła jej ojca, nie byłoby mądrze, gdyby jej syn się ożenił; natomiast gdyby ojciec zabił matkę, pewnie by jej to tak bardzo nie przeszkadzało - zakończyła pani Oliver.

- Sądzi pani, że myślała, iż dziedziczy się w linii żeńskiej?

- Niezbyt mądra z niej kobieta. Apodyktyczna - stwierdziła pani Oliver. - Uważa, że dużo wie, ale tak nie jest. Myślę, że kobieta mogłaby tak pomyśleć.

- Intrygujący punkt widzenia - ocenił Poirot - ale możliwy. Tak, rozumiem. - Westchnął. - Wciąż mamy przed sobą wiele pracy.

- Jeszcze coś może rzucić światło na sprawę. Relacja znów z drugiej ręki. Jeśli wyrażam się jasno. Wie pan. Ktoś stwierdził: "Ravenscroftowie? Czy to nie ta para, która adoptowała dziecko? A potem, kiedy wszystko zostało już zaaranżowane, a oni bardzo przywiązali się do dziecka, bardzo je polubili (jedno z ich dzieci zmarło, jak sądzę, na Malajach) - tak więc zaadoptowali dziecko, ale jego matka chciała je odzyskać i sprawa stanęła w sądzie. Sąd przyznał im opiekę nad dzieckiem, a matka usiłowała je porwać".

- Z pani raportu wyłaniają się prostsze kwestie - zauważył Poirot - i te wolę.

- Na przykład?

- Peruki. Cztery peruki.

- Zauważyłam - przyznała pani Oliver - że to pana zainteresowało, ale nie wiem. Dlaczego. Liczba peruk nie wydaje się mieć jakiegokolwiek znaczenia. Druga historia jest o kimś umysłowo chorym. Niektórzy umysłowo chorzy trafiają do szpitali psychiatrycznych i domów wariatów, ponieważ zabili swoje dzieci albo obce dziecko z jakiegoś zupełnie zwariowanego powodu, kompletnie pozbawionego sensu. Nie rozumiem, dlaczego miałyby to pchnąć generała i jego żonę do samobójstwa.

- Chyba że jedno z nich było w to zamieszane - powiedział Poirot.

- To znaczy, że generał Ravenscroft mógł zabić kogoś? Jakiegoś chłopca, na przykład bękarta swojej żony lub własnego? Nie, chyba robimy się zbyt melodramatyczni. Albo że ona

mogła zabić dziecko swojego męża lub własne?

- A jednak - upierał się Poirot - ludzie najczęściej są tacy, jakimi się wydają.

- To znaczy...?

- Ravenscroftowie wyglądali na parę przywiązaną do siebie, żyjącą szczęśliwie, bez kłótni. Wydawało się, że nie chorują, poza wzmiankami o operacji, o wizycie jej czy jego w Londynie i konsultacji z autorytetem medycznym, wzmiankami o raku, leukemii, przyszłości, której nie mogli stawić czoła. A jednak docieramy jedynie do tego, co możliwe, a nie co prawdopodobne. Czy w domu był ktoś jeszcze właśnie wtedy? Policja, to znaczy moi przyjaciele z policji znający prowadzone wówczas śledztwo twierdzą, że oprócz faktów nic, co zostało powiedziane, nie pokrywa się z rzeczywistością. Z jakichś powodów tych dwoje ludzi nie chciało dłużej żyć. Dlaczego?

- Znałam pewne małżeństwo - zaczęła pani Oliver - w czasie wojny, to znaczy drugiej wojny. Sądzili, że Niemcy mogą wylądować w Anglii i postanowili, że gdyby do tego doszło, popełnią samobójstwo. Uważałam, że to bardzo głupie. A oni wyjaśnili, że dalsze życie byłoby niemożliwe. Dalej wydaje mi się to głupie. Trzeba mieć dość odwagi, by przeżyć. To przecież nie jest tak, żeby czyjaś śmierć mogła przynieść coś dobrego innym. Zastanawiam się, czy...

- Tak? Nad czym się pani zastanawia?

- Właśnie mi to przyszło do głowy. Zastanawiam się, czy śmierć generała i jego żony przyniosła coś dobrego komuś innemu.

- To znaczy, czy ktoś odziedziczył po nich pieniądze?

- Tak. Choć niezupełnie tak rażąco jednoznacznie. Może ktoś zyskał szansę polepszenia swojego losu. Nie chcieli, by którekolwiek z dzieci kiedykolwiek dowiedziało się o czymś, co kryło się w ich życiu.

Herkules Poirot westchnął.

- Kłopot z panią - stwierdził - polega na tym, że tak często myśli pani o czymś, co mogło się wydarzyć. Podsuwa mi pani pomysły. Możliwe teorie. Gdyby tylko były one również prawdopodobne. Dlaczego? Dlaczego ich śmierć była konieczna? Dlaczego? Z tego, co widać, ani nie cierpieli, ani nie chorowali, ani nie byli głęboko nieszczęśliwi. W takim razie, dlaczego wieczorem pewnego pięknego dnia poszli na spacer na skały, zabierając ze sobą psa...

- A co ma do tego pies? - przerwała pani Oliver.

- Zastanawiałem się nad tym. Czy zabrali psa ze sobą, czy pies sam pobiegł za nimi?

Jaką rolę odegrał pies?

- Pewnie taką, jak peruki - odparła pani Oliver. - Po prostu kolejna rzecz, której nie można wyjaśnić i która wydaje się bez sensu. Jeden z moich słoni powiedział, że pies był przywiązany do lady Ravenscroft, a inny - że ją pogryzł.

- Zawsze wraca się do tego samego - stwierdził Poirot - Pragnie się wiedzieć więcej. - Westchnął. - Pragnie się wiedzieć więcej o ludziach, a jakże można się tego dowiedzieć, jeśli od tych ludzi dzielą nas całe lata?

- Przecież zrobił pan to raz czy dwa? - zauważyła pani Oliver. - Pamięta pan, jakiś zabity czy otruty malarz. Gdzieś nad morzem na jakichś umocnieniach. Odkrył pan, kto to zrobił, choć nie znalazł pan nikogo.

- Nie, nie znałem nikogo, ale poznałem poprzez ludzi, którzy byli na miejscu¹⁹.

- To właśnie usiłuję zrobić - powiedziała pani Oliver. - Tyle że nie mogę dotrzeć wystarczająco blisko. Nie mogę dotrzeć do nikogo, kto naprawdę coś wie, kto brał w tym udział. Naprawdę pan sądzi, że powinniśmy zrezygnować?

- Myślę, że to byłoby bardzo mądre - odparł Poirot - ale przychodzi taka chwila, kiedy nie chce się dłużej być mądrym. Pragnie się wiedzieć więcej. Teraz interesuje mnie ta para miłych ludzi z dwójką miłych dzieci. Zakładam, że to miłe dzieci?

- Nie znam chłopca - odparła pani Oliver. - Chyba nigdy go nie spotkałam. Chce pan poznać moją chrześną córkę? Jeśli tak, mogę ją przysłać do pana.

- Tak, myślę, że chciałbym ją poznać, spotkać się z nią. Może nie będzie chciała mnie odwiedzić, ale 3 można by zaaranżować spotkanie. Sądzę, że byłoby to interesujące. I chciałbym poznać jeszcze kogoś.

- Och.! Kogo takiego?

- Kobietę z przyjęcia. Tę apodyktyczną. Pani apodyktyczną przyjaciółkę.

- Ona nie jest moją przyjaciółką - oburzyła się pani Oliver. - Po prostu zaczepiła mnie.

- Może pani kontynuować tę znajomość?

- Tak, z łatwością. Myślę, że będzie aż nazbyt chętna.

- Chciałbym ją zobaczyć. Chciałbym dowiedzieć się, dlaczego ona chce wiedzieć.

- Racja. Przypuszczam, że to może okazać się użyteczne. Ale - pani Oliver westchnęła - z radością odpocznę od słoni. Niania... wie pan, stara niania, o której mówiłam, wspomniała słonie i to, że mają dobrą pamięć. To głupie zdanie zaczyna mnie prześladować. Cóż, teraz pan musi poszukać następnych słoni. Kolej na pana.

- A co z panią?

¹⁹ por. *Pięć małych świnek*

- Ja może poszukam łabędzi.

- Mon Dieu²⁰. a co do tego mają łabędzie?

- To tylko wspomnienie, coś, o czym przypomniała mi niania. Kiedyś bawiłam się z dwoma malcami i jeden nazywał mnie Panią Słoniową, a drugi Panią Łabędziową. Kiedy byłam Panią Łabędziową udawałam, że pływam po podłodze. Kiedy byłam Panią Słoniową, jeździli na moich pacach. W naszej historii nie ma łabędzi.

- To dobrze - stwierdził Poirot. - Słonie w zupełności wystarczą.

²⁰ fr. Mój Boże

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Desmond

Dwa dni później Herkules Poirot pił swoją poranną czekoladę, czytając równocześnie list doręczony z ranną pocztą. Czytał go po raz drugi. Pismo było stosunkowo czytelne, choć raczej niedojrzałe.

Szanowny Panie Poirot,

obawiam się, że uzna Pan mój list za nieco dziwaczny, dlatego może powołam się na nazwisko Pańskiej przyjaciółki. Próbowałem się z nią skontaktować, by spytać, czy może zaaranżować spotkanie z Panem, ale najwyraźniej wyjechała. Jej sekretarka - mówię o pani Ariadnie Oliver, pisarce - jej sekretarka mówiła coś o safari we wschodniej Afryce. Jeśli tak, to rozumiem, że przez jakiś czas jeszcze nie wróci. Ale jestem pewien, że pomogłaby mi. Bardzo pragnę się z Panem spotkać. Pilnie potrzebuję rady w pewnej sprawie.

O ile wiem, pani Oliver poznała moją matkę, która przedstawiła się jej na przyjęciu dla literatów. Będę bardzo wdzięczny, jeśli zechce Pan wyznaczyć dzień, w którym mógłbym Pana odwiedzić. Dostosuję się do każdej daty, jaką Pan zaproponuje. Nie wiem, czy może to w czymkolwiek pomóc, lecz sekretarka pani Oliver wymieniła słowo "słonie". Zakładam, że ma to jakiś związek z podróżą pani Oliver po wschodniej Afryce. Sekretarka wypowiedziała je tak, jakby było to hasło. Nie rozumiem tego za dobrze, ale Pan będzie może wiedział, o co chodzi. Jestem bardzo zmartwiony i niespokojny, i byłbym wdzięczny, gdyby mógł się Pan ze mną spotkać.

Z wyrazami szacunku,

Desmond Burton-Cox

- Nom d'un petit bonhomme!²¹ - wykrzyknął Herkules Poirot.

- Pan wybaczy, sir? - spytał George.

- Tak mi się wyrwało - odparł Poirot. - Pewnych rzeczy gdy już raz wedrą się w twoje życie, niezwykle trudno się pozbyć. W moim wypadku najwyraźniej są to słonie.

Wstał od stołu, wezwał swą wierną sekretarkę, pannę Lemon, wręczył jej list od Desmonda Burton-Coxa i poinstruował, by ustaliła spotkanie z jego autorem.

- W tej chwili nie jestem zbyt zajęty - zakończył. - Jutrzejszy dzień będzie całkiem dogodny.

²¹ fr. Do kroćset!

Panna Lemon przypomniała mu o dwóch wcześniej ustalonych spotkaniach, ale przyznała, że pozostawiają dość wolnych godzin i że zaaranżuje wszystko zgodnie z życzeniem pana Poirota.

- Czy ma to coś wspólnego z ogrodem zoologicznym? - spytała.

- Nie bardzo - odparł detektyw. - Nie, proszę nie wspominać w liście o słoniach. Nie możemy przesadzać. Słonie to duże zwierzęta. Zajmują dużo miejsca. Tak, zostawmy słonie w spokoju. Bez wątplenia pojawią się w toku rozmowy z Desmondem Burton-Coxem.

- Pan Desmond Burton-Cox - oznajmił George, wprowadzając oczekiwanego gościa.

Poirot opuścił wcześniej fotel i stał teraz obok kominka. Przez chwilę nie odzywał się, a potem podszedł Desmonda, zakończywszy ocenę. Dość nerwowy energiczny charakter. To naturalne, uznał Poirot. Czuje się trochę niezręcznie, ale udaje mu się to ukryć. Młody człowiek wyciągnął rękę mówiąc:

- Pan Herkules Poirot?

- To ja - przyznał detektyw. - A pańskie nazwisko brzmi Desmond Burton-Cox. Proszę usiąść i opowiedzieć mi, co mogę dla pana zrobić. Interesuje mnie powód, dla którego przyszedł pan do mnie.

- Wszystko to będzie raczej trudno wyjaśnić - zaczął Desmond Burton-Cox.

- Wiele jest spraw trudnych do wyjaśnienia - odparł Herkules Poirot - ale mamy mnóstwo czasu. Proszę usiąść.

Desmond spojrzał na stojącą przed nim postać z powątpiewaniem. Doprawdy, co za komiczna osoba, pomyślał. Jajowata głowa, wielkie wąsy. Niezbyt imponujący. Nie całkiem takiego człowieka spodziewał się poznać.

- Pan... jest pan detektywem, prawda? - spytał. - To znaczy bada pan... bada pan sprawy? Ludzie przychodzą do pana, odkryć coś albo poprosić, by coś pan dla nich odkrył?

- Tak - potwierdził Poirot. - To jedno z moich życiowych zadań.

- Nie przypuszczam, żeby wiedział pan, w jakiej sprawie przyszedłem i chyba nie wie pan wiele o mnie.

- A jednak coś wiem - odparł Poirot.

- Chodzi panu o panią Oliver, pańską przyjaciółkę? Coś panu powiedziała?

- Powiedziała, że przeprowadziła rozmowę ze swoją chrzestną córką, panną Celią Ravenscroft. Nie mylę się, prawda?

- Tak, tak, Celia mówiła mi. Ta pani Oliver, czy ona jest... czy ona zna też moją matkę? To znaczy, czy zna ją dobrze?

- Nie. Nie przypuszczam, żeby dobrze się znały. Według pani Oliver, spotkały się niedawno na przyjęciu dla literatów i zamieniły kilka słów. Jak rozumiem, pańska matka miała pewną prośbę do pani Oliver.

- Nie miała prawa tego robić - rzucił chłopiec.

Zmarszczył brwi, tak że prawie spotkały się u nasady nosa. Wyglądał w tej chwili gniewnie, niemal mściwie.

- Naprawdę - powiedział - matki... to znaczy...

- Rozumiem - pomógł mu Poirot. - Wszystkimi targają dziś burzliwe uczucia, choć może tak było zawsze. Matki stale robią dla swoich dzieci coś, czego raczej robić nie powinny. Mam rację?

- Ma pan absolutną rację. Ale moja matka... wtrąca się do spraw, które nie powinny jej w ogóle interesować.

- Pan i panna Celia Ravenscroft jesteście bliskimi przyjaciółmi, jak rozumiem. Ze słów pańskiej matki wynikało, że w grę może wchodzić małżeństwo. W niedalekiej przyszłości?

- Tak, ale moja matka naprawdę nie musi pytać i martwić się o sprawy, które... które zupełnie jej nie dotyczą.

- Takie są już matki - zauważył Poirot. Uśmiechnął się lekko. - Jest pan bardzo do niej przywiązany?

- Tego bym nie powiedział - odrzekł Desmond. - Nie, tego na pewno bym nie powiedział. Widzi pan... lepiej powiem od razu. Tak naprawdę, to ona nie jest moją matką.

- Doprawdy? Nie rozumiem.

- Adoptowała mnie. - wyjaśnił Desmond. - Miała syna. Małego chłopca. Umarł. Chciała potem adoptować dziecko i wzięła mnie. Wychowała jak własnego syna. Zawsze mówi o mnie jak o własnym synu i myśli o mnie jak o własnym synu, ale ja nie jestem jej dzieckiem. Nie jesteśmy ani trochę podobni. Nie patrzymy tak samo na sprawy.

- To zrozumiałe - powiedział Poirot.

- Chyba nie posuwam się ani trochę w stronę tego, o co chciałem pana spytać.

- Chce pan, żebym zrobił coś, coś odkrył? Żebym przeprowadził dochodzenie w pewnej sprawie?

- Raczej niejasnej. Tak. Nie wiem, ile pan wie o...czy wie pan, o co dokładnie chodzi.

- Trochę wiem - odrzekł Poirot. - Nie znam szczegółów. Nie wiem zbyt wiele o panu czy o panie Ravenscroft, której jeszcze nie poznałem. Chciałbym się z nią spotkać.

- Tak, no cóż, myślałem, czy nie przyprowadzić jej do pana, ale stwierdziłem, że

lepiej najpierw sam z panem porozmawiam.

- Brzmi to całkiem rozsądnie - ocenił Poirot. - Coś pana trapi? Martwi? Ma pan jakieś kłopoty?

- Właściwie nie. Nie. Nie istnieją żadne kłopoty. Żadne. Chodzi o coś, co stało się wiele lat temu, kiedy Celia była dzieckiem, najwyżej uczennicą. Zdarzyła się tragedia... Przecież takie rzeczy się dzieją... codziennie, w każdej chwili. Dwoje znanych panu ludzi coś bardzo gnębi i popełniają samobójstwo. To był rodzaj umowy. Nikt nie wiedział wiele ani o tym, ani o przyczynach. Ale takie rzeczy przecież się zdarzają i dzieci tych ludzi nie mają powodu się tym przejmować. To znaczy wystarczy, jeśli znają fakty. A zupełnie nie powinna się tym przejmować moja matka.

- Idąc przez życie - powiedział Poirot - coraz, wyraźniej odkrywamy, że ludzie często interesują się sprawami, które ich nie dotyczą. Bardziej nawet niż tymi, które można uznać za ich własne.

- Ale tamto się już skończyło. Nikt za wiele nie wiedział. Tylko moja matka wciąż rozpytuje. Musi wszystko wiedzieć. No i przyczepiła się do Celi. Doprowadziła ją do takiego stanu, że dziewczyna nie wie, czy chce za mnie wyjść, czy nie.

- A pan? Wie pan, czy jeszcze chce ją pan poślubić?

- Oczywiście, że wiem. Zamierzam się z nią ożenić. Jestem absolutnie zdecydowany. Ale ją to zdenerwowało. Teraz sama chce wiedzieć. Chce dowiedzieć się, dlaczego to wszystko się stało i myśli... jestem pewien, że się myli... myśli, że moja matka coś wie. Że coś usłyszała.

- Współczuję panu - stwierdził detektyw - ale wydaje mi się, że jeśli jesteście wrażliwymi młodymi ludźmi i chcecie się pobrać, nie ma powodu, byście nie mieli tego uczynić. Mogę powiedzieć, że dostarczono mi pewne informacje o tej smutnej tragedii. Jak pan wspomniał, rzecz wydarzyła się wiele lat temu. Nie uzyskano pełnego wyjaśnienia. Nigdy się to nie udało. Lecz tak to już bywa, że nie wszystkie smutne zdarzenia można wyjaśnić.

- To było samobójstwo - stwierdził chłopiec. - Nie mogło być nic innego. Ale...

- Chce pan poznać przyczynę. Czy tak?

- Cóż, tak. W końcu tym zamartwia się Celia i przez nią sam zaczynam się martwić. Na pewno przejmuję się tym moja matka, choć jak mówiłem, to nie jej sprawa. Nie sądzę, żeby ktokolwiek ponosił jakąś winę. Nie doszło do żadnej kłótni. Oczywiście problem w tym, że nie wiemy. A ja i tak nie mógłbym wiedzieć, skoro nie byłem na miejscu.

- Nie znalazł pan wcześniej Celi ani jej rodziców?

- Celię znam niemal przez całe życie. Widzi pan, rodzina, do której jeździłem na wakacje, i rodzice Celi mieszkała niedaleko siebie, kiedy byliśmy bardzo młodzi. To znaczy kiedy byliśmy dziećmi. Zawsze się lubiliśmy, spędzaliśmy razem czas i tak dalej. A potem oczywiście to wszystko minęło. Nie spotkałem Celi przez wiele lat. Widzi pan, jej rodzice wyjechali na Malaje, moi zresztą też. Myślę, że znów się tam spotkali. Przy okazji, mój ojciec nie żyje. Przypuszczam, że kiedy moja matka mieszkała na Malajach, usłyszała coś, a teraz przypomniała to sobie, dorobiła resztę i... właściwie to wymyśliła rzeczy, które nie mogą być prawdą. Jestem pewien, że nie są. Ale ona postanowiła gnębić tym Celię. Muszę odkryć, co się naprawdę stało. Celia chce odkryć, co się stało. O co chodziło. I dlaczego? Jak? Nie tylko głupie gadki ludzi.

- Tak - powiedział Poirot. - Nie jest prawdopodobnie niczym niezwykłym, że oboje macie takie odczucia. Celia, jak sędzę, bardziej niż pan. Jej to bardziej przeszkadza niż panu. Ale, jeśli mogę spytać, czy to naprawdę ma znaczenie? Liczy się to, co jest teraz, teraźniejszość. Dziewczyna, którą chce pan poślubić, dziewczyna, która chce wyjść za pana. Co przeszłość ma wspólnego z wami? Jakie ma znaczenie, czy jej rodzice zdecydowali się na samobójstwo albo zginęli w katastrofie lotniczej, albo też jedno zginęło w wypadku, a drugie popełniło potem samobójstwo? Albo że w ich życiu trafił się jakiś romans i unieszczęśliwił oboje.

- Tak - przyznał Desmond Burton-Cox. - Pewnie jest w tym dużo racji i zdrowego rozsądku, ale sprawy tak się ułożyły, że muszę dopilnować, by Celia odzyskała spokój. Ona należy do osób, które przejmują się różnymi rzeczami, choć nie mówi o nich za wiele.

- Czy nie przyszło panu do głowy - spytał Herkules Poirot - że odkrycie, co stało się naprawdę, może okazać się bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe?

- To znaczy, które z nich zabiło i dlaczego albo które zastrzeliło najpierw współmałżonka, a potem siebie. Chyba że... chyba, że stało się jeszcze coś innego.

- Może, ale to coś należy do przeszłości, więc dlaczego miałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie dzisiaj?

- Nie powinno i nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby moja matka nie wtrąciła się i nie zaczęła węszyć. Nie miałyby żadnego znaczenia. Nie sędzę, żeby Celia kiedykolwiek myślała o tym. Myślę, że w czasie tragedii była w szkole w Szwajcarii, że nikt nic powiedział jej wiele i... Kiedy jest się nastolatkiem czy dzieckiem, po prostu przyjmuje się, że coś się stało, ale nie ma to wiele wspólnego z nami.

- Tak więc nie uważa pan, że być może pragniecie niemożliwego?

- Chcę, żeby pan rozwiązał tę zagadkę - powiedział Desmond. - Choć może nie ma nic

do odkrycia lub to, do czego dotrzemy, nie spodoba się nikomu.

- Nie mam żadnych obiekcji - przerwał Poirot. - W rzeczywistości nabieram... powinienem powiedzieć: ciekawości. Tragedie, sprawy wynikłe z żalu, zdziwienia, szoku, choroby - to tragedie ludzkie, ludzkie sprawy, i jeśli zwrócą czyjąś uwagę, to jest całkiem naturalne, że pragnie się dociec sedna. Chodzi mi o to, czy to mądre albo konieczne, by odgrzebywać stare sprawy?

- Może i nie - odparł Desmond - ale widzi pan...

- A także - podjął Poirot, przerywając - czy zgodzi się pan ze mną, że odkrycie prawdy jest raczej niemożliwe po tylu latach?

- Nie - odparł Desmond, - Tu się z panem nie zgadzam. Myślę, że to całkiem możliwe.

- Bardzo interesujące - ocenił Poirot. - Dlaczegoż pan, że jest to całkiem możliwe?

- Ponieważ...

- Ponieważ co? Musi pan znać przyczynę.

- Myślę, że pewni ludzie wiedzieli. Myślę, że pewni ludzie mogliby powiedzieć panu, gdyby tylko chcieli. Być może nie powiedzieliby mnie ani Celi, ale mogą rozmawiać z panem.

- Interesujące - stwierdził Poirot.

- Coś się wydarzyło - powiedział Desmond. - Coś stało się w przeszłości. Słyszałem... Mówiono o tym dość niejasno. Chodzi o problemy z osobą umysłowo chorą. Był ktoś... nie wiem dokładnie kto, może lady Ravenscroft... Myślę, że spędziła parę lat w szpitalu psychiatrycznym. Wiele lat. Doszło do jakiejś tragedii, kiedy była bardzo młoda. Jakies dziecko zmarło, może zresztą chodzić o inny wypadek. Coś, co w jakiś sposób jej dotyczyło.

- Przypuszczam, że nie dowiedział się pan o tym z pierwszej ręki?

- Nie. Moja matka mówiła o tym. Coś takiego słyszała. Myślę, że na Malajach. Plotki przekazane przez innych ludzi. Wie pan, jak blisko żyją rodziny oficerów za granicą. Kobiety plotkują razem. Plotkuje każda z nich, powtarzając rzeczy, które mogą wcale nie być prawdą.

- I chce pan dowiedzieć się, czy ta była?

- Tak, ale nie wiem, jak odkryć to samemu. Nie dzisiaj, ponieważ wszystko stało się dawno temu i nie wiem, kogo pytać. Nie wiem, do kogo się zwrócić, ale dopóki nie odkryjemy, co stało się naprawdę i dlaczego...

- Chodzi panu o to - powiedział Poirot - a przynajmniej sądzę, że mam rację, tyle że jest to z mojej strony zaledwie domysł... Więc chodzi panu o to, że Celia Ravenscroft nie chce wyjść za pana, dopóki nie będzie absolutnie pewna, że nie odziedziczyła żadnej choroby psychicznej po swojej matce. Czy tak?

- To najwyraźniej wbiła sobie do głowy. I myślę, że przez moją matkę. W to chce wierzyć moja matka. Nie ma żadnych powodów, by w to wierzyć, oprócz grubiańskiej złośliwości i plotek.

- Nie będzie łatwo zbadać tę sprawę - zauważył detektyw.

- Nie, ale wiele słyszałem o panu. Podobno jest pan niezwykle biegły w rozszyfrowywaniu najtrudniejszych zagadek. Zadaje pan pytania i zmusza ludzi, by opowiedzieli panu wszystko.

- Kogo pan proponuje, żebym zapytał? Mówiąc o Malajach, jak sądzę nie mówi pan o tubylcach, a raczej o, nazwijmy to, sahibach z czasów, gdy stanowili społeczność Malajów. Mówi pan o Anglikach i plotkach krążących w tamtejszej placówce.

- Nie chodzi mi o to, że tamte plotki mogą pomóc. Ktokolwiek je powtarzał... To było tak dawno temu, że pewnie zupełnie zapomniano o sprawie albo tamci ludzie już pomarli. Myślę, że moja matka wiele rzeczy źle zrozumiała, że usłyszała coś i sama dopisała sobie resztę.

- I mimo to sądzi pan, że ja będę w stanie...

- Nie oczekuję, że pojedzie pan na Malaje i zacznie pytać. To znaczy, nikogo z dawnych czasów już tam nie będzie.

- Więc nie może pan podać mi nazwisk?

- Nie tamtych ludzi - odparł Desmond.

- Ale pewnych ludzi tak?

- Wyjaśnię może, o co mi chodzi. Myślę, że dwie osoby mogą wiedzieć, co się stało i dlaczego. Ponieważ były na miejscu. Wiedzą, ponieważ widziały.

- Nie chce pan sam do nich pójść?

- Mógłbym. Właściwie to zrobiłem, ale raczej nie... widzi pan... no nie wiem. Wolałbym nie stawiać pytań, które chcę postawić. Celia nie chciałaby, jak sądzę. One są bardzo miłe i dlatego będą wiedziały. Nie dlatego, że są wstrętne, że plotkują, ale ponieważ mogły wtedy pomóc. Mogły zrobić coś, by naprawić sprawy, mogły próbować, tyle że nie były w stanie. Och, źle to przedstawiam..

- Nie - zaprzeczył Poirot - przedstawia pan to i dobrze. Zainteresował mnie pan i sądzę, że myśli pan o czymś konkretnym. Proszę mi powiedzieć, czy Celia Ravenscroft zgadza się z panem?

- Nie opowiedziałem jej za wiele. Widzi pan, ona bardzo lubiła Maddy i Zelię.

- Maddy i Zelię?

- Tak się nazywają. Chyba muszę to wyjaśnić. Nie za dobrze mi to poszło. Widzi pan,

kiedy Celia była zupełnie mała, w czasach, kiedy ją dopiero co poznałem, kiedy jak mówiłem mieszkaliśmy niedaleko siebie na wsi miała francuską... teraz nazywa się je *au pair*, ale wtedy mówiło się: guwernantkę. Francuską guwernantkę, *Mademoiselle*. Była bardzo miła. Bawiła się z nami wszystkimi, a Celia zawsze nazywała ją w skrócie "Maddy", i cała rodzina tak się do niej zwracała.

- Ach tak. *Mademoiselle*.

- Widzi pan, pomyślałem... pomyślałem sobie, że skoro sama jest Francuzką, może powiedzieć panu rzeczy o których wie, ale nie chciałaby o nich powiedzieć innym ludziom.

- Aha. A druga osoba?

- Zelig. Ta sama sprawa. *Mademoiselle*. Maddy była tam przez dwa lub trzy lata, a potem wróciła do Francji, a może do Szwajcarii, i przyjechała ta druga. Była młodsza od Maddy i nie wołaliśmy tak na nią. Celia nazywała ją Zelig. Była bardzo młoda, ładna i zabawna. Wszyscy przepadaliśmy za nią. Urządzała nam gry, a my ją kochaliśmy. Jak cała rodzina. Generał Ravenscroft bardzo ją polubił. Grali razem i spędzali ze sobą dużo czasu.

- A lady Ravenscroft?

- Też była przywiązana do Zelig, a Zelig była przywiązana do niej. Dlatego wróciła po swoim wyjeździe.

- Wróciła?

- Tak, kiedy lady Ravenscroft zachorowała i leżała w szpitalu, Zelig wróciła, dotrzymywała jej towarzystwa i opiekowała się nią. Nie wiem na pewno, ale tak chyba było. Myślę... jestem prawie pewien, że była tam kiedy to... kiedy doszło do tragedii. Więc sam pan widzi: ona będzie wiedzieć, co stało się naprawdę.

- Zna pan jej adres? Wie pan, gdzie mieszka teraz?

- Tak. Wiem. Mam jej adres. Mam adresy ich obu. Myślałem, że może mógłby pan ją odwiedzić, odwiedzić obie. Wiem, że proszę o dużo... - urwał.

Poirot patrzył na niego przez parę minut. Wreszcie powiedział:

- Tak, to jest pewna szansa. Z całą pewnością szansa.

KSIĘGA DRUGA
DŁUGIE CIENIE

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nadinspektor Garroway i Herkules Poirot porównują notatki

Nadinspektor Garroway spojrzał ponad stołem na Poirota. Oczy mu rozbłysły, kiedy George ustawił przed nim whisky z wodą. Następnie lokaj podszedł do detektywa, tym razem stawiając szklanę wypełnioną ciemnofioletowym płynem.

- Co pan pije? - spytał zaintrygowany nadinspektor.

- Nalewkę z czarnych porzeczek.

- No, no - ocenił nadinspektor. - Każdemu wedle smaku. Co yo mi opowiadał Spence? Że zwykł pan pijać coś o nazwie... kleik? Co to takiego? Jakiś francuski specjał?

- Nie - odparł Poirot. - Przydatne do obniżania gorączki.

- Aha. Lekarstwo dla chorych. - Upił łyk ze swojej szklanki. - A więc - powiedział - za samobójstwo!

- Jednak popełnili samobójstwo?

- A cóż innego? - zdziwił się Garroway. - Ależ postawił mi pan pytania! - Potrząsnął głową. Uśmiechnął się szerzej.

- Przepraszam - zaczął Poirot - że sprawdziłem panu tyle kłopotu. Zachowuję się jak bohater jednaj z opowieści pańskiego Kiplinga. Cierpię na nienasyconą ciekawość.

- Nienasycona ciekawość - powtórzył nadinspektor. - Ładne opowiadania pisał ten Kipling. I znał się na rzeczy. Mówiono mi, że wystarczyło mu przejść się po okręcie niszczycielskim, by wiedzieć więcej od naczelných inżynierów marynarki królewskiej.

- Do rzeczy - zaproponował Poirot. - Nie wszystko wiem, i dlatego muszę stawiać pytania. Obawiam się, że przesłałem panu dość długą listę.

- Zaintrygowało mnie - powiedział nadinspektor - że przeskakuje pan od jednej sprawy do drugiej. Psychiatrzy, opinie lekarzy, podział spadku, kto miał pieniądze, kto je otrzymał. Kto spodziewał się zapisu i nic nie odziedziczył. Fryzury, peruki, nazwisko dostawcy peruk... a propos, dostarczano je w uroczych różowych pudłach.

- O wszystkim pan wiedział - podsumował Poirot. - Zdziwił mnie pan, przyznaję.

- Cóż, sama sprawa była zagadkowa, więc oczywiście robiliśmy mnóstwo notatek. Żadna się nam nie przydała, ale trzymaliśmy akta na wypadek, gdyby ktoś ich szukał.

Pchnął przez stół kartkę papieru.

- Proszę. Fryzjerzy. Bond Street. Droga firma. Nazywali się "Eugene i Rosentelle".

Potem się przenieśli. Ta sama firma, ale rozkręciła interesy na Sloane Street. Tu ma pan adres. Teraz jest tam sklep zoologiczny. Dwoje sprzedawców przeszło na emeryturę parę lat temu, ale wtedy to oni głównie obsługiwali klientów, i mieli lady Ravenscroft na swojej liście. Rosentelle mieszka teraz w Cheltenham. Wciąż w tej samej branży. Przedstawia się jako stylistka. Tak się to teraz nazywa. Trzeba jeszcze dodać: kosmetyczka. Za mojej młodości mawiało się: "Ten sam człowiek, tylko w innym kapeluszu".

- Aha! - wykrzyknął Poirot.

- Dlaczego "aha"?

- Jestem panu niezmiernie zobowiązany - wyjaśnił Herkules Poirot. Właśnie podsunął mi pan pewien pomysł. Jak dziwnymi drogami wpadają pomysły do głowy.

- Pan ma już ich za dużo w swojej - stwierdził nadinspektor. - To jeden z pańskich problemów. Nie potrzebuje pan więcej pomysłów. Wracając do sprawy: o ile mogłem, prześledziłem historię rodziny. Nie kryje zbyt wiele. Ród Alistaira Ravenscrofta wywodzi się ze Szkocji. Jego ojciec był duchownym. Dwóch wujów w armii, obaj wysoko postawieni. Poślubił Margaret Preston-Grey. To dziewczyna z dobrej rodziny, była przedstawiona u dworu i tak dalej. Żadnych skandali. Miał pan absolutną rację co do sióstr-bliźniaczek. Nie mam pojęcia, skąd się pan dowiedział. Dorothea i Margaret Preston-Grey, w skrócie Molly i Dolly. Preston-Greyowie mieszkali w Hatters Green w Sussex. Bliźniaczki jednojajowe i historie typowe dla takich bliźniąt. Ząbkowały tego samego dnia, w tym samym miesiącu zachorowały na szkarlatynę, nosiły takie same ubrania, zakochały się w tym samym typie mężczyzny, obaj mężowie służyli w wojsku. Lekarz rodzinny, który zajmował się nimi, gdy były małe, zmarł parę lat temu i nic nie można już od niego wydobyć. Jednakże z jedną z bliźniaczek łączy się pewna tragedia.

- Z lady Ravenscroft?

- Z tą drugą. Wyszła za człowieka nazwiskiem Jarrow, kapitan Jarrow. Mieli dwójkę dzieci. Młodsze, czteroletni chłopiec, zostało uderzone taczkami albo jakąś taką dziecinną zabawką. Łopatką czy motyczką. Uderzono go w głowę. Wpadł chyba do sztucznego stawu i utonął. Najprawdopodobniej zawiniło starsze dziecko, dziewięcioletnia dziewczynka. Pokłócili się podczas zabawy, jak to dzieci. Raczej nie ma miejsca na wątpliwości. Choć istnieje też inna wersja. Ktoś twierdził, że zrobiła to matka: rozzłościła się i uderzyła chłopca. Mówiono też, że uderzyła go jakaś kobieta mieszkająca w pobliżu. Pewnie i tak to pana nie zainteresuje. Nie ma związku z samobójstwem Ravenscroftów wiele lat później.

- Nie - przyznał Poirot. - Nie wygląda na to. Ale dobrze jest poznać tło wydarzeń.

- Tak - zgodził się Garroway. - Jak panu mówiłem, trzeba zajrzeć w przeszłość. Choć

nie mogę powiedzieć, że pomyśleliśmy o zagłębieniu w przeszłość równie odległą. To znaczy, jak już wspominałem, wszystko to stało się na wiele lat przed samobójstwem.

- Czy podjęto wówczas jakieś dochodzenie?

- Tak. Udało mi się przejrzeć sprawę. Akta. Artykuły w prasie. Takie tam. Wie pan, nasuwały się pewne wątpliwości. Na matkę cała sprawa wpłynęła bardzo źle. Zupełnie się załamała i musiała się leczyć w szpitalu. Potem podobno nigdy już nie wróciła do normy.

- Przypuszczano, że ona to zrobiła?

- Tak uważał lekarz. Rozumie pan, bezspornych dowodów nie było. Ona utrzymywała, że widziała wypadek z okna. Widziała, jak starsze dziecko, dziewczynka, uderzyła chłopca i popchnęła go. Lecz jej zeznanie... chyba jej nie uwierzono. Mówiła tak bezładnie.

- Zasięgnięto, jak przypuszczam, opinii psychiatry?

- Tak. Wyjechała do prywatnej kliniki czy szpitala i definitywnie uznano ją za psychicznie chorą. Przez długi czas leczono ją w dwóch chyba zakładach, jak sądzę pod kierunkiem specjalisty ze szpitala Świętego Andrzeja w Londynie. Na koniec stwierdzono, że jest zdrowa. Wypuszczono ją po mniej więcej trzech latach i odesłano do domu, by wiodła normalne życie ze swoją rodziną.

- I była zupełnie normalna?

- Jak sądzę, zawsze była neurotyczką...

- Gdzie przebywała w momencie samobójstwa? Czy mieszkała u Ravenscroftów?

- Nie. Zmarła prawie trzy tygodnie wcześniej. Mieszkała wtedy razem z nimi w Overcliffe. Wygląda to kolejny przykład losu jednojajowych bliźniąt. Chodziła we śnie. Najwyraźniej cierpiała na to przez wiele lat, miała ze dwa niegroźne wypadki. Czasem łykała za dużo środków uspokajających i w efekcie spacerowała nocami po domu, a niekiedy wychodziła na dwór. Wtedy szła dróżką wzdłuż urwiska, zeszła z niej i spadła ze skały. Zginęła natychmiast. Znalaziono ją dopiero następnego dnia. Wstrząsnęło to jej siostrą. Bardzo były ze sobą związane. Lady Ravenscroft trzeba było zabrać potem do szpitala. Przeżyła straszny szok...

- Czy ten tragiczny wypadek mógł doprowadzić do samobójstwa Ravenscroftów w parę tygodni później?

- Nigdy tego nie sugerowano.

- Dziwne rzeczy przytrafiają się bliźniętom, jak sam pan powiedział. Lady Ravenscroft mogła zabić się z powodu więzi, jaka łączyła ją z siostrą. A mąż mógł się zastrzelić, ponieważ czuł się w pewnym sensie winny...

Nadinspektor Garroway powiedział:

- Ma pan za dużo pomysłów, Poirot. Alistair Ravenscroft nie mógłby romansować ze szwagierką, tak aby nikt o tym nie wiedział. Niczego takiego nie było, jeśli to właśnie sobie pan wyobraził.

Zadzwonił telefon. Poirot wstał i odebrał go. Dzwonią pani Oliver.

- Mógłby pan wpaść jutro na herbatkę albo sherry, monsieur Poirot? Przyjdzie Celia, a później ta apodyktyczna baba. Tego pan chciał, prawda?

Poirot przyznał, że tego właśnie chciał.

- Muszę teraz pędzić - powiedziała pani Oliver. - Mam spotkanie ze starym psem wojny, dostarczonym przez mojego słonia numer jeden, Julię Carstairs. Chyba przekreśliła jego nazwisko, zawsze to robi, ale mam nadzieję, że podała mi dobry adres.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Celia poznaje Herkulesa Poirota

- Jak powiodło się pani z sir Hugo Fosterem, *madame*? - spytał Herkules Poirot.

- Po pierwsze nie nazywa się Foster, tylko Fothergill. Można polegać na Julii, że przekręci nazwisko. Zawsze to robi.

- A więc nie zawsze można ufać, że słonie zapamiętają nazwiska?

- Nie mówmy o słoniach. Skończyłam z nimi.

- A pani pies wojny?

- Stworzenie wiekowe, lecz bezużyteczne jako źródło informacji. Ma obsesję na punkcie ludzi nazwiskiem Barnet, których dziecko rzeczywiście zginęło w wypadku na Malajach. Ale to nie ma nic wspólnego z Ravenscroftami. Jak mówiłam, skończyłam ze słoniami...

- *Madame*, była pani nadzwyczaj wytrwała i szlachetna.

- Celia zjawi się za jakieś pół godziny. Chciał pan ją poznać, nieprawdaż? Powiedziałam jej, że... pomaga pan w tej sprawie. A może wolałby pan, żeby przyszła do pana?

- Nie - odparł Poirot. - Myślę, że najlepiej, jeśli zjawi się tak, jak to pani zaplanowała.

- Nie sądzę, żeby siedziała długo. Jeśli pozbędziemy się jej w ciągu godziny, zostanie nam trochę czasu na przemyślenie wniosków. Potem przyjdzie pani Burton-Cox.

- A tak. To będzie interesujące. Tak, to będzie niezwykle interesujące.

Pani Oliver westchnęła. - Mój Boże, a jednak szkoda, prawda? Mamy za dużo materiału.

- Tak - przyznał Poirot. - Nie wiemy, czego szukamy. Wiemy jedynie, że nadal chodzi najprawdopodobniej o samobójstwo małżeństwa, żyjącego razem spokojnie i szczęśliwie. A czy mamy cokolwiek, co można by uznać za powód, za przyczynę? Wędrowaliśmy naprzód, do tyłu, w prawo, w lewo, na zachód i na wschód.

- Dokładnie - powiedziała pani Oliver. - Wszędzie. Nie byliśmy tylko na biegunie północnym.

- Ani południowym - uzupełnił Poirot.

- Podsumowując, co właściwie mamy?

- Najprzeróżniejsze rzeczy - odparł Poirot. - Spisałem listę. Chce pani przeczytać?

Pani Oliver podeszła bliżej, usiadła obok detektywa i zajrzała mu ponad ramieniem.

- Peruki - przeczytała, wskazując na pierwsze słowo. - Dlaczego na samym początku są peruki?

- Cztery peruki - wyjaśnił Poirot - wyglądają intrygująco. To intrygujący i dość trudny do rozwiązania problem.

- Pewnie sklep, gdzie kupiła peruki, zniknął już z rynku. Ludzie kupują teraz peruki zupełnie gdzie indziej i nie noszą już ich tak często jak wtedy. Dawniej zakładało się perukę wyjeżdżając za granicę, uważając że oszczędza to kłopotów z fryzurą w trakcie podróży.

- Tak, tak - powiedział Poirot - z perukami zrobimy, co tylko możliwe. W każdym razie to jedna z rzeczy, które mnie interesują. Są jeszcze inne. Na przykład opowieści o chorobie psychicznej w rodzinie. Opowieści o niezrównoważonej psychicznie bliźniaczce, która spędziła wiele lat w szpitalu psychiatrycznym.

- To raczej donikąd nie prowadzi - wyraziła swe zdanie pani Oliver. - To znaczy, pewnie mogła przyjechać i zabić oboje, ale nie rozumiem, dlaczego?

- Nie - powiedział Poirot. - Odciski palców na rewolwerze bez wątplenia należały do generała Ravenscrofta i jego żony. Dalej mamy opowieści o dziecku, które zostało zabite czy zaatakowane na Malajach, może przez bliźniaczkę lady Ravenscroft. Może przez zupełnie inną kobietę, *amah* albo służącą. Punkt drugi. Wie pani trochę więcej o pieniądzach.

- A co do tego mają pieniądze? - zdziwiła się - pani Oliver.

- Nic nie mają - odparł Poirot. - I to właśnie jest interesujące. Pieniądze zwykle mają coś do tego. Pieniądze, które ktoś otrzymał w wyniku samobójstwa. Pieniądze, które w efekcie przepadły. Pieniądze wywołujące zamieszanie, kłopoty, zawiść i chciwość. To trudne. Trudno to zobaczyć. Najwyraźniej nigdzie nie ma żadnej dużej kwoty. Słyszeliśmy opowieści o romansie, o kochance męża, o kochanku żony. Romans któregoś z małżonków mógł doprowadzić do samobójstwa lub morderstwa. Często się tak dzieje. Wreszcie dochodzimy do kwestii, która w chwili obecnej budzi moje największe zainteresowanie. Dlatego tak bardzo pragnę poznać panią Burton-Cox.

- Ach, tę okropną kobietę. Nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że ona jest ważna. Jedyne, co zrobiła, to wściubienie swojego nosa w nie swoje sprawy i żądanie, żebym ja coś odkryła.

- Zgoda, ale dlaczego chciała, żeby pani coś odkryła? To wydaje mi się nadzwyczaj dziwne. Według mnie tego właśnie należy się dowiedzieć. Widzi pani, ona stanowi ogniwo.

- Ogniwo?

- Tak jest. Nie wiemy, co było ogniwem, skąd się wzięło ani jak wyglądało. Wiemy jedynie, że ona rozpaczliwie chce dowiedzieć się czegoś więcej o samobójstwie. Jako

ogniwo, stanowi połączenie zarówno z pani chrzestną córką, Celią Ravenscroft, jak i z synem, który nie jest jej synem.

- Jak to nie jest jej synem?

- Został adoptowany - wyjaśnił Herkules Poirot. - Adoptowała go, ponieważ jej własne dziecko zmarło.

- Jak umarło jej dziecko? Dlaczego? Kiedy?

- Te same pytania postawiłem sobie. Ona może być ogniwnem, na przykład emocjonalnym. Pragnienie zemsty, ponieważ w grę wchodzi nienawiść albo romans? Muszę ją poznać. Muszę wyrobić sobie zdanie na jej temat. Nie mogę powstrzymać się przed podejrzeniem, że ona jest bardzo ważna.

Rozległ się dzwonek do drzwi i pani Oliwer poszła otworzyć.

- To pewnie Celia - powiedziała. - Na pewno nie będzie to panu przeszkadzać?

- Mnie nie będzie - odrzekł Poirot. - Jej również, mam nadzieję.

Pani Oliver powróciła po paru minutach razem z Celią Ravenscroft. Dziewczyna zachowywała się niepewnie i podejrzliwie.

- Nie wiem - mówiła - czy ja... - urwała, wpatrując się w Herkulesa Poirota.

- Chcę cię przedstawić - powiedziała pani Oliver - komuś, kto mi pomaga i, jak mam nadzieję, pomaga również tobie. To znaczy pomaga ci dotrzeć do tego, czego chcesz się dowiedzieć. To *monsieur* Herkules Poirot. Jest prawdziwym geniuszem w odkrywaniu tajemnic.

- Ach - brzmiała odpowiedź Celi.

Z powątpiewaniem oceniła jajowatą głowę, monstrualne wąsy i malutką postać.

- Myślę - powiedziała niezdecydowanie - że słyszałam o panu.

Herkules Poirot z pewnym trudem powstrzymał się przed wypowiedzeniem stanowczo: "Większość ludzi słyszała o mnie". Nie było to aż tak prawdziwe jak dawniej, ponieważ wiele osób, które słyszały o Poirotcie i znały go spoczywało obecnie pod stosownymi kamiennymi płytami na cmentarzu. Zamiast tego Poirot powiedział:

- Proszę usiąść, *mademoiselle*. O sobie powiem tyle, że kiedy zacznę śledztwo, prowadzę je do końca. Odkrywam prawdę, i jeśli rzeczywiście pragnie pani prawdy, to ja pani ją dostarczę. Ale może chce pani tylko potwierdzenia. To nie to samo co prawda. Potrafię znaleźć różne aspekty, które utwierdzą panią w jej mniemaniu. Czy to wystarczy? Jeśli tak, proszę nie pytać o nic więcej.

Celia usiadła na krześle, które Poirot podsunął w jej stronę, i spojrzała na niego z przejęciem.

- Pan uważa, że nie szukam prawdy, zgadza się? - spytała.

- Uważam - odrzekł Poirot - że prawda może przynieść... szok, smutek, że być może powie sobie pani: "Dlaczego nie zostawiłam tego w spokoju? Dlaczego żądałam wiedzy? To bolesna wiedza, która nie niesie pomocy ani nadziei. To podwójne samobójstwo matki i ojca, których, przynajmniej to, kochałam". Nie jest wadą kochać rodziców.

- Niekiedy się tak dzisiaj uważa - wtrąciła pani Oliver. - Powiedzmy, że to nowy akt wiary.

- Tak właśnie żyłam - powiedziała Celia. - Zaczynałam się zastanawiać. Wyłapywałam dziwne rzeczy, które nieraz mówiono. Ludzi patrzących na mnie z litością i z ciekawością. Z czasem zaczyna się wiedzieć coraz więcej, to znaczy o ludziach, których się spotyka, zna, którzy znali moją rodzinę. Nie chcę takiego życia. Chcę... Pan uważa, że tak naprawdę tego nie chcę, ale ja chcę. Chcę prawdy. Potrafię poradzić sobie z prawdą. Proszę mi coś powiedzieć.

To nie była dalsza część rozmowy. Celia zwróciła się do Poirota z odrębnym pytaniem. Jakiś problem zajął w jej myślach miejsce poprzedniego.

- Widział się pan z Desmondem, prawda? - spytała. - Wybierał się do pana. Powiedział mi o tym.

- Tak. Odwiedził mnie. Nie chciała pani, żeby to zrobił?

- Nie pytał mnie.

- A gdyby spytał?

- Nie wiem. Nie wiem, czy powinnam zabronić mu, powiedzieć, żeby w żadnym wypadku tego nie robił, czy powinnam go zachęcić.

- Chciałbym zadać pani jedno pytanie, *mademoiselle*. Chciałbym dowiedzieć się, czy w pani myślach jest jedna rzecz, która ma dla pani znaczenie, która znaczy więcej niż cokolwiek innego.

- O co chodzi?

- Jak pani powiedziała, Desmond Burton-Cox odwiedził mnie. To bardzo atrakcyjny i sympatyczny młody człowiek, bardzo przejęty tym, co miał do powiedzenia. A teraz coś, co jest naprawdę ważne. Czy rzeczywiście pragniecie się pobrać? Bo to jest ważna sprawa. Choć młodzi ludzie nie zawsze tak myślą, chodzi o związek na całe życie. Czy pragnie pani takiego związku? To ma znaczenie. Jaka różnicę pani czy Desmondowi sprawi to, czy śmierć dwojga ludzi była samobójstwem, czy czymś zupełnie innym?

- Myśli pan, że to coś całkiem innego. Tak było?

- Tego jeszcze nie wiem - odparł Poirot. - Mam powody sądzić, że to możliwe. Pewne

rzeczy nie zgadzają się z teorią samobójstwa, ale o ile znam opinię policji, a na nich można polegać, *mademoiselle* Celio, naprawdę można - otóż zebrali wszelkie dowody i definitywnie uznali, że w grę wchodzi jedynie samobójstwo.

- Ale nigdy nie odgadli przyczyny? O to panu chodzi?

- Zgadza się - potwierdził Poirot. - O to mi chodzi.

- I pan też nie zna przyczyny? To znaczy, zbadawszy sprawę czy przemyślawszy ją, czy jak to pan robi?

- Nie jestem pewien - powiedział Poirot. - Sądzę, że może pani odkryć coś bardzo bolesnego i pytam, czy pani na tyle mądra, by powiedzieć: "Przeszłość to przeszłość. Tu jest młody człowiek, na którym mi zależy, i któremu zależy na mnie. Razem spędzimy przyszłość, a nie "przeszłość".

- Czy powiedział panu, że adoptowano go? - spytała Celia.

- Tak.

- Widzi pan, jaki naprawdę ona ma w tym interes? Po co przychodzi zawracać głowę pani Oliver, po co próbuje zmusić ją, żeby przepytala mnie i odkryła coś? Nie jest jego matką.

- Czy jemu zależy na niej?

- Nie - odparła Celia. - W sumie powiedziałabym, że jej nie lubi. Chyba tak było od zawsze.

- Wydawała na niego pieniądze, na szkoły, ubrania i najprzeróżniejsze rzeczy. Jak pani myśli, czy jej zależy na nim?

- Nie wiem. Nie sądzą. Przypuszczam, że chciała, żeby jakieś dziecko zastąpiło jej własne. Miała syna, który zginął w wypadku, i dlatego chciała kogoś adoptować. Jej mąż zmarł niedawno. Trudno spamiętać daty.

- Wiem, wiem. Chciałbym dowiedzieć się jeszcze jednego.

- O nim czy o niej?

- Czy jest finansowo zabezpieczony?

- Nie całkiem rozumiem, o co pan pyta. Będzie w stanie mnie utrzymać, to znaczy utrzymać żonę. O ile wiem, zapisano mu jakieś pieniądze, kiedy został adoptowany. Wystarczającą kwotę. Nie mam na myśli fortuny.

- Czy ona mogłaby... cofnąć zapis?

- To znaczy, że odcięłaby pieniądze, gdyby się ze mną ożenił? Nigdy nie groziła, że to zrobi i chyba nie mogłaby. Myślę, że wszystko zostało ustalone przez prawników, czy kto tam załatwia adopcje. Z tego, co słyszałam, organizacje adopcyjne wtykają nos we wszystko.

- Spytam panią jeszcze o jedno. Pani może znać odpowiedź, której oprócz tego nikt

nie zna. Choć prawdopodobnie zna ją pani Burton-Cox. Czy wie pani, kim była jego prawdziwa matka?

- Myśli pan, że to jeden z powodów jej wścibstwa? Coś, co łączyłoby się z tym, kim Desmond jest naprawdę? Nie wiem. Mógł być nieślubnym dzieckiem. Zwykle takie dzieci oddaje się do adopcji, prawda? Mogła wiedzieć coś o jego prawdziwej matce albo ojcu. Jeśli tak, to jemu nic nie wspomniała. Myślę, że powiedziała mu same głupstwa, jakie uważa się, że powinno się mówić. Że równie miło jest być adoptowanym, bo to znaczy, że rodzice naprawdę cię chcieli. Jest całe mnóstwo takich ekliwych głupot.

- Myślę, że niektóre towarzystwa sugerują, iż w taki właśnie sposób należy przekazać nowinę. Czy on albo pani znacie jakichś jego krewnych?

- Ja nie. I on chyba też, ale to go raczej wcale nie martwi. Desmond nie należy do osób lubiących się zamartwiać.

- Wie pani może, czy pani Burton-Cox była przyjaciółką pani rodziny, matki albo ojca? Czy kiedykolwiek - spotkałyście, jeśli to pani pamięta, kiedy mieszkaliście w swoim domu?

- Nie sędzę. Matka Desmonda. to znaczy pani Burton-Cox, wyjechała chyba na Malaje. Zdaje się, że mąż tam umarł, a Desmonda wysłano do szkoły w Anglii i zamieszkał u krewnych albo ludzi, którzy przyjmują dzieci na wakacje. Tam się zaprzyjaźniliśmy. Zapamiętałam go. Uwielbiałam bohaterów. A on świetnie wchodził po drzewach, nauczył mnie wszystkiego o ptasich gniazdach i jajach. Więc naturalnie, kiedy spotkałam go znowu, to znaczy na uniwersytecie, zaczęliśmy rozmawiać o tym, gdzie dawniej mieszkaliśmy; a potem Desmond zapytał, jak brzmi moje nazwisko. "Znam tylko twoje imię" - powiedział. Wspominaliśmy mnóstwo rzeczy. To sprawiło, można by powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy. Nie wiem o nim wszystkiego. Właściwie nic nie wiem. A chcę wiedzieć. Jak można ułożyć sobie życie i wiedzieć, co się pragnie z nim zrobić, jeśli nie zna się rzeczy, które wywarły na ciebie wpływ, które wydarzyły się naprawdę?

- Więc chce pani, bym kontynuował dochodzenie?

- Tak, jeśli doprowadzi do jakichś wyników, choć sędzę, że żadnych nie będzie. Bo wie pan, właściwie to z Desmondem próbowaliśmy na własną rękę dowiedzieć się czegoś. Niezbyt się nam powiodło. Wszystko sprowadza się do pustego faktu, który nie ma nic wspólnego z historią czyjśgo życia. Tak naprawdę jest to historia śmierci. Mówiąc dokładniej, podwójnej śmierci. Podwójne samobójstwo traktuje się jak jedną śmierć. To chyba Szekspir pisał: "I śmierć ich nie rozdzieliła". - Zwróciła się ponownie do Poirota:

- Tak, proszę kontynuować dochodzenie. Proszę dalej przekazywać wiadomości pani

Oliver, albo od razu mnie. Wolałabym, żeby rozmawiał pan bezpośrednio ze mną. - Obróciła się w stronę pani Oliver. - Nie chcę być paskudna, ciociu. Zawsze byłaś świetną matką chrzestną, ale wolę dowiadywać się z pierwszej ręki. Obawiam się, że nie brzmi to najładniej, monsieur Poirot, nie chciałabym, by tak pan to odebrał.

- Oczywiście - powiedział Poirot. - Cieszy mnie, że mogę być pierwszą ręką.
- I myśli pan, że to się panu uda?
- Zawsze w to wierzę.
- I zawsze odkrywa pan prawdę?
- Zazwyczaj to, co odkrywam, jest prawdą - powiedział Poirot. - Nie dodam nic więcej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pani Burton-Cox

- A więc - powiedziała pani Oliver, kiedy wróciła już do pokoju odprowadziwszy Celię do drzwi - co pan o niej sądzi?

- Ma charakter - odparł Herkules Poirot. - To interesująca dziewczyna. Zdecydowanie, jeśli mogę tak powiedzieć, jest kimś. Nie po prostu byle kim.

- Tak, to prawda - zgodziła się pani Oliver.

- Proszę mi coś powiedzieć.

- O niej? Nie znam jej za dobrze. Niewiele wie się o chrześniakach. To znaczy widzi się ich, jak w moim wypadku, w stałych, dość odległych odstępach czasu.

- Nie chodziło mi o nią. Proszę opowiedzieć mi o jej matce.

- Ach, rozumiem.

- Znała pani matkę Celi?

- Tak. Byłyśmy razem na pensji w Paryżu. Rodzice wysyłali wtedy dziewczęta do Paryża, na zakończenie edukacji - wyjaśniła pani Oliver. - Brzmi to trochę jak zaproszenie na pogrzeb, a nie wprowadzenie do towarzystwa. Co chce pan o niej wiedzieć?

- Pamięta ją pani? Pamięta pani, jaka była?

- Tak. Jak już mówiłam, do końca nie zapomina się zdarzeń czy ludzi z przeszłości.

- Jakie wywarła na pani wrażenie?

- Była piękna - odparła pani Oliver. - To pamiętam. Nie jako trzynasto- czy czternastolatka. Wtedy miała sporo dziecięcego tłuszczu. Jak my wszystkie - dodała po namyśle.

- Czy miała osobowość?

- Trudno to sobie przypomnieć, ponieważ, musi pan zrozumieć, nie była moją jedyną ani najlepszą przyjaciółką. Było nas kilka. Tworzyłyśmy, można by rzec, małą paczkę. Dziewczęta o podobnych upodobaniach. Lubiłyśmy grać w tenisa i lubiłyśmy, kiedy zabierano nas do opery, a w malarskich galeriach nudziłyśmy się na śmierć. Mogę dać panu tylko ogólny opis. Molly Preston-Grey. Tak się nazywała - zakończyła pani Oliver.

- Obie panie miałyście chłopców?

- Miałyśmy ze dwóch idoli, jak sądzę. Nie piosenkarzy rockowych, wówczas ich jeszcze nie było. Zwykle chodziło o aktorów. Był taki jeden słynny aktor kabaretowy. Jedna z dziewcząt trzymała jego zdjęcie przypięte nad łóżkiem, a *mademoiselle* Girand, francuska

nauczycielka, w żadnym wypadku nie zezwalała przypinać zdjęć aktorów w takim miejscu. *Ce n'est pas convenable*²², mawiała. Dziewczyna nigdy nie powiedziała nauczycielce, że ten aktor jest jej ojcem! Ależ się śmiałyśmy - wspominała pani Oliver. - Miałymy z tego mnóstwo zabawy.

- Proszę powiedzieć mi więcej o Molly czy Margaret Preston-Grey. Ta dziewczyna przypomniła ją pani?

- Nie, raczej nie. Nie. Nie są podobne. Molly była bardziej... emocjonalna od niej.

- Jak rozumiem, Molly miała bliźniaczkę. Czy przebywała w tym samym pensionnat

23

- Nie. Mogłaby, skoro były w tym samym wieku, nie. Myślę, że uczyła się w zupełnie innej szkole w Anglii. Nie jestem pewna. Mam wrażenie, że ta bliźniaczka. Dolly, którą spotkałam raz czy dwa, bardzo rzadko, i która w tamtych czasach wyglądała oczywiście dokładnie tak jak Molly... to znaczy nie zaczęły jeszcze próbować zmieniać wyglądu, fryzury i tak dalej, jak to zwykle bliźniaki, gdy dorastają. Myślę, że Molly była bardzo przywiązana do siostry, ale nie mówiła o niej zbyt wiele. Mam wrażenie, teraz, wtedy nie przyszło mi to do głowy, że już wtedy z Dolly mogło być coś nie tak. Pamiętam, że raz czy dwa ktoś napomknął, że Dolly jest chora albo wyjechała się leczyć. Takie jakieś... Pamiętam, że zastanawiałam się kiedyś, czy nie była kaleką. Jakaś jej ciotka zabrała ją w morską podróż dla, jak się to się mówiło, podratowania zdrowia. - Pani Oliver potrząsnęła głową. - Nie mogę sobie przypomnieć dokładnie. Po prostu wydawało mi się, że Molly była bardzo do niej przywiązana i pragnęła ją chronić. Czy to brzmi bez sensu?

- Wcale nie - powiedział Herkules Poirot.

- Kiedy indziej Molly nie chciała rozmawiać o siostrze. Mówiła o swojej matce i ojcu. Lubiła ich, jak sądzę, w normalny sposób. Matka przyjechała do niej raz do Paryża i zabrała gdzieś. Miła kobieta. Nie bardzo ekscytująca ani przystojna, nic z tych rzeczy. Po prostu miła, spokojna, życzliwa.

- Rozumiem. Tak więc nie pamięta pani nic, co mogłoby nam pomóc? Żadnych chłopców?

- Wtedy nie miałyśmy tak wielu - wyjaśniła pani Oliver. - Nie tak, jak dzisiaj, kiedy to całkiem naturalne. Później, kiedy obie znalazłyśmy się z powrotem w swoich domach, nasze drogi się rozeszły. Molly wyjechała chyba z rodzicami za granicę. Raczej nie chodziło o Indie... Nie, nie sądzę. To musiało być gdzie indziej. Może Egipt. Teraz uświadamiam sobie,

²² Fr. To nie wypada

że musieli być w służbie dyplomatycznej. Kiedyś mieszkali w Szwecji, a potem gdzieś na Bermudach albo w Indiach Zachodnich. Chyba był tam gubernatorem. Ale takie szczegóły zwykle wylatują z pamięci. Molly bardzo podobał się nauczyciel muzyki, co przynosiło korzyści nam obu i było o wiele mniej kłopotliwe od współczesnych sympatii. Po prostu uwielbiałyśmy... tęskniłyśmy za dniem następnej lekcji. Nauczyciele, to wiem na pewno, pozostawali zupełnie obojętni. Ale śnili się nam po nocach. Pamiętam jedno cudowne marzenie: opiekowałam się moim ukochanym monsieur Adolphe'em, który miał cholere, i oddałam, o ile pamiętam, własną krew, by uratować mu życie. Ależ się czasem głupieje. A jeszcze wszystkie te rzeczy, które zamierza się zrobić! W swoim czasie byłam zdecydowana zostać zakonnica, a później myślałam, żeby zostać pielęgniarką w szpitalu. Cóż, prawdopodobnie za chwilę zjawi się pani Burton-Cox. Ciekawe, jak zareaguje na pański widok?

Poirot spojrział na swój zegarek.

- Wkrótce się przekonamy.

- Czy powinniśmy wcześniej jeszcze coś omówić?

- W kilku sprawach moglibyśmy porównać nasze notatki. Jak wspomniałem, że dwie kwestie mogłyby pomóc śledztwu. Dla pani będzie to poszukiwanie słoni, dobrze? A dla mnie próba zastąpienia słonia.

- Co też pan wygaduje! - wykrzyknęła pani Oliver.

- Mówiłam przecież, że już skończyłam ze słoniami.

- Ale - zaproponował Poirot - być może słonie nie skończyły jeszcze z panią.

Dzwonek do drzwi rozległ się po raz drugi. Poirot i pani Oliver spojrzeli na siebie.

- Cóż - powiedziała pani Oliver - zaczynamy.

Ponownie wyszła z pokoju. Poirot słyszał głosy postania i po chwili pani Oliver wróciła, wiodąc za sobą raczej masywną postać.

- Ma pani zachwycające mieszkanie - mówiła pani Burton-Cox. - Jak miło, że poświęciła pani swój czas, jakże na pewno cenny, i zaprosiła mnie. - Jej wzrok powędrował szybko w bok, wprost na Herkulesa Poirota. Przez jej twarz przebiegł ledwie widoczny grymas zduszenia. Przez chwilę wiodła wzrokiem od detektywa do dziecięcego pianina stojącego przy oknie. Pani Oliver pomyślała, że najprawdopodobniej pani Burton-Cox uważa Herkulesa Poirota za stroiciela. Pospieszyła, by rozwiać to złudzenie.

- Chcę przedstawić pani - powiedziała - pana Herkulesa Poirota.

²³ fr. Pensja dla dzieciąt

Poirot podszedł do niej i skłonił się nad wyciągniętą do niego dłonią.

- Myślę, że pan Poirot jest jedyną osobą, która może pomóc w pani sprawie. Wie pani. Przedwczoraj pytała mnie pani o moją chrzestną córkę Celię Ravenscroft.

- A tak. Jak miło, że pani pamiętała. Mam wielką nadzieję, że poda mi pani trochę więcej informacji o tym, co się naprawdę stało.

- Obawiam się, że niezbyt mi się to udało - przymąła pani Oliver. - Dlatego też poprosiłam, by pan Poirot zechciał spotkać się z panią. Jest wspaniały, jeśli chodzi o informacje na temat wszystkiego. Wspiął się na sam szczyt w swoim fachu. Nawet nie powiem pani, ilu moim przyjaciółom pomógł i jak wiele... tajemnic, powiedzmy, rozwikłał. A ta sprawa była takim tragicznym wypadkiem.

- Tak, istotnie - przyznała pani Burton-Cox. Jej oczy wciąż wyrażały zwątpienie. Pani Oliver wskazała jej krzesło i zapytała:

- Czego się pani napije? Szklaneczkę sherry? Oczywiście za późno już na herbatę. A może woli pani jakiś koktajl?

- Raczej sherry. Jest pani bardzo uprzejma.

- *Monsieur Poirot?*

- Dla mnie to samo.

Ariadna Oliver nie mogła opanować wdzięczności, że nic poprosił o *sirop de cassis* albo któryś ze swoich ulubionych napojów owocowych. Wyjęła kieliszki i karafkę.

- Przedstawiłam już panu Poirotowi ogólny zarys śledztwa, jakie chce pani podjąć.

- A tak - odrzekła pani Burton-Cox.

Wyglądała na zagubioną i nie miała tej pewności siebie, która najprawdopodobniej była zwykłym jej stanem.

- Taka trudna jest ta dzisiejsza młodzież - zwróciła się do Poirota. - Młodzi ludzie. Mój syn, taki kochany chłopiec, mieliśmy takie nadzieje na jego przyszłość. A jeszcze ta dziewczyna, bardzo czarująca oczywiście, jest, jak to pewnie pani Oliver powiedziała panu, jej chrzestną córką, i... cóż, oczywiście nigdy nie wie się na pewno. To znaczy te przyjaźnie pojawiają się nagle i często nie trwają długo. Dawniej mówiliśmy na to "szczenięca miłość". Wie pan, lata temu. Bardzo ważne jest znać przynajmniej korzenie rodziny. Oczywiście wiem, że Celia pochodzi ze świetnego rodu i tak dalej, no ale przecież doszło do tej tragedii. Wspólne samobójstwo, jak sądzę, tyle że nikt nie potrafił wyjaśnić mi, co wiodło do niego czy co do niego doprowadziło. Nie mam właściwie przyjaciół, którzy przyjaźniliby się z Ravenscroftami, tak więc trudno mi dochodzić do jakichś wniosków. Wiem, że Celia jest czarującym stworzeniem, oczywiście; ale wolałabym wiedzieć więcej, dużo więcej.

- Od mojej przyjaciółki pani Oliver wiem, że pragnęła się pani dowiedzieć czegoś szczególnego. W rzeczywistości chciała pani...

- Powiedziała pani, że chce odkryć - przerwała mu bezwzględnie Ariadna Oliver - czy ojciec Celi zabił najpierw jej matkę, a potem siebie, czy też matka Celi zastrzeliła jej ojca i później siebie.

- Mam wrażenie, że ta różnica jest ważna - wyjaśniła pani Burton-Cox. - Tak, jestem absolutnie pewna, że ta różnica jest ważna.

- Niezwykłe ciekawy punkt widzenia - stwierdził Poirot.

Ton jego głosu nie brzmiał zachęcająco.

- Och, mówię o emocjonalnym podłożu, o emocjonalnych wydarzeniach, które do tego doprowadziły. Musi pan przyznać, że w małżeństwie trzeba myśleć o dziejach. Także o dzieciach, które mają się narodzić. Mówię o dziedziczności. Obecnie uświadamiamy już sobie, że geny odgrywają większą rolę niż wpływ otoczenia. To one formują charakter i rodzą poważne ryzyko, które nie zawsze chce się podjąć.

- Zgoda - przyznał Poirot. - Ludzie podejmujący ryzyko muszą zdecydować. Mówimy o pani synu i młodej damie. Wybór należy do nich.

- Och, wiem, oczywiście że wiem. Nie jest to mój wybór. Rodzicom nigdy nie wolno wybierać, prawda? Ani nawet doradzić. Lecz ja chciałabym się czegoś dowiedzieć... tak. Chciałabym dowiedzieć się bardzo wiele. Jeśli sądzi pan, że może podjąć się... śledztwa, takiego słowa chyba pan używa. Lecz być może, być może jest ze mnie głupia matka. Pan rozumie. Przewrażliwiona, jeśli chodzi o mojego drogiego chłopca. Takie są matki.

Zaśmiała się sztucznie, przechylając głowę lekko w bok.

- Może - powiedziała stukając palcami w kieliszek z sherry - może pomyśli pan nad tym, a ja zgłoszę się do pana. I wypunktuję, co dokładnie mnie martwi.

Spojrzała na zegarek.

- O mój Boże, o mój Boże! Spóźniłam się już na następne spotkanie. Muszę iść. Tak mi przykro, droga pani Oliver, że tak szybko uciekam, ale wie pani, jak to jest. Z trudem udało mi się złapać po południu taksówkę. Kierowcy jeden po drugim odwracali głowy w inną stronę i przejeżdżali tuż obok mnie. Tyle trudności, prawda? Pani Oliver ma chyba pański adres, czy tak?

- Podam pani swój adres - powiedział Herkules Poirot. Wyjął wizytówkę z kieszeni i wręczył ją pani Burton-Cox.

- Tak, tak. Rozumiem. *Monsieur* Herkules Poirot. Jest pan Francuzem, tak?

- Jestem Belgiem - odparł Poirot.

- Tak, tak. Belg. Tak, doskonale rozumiem. Było mi bardzo miło poznać pana i czuję się teraz pełna nadziei. Ojej, muszę pędzić, i to bardzo szybko.

Wymieniła ciepły uścisk dłoni z panią Oliver, potem wyciągnęła rękę do Poirota i wyszła z pokoju, a z holu dobiegł ich trzask zamykanych drzwi.

- I co pan o tym sądzi? - spytała pani Oliver.

- A pani? - odparł Poirot.

- Uciekła - podsumowała pani Oliver. - Uciekła. Wystraszył ją pan.

- Tak - przyznał Poirot. - Ocenia pani sytuację poprawnie.

- Chciała, żebym wydobyla pewne rzeczy od Celi, chciała, żebym wydusiła z Celi jakieś informacje, jakąś reakcję, jakiś sekret, którego istnienie podejrzewa, ale nie pragnie prawdziwego śledztwa.

- Najwyraźniej nie - zgodził się Poirot. - To interesujące. Bardzo interesujące. Jak pani sądzi, czy ona jest zamożna?

- Tak myślę. Nosi drogie ubrania, mieszka w drogiej dzielnicy, jest... trudno to wyrazić. Lubi się rozpychać i narzucać swoje zdanie. Zasiada w wielu komitetach. Nie ma w niej nic podejrzanego. Pytałam kilku osób. Nikt za nią nie przepada, ale to typ kobiety zainteresowaniach społecznych, która uczestniczy w polityce i wszelkich podobnych sprawach.

- W takim razie, co jest z nią nie tak? - spytał Poirot.

- Myśli pan, że coś jest z nią nie tak? A może po prostu nie lubi jej pan, tak samo jak ja?

- Myślę, że w całej sprawie kryje się coś i ona nie chce, by ujrzało to światło dzienne - stwierdził Poirot.

- Och. A pan zamierza odkryć, co to jest?

- Oczywiście, jeśli tylko potrafię - przyznał Poirot.

- To może nie być łatwe. Pani Burton-Cox przechodzi do defensywy. To właśnie zrobiła opuszczając nas. Bała się pytań, jakie mógłbym jej postawić. Tak, to bardzo interesujące. - Westchnął. - Będzie trzeba cofnąć się jeszcze dalej, niż myśleliśmy.

- Co, znowu w przeszłość?

- Tak. W wielu przypadkach gdzieś w przeszłości kryje się coś, co należy znaleźć, co musimy znaleźć, nim powrócimy do tego, co stało się... ile to już czasu minęło? Piętnaście, może dwadzieścia lat temu w domu zwanym Overcliffe. Tak. Znowu trzeba będzie się cofnąć.

- To byłoby wszystko na dziś - podsumowała pani Oliver. - Co więc mamy do zrobienia? Jak wygląda pańska lista?

- Dzięki raportom policyjnym zebrałem trochę informacji dotyczących rzeczy znalezionych w domu. Pamięta pani, że między innymi znalazły się tam cztery peruki.

- Tak - powiedziała pani Oliver. - A pan twierdził, że cztery peruki to za dużo.

- Wyglądało mi to na lekką przesadę - przyznał Poirot. - Otrzymałem też kilka pożytecznych adresów. Na przykład lekarza, który może nam pomóc.

- Lekarza? To znaczy lekarza rodzinnego?

- Nie, nie jego. Mówię o lekarzu zeznającym: w sprawie dziecka, które miało wypadek. Zostało popchnięte przez starsze dziecko lub przez kogoś innego.

- To znaczy przez matkę?

- Może przez matkę, a może przez kogoś, kto był wówczas w domu. Wiem, w której części Anglii zdarzył się ten wypadek, a nadinspektorowi Garrowayowi udało się dotrzeć do lekarza poprzez znane mu źródła, a także poprzez moich przyjaciół z prasy, których zaintrygował sam wypadek,

- I zamierza go pan odwiedzić... Musi być już bardzo stary.

- Nie jego odwiedzę, ale jego syna. Jego syn również jest specjalistą w dziedzinie wszelakich zaburzeń psychicznych. Mogę do niego dotrzeć, a on być może powie mi coś interesującego. Mamy także dochodzenie w sprawie pieniędzy.

- To znaczy właściwie czego?

- Musimy wyjaśnić pewne aspekty. Pieniądze to jedna z rzeczy mogących prowadzić do zbrodni. Kto w wyniku jakiegoś zdarzenia może stracić pieniądze i kto może je zyskać. To trzeba odkryć.

- Musieli już dojść do tego w przypadku Ravenscrofrów.

- Tak, i wszystko wyglądało zwyczajnie. I generał, i jego żona spisali normalny testament, zostawiając pieniądze współmałżonkowi. Żona zapisała pieniądze po matce mężowi, a mąż zapisał swoje pieniądze żonie. Nie odnieśli z tego korzyści, ponieważ oboje zmarli. Tak więc naprawdę zyskała ich córka Celia i młodszy syn Edward, który, o ile wiem, studiuje teraz za granicą.

- To nam nic nie da. Dzieci nie było tam w chwili wypadku i nie mogły mieć w nim jakiegokolwiek udziału.

- Oczywiście, to prawda. Lecz trzeba sięgnąć głębiej, w przód, w tył, na boki, czy gdzieś nie kryje się motyw finansowy, powiedzmy, ważki.

- W każdym razie mnie niech pan o to nie prosi - zarzekła się pani Oliver. - Nie mam odpowiednich kwalifikacji do podjęcia się takiej sprawy. To znaczy...chyba dowiodły tego moje rozmowy ze słoniami.

- Najbardziej odpowiednią sprawą dla pani będzie zajęcie się sprawą czterech peruk.

- Peruk?

- W policyjnym raporcie zapisano wówczas adres dostawcy. Była to bardzo droga firma fryzjersko-perukarska, mieszcząca się na Bond Street w Londynie. Później sklep zamknięto, a firma przeniosła się gdzie indziej. Dwoje z pierwotnych wspólników pozostało i kontynuowało działalność. Jak zrozumiałem, zawiesili ją teraz, ale zdobyłem adres jednego z głównych fryzjerów i perukarzy. Pomyślałem sobie, że będzie łatwiej, jeśli pytania zada kobieta.

- Ach - wyrwało się pani Oliver. - To znaczy ja?

- Tak, pani.

- Zgoda. Co mam robić?

- Proszę złożyć wizytę w Cheltenham pod adresem, który pani podam. Znajdzie tam pani *madame* Rosentelle. Kobietę już niemłodą, która była bardzo modną modystką. Poślubiła, o ile wiem, mężczyznę tej samej profesji: fryzjera specjalizującego się w pokonywaniu problemów łysiejących dżentelmenów. Tupeciki i tym podobne.

- O mój Boże - westchnęła pani Oliver. - Ależ daje mi pan zadania. Myśli pan, że będą coś pamiętali?

- Słonie mają dobrą pamięć - powiedział Herkules Poirot.

- A komu pan będzie zadawał pytania? Temu lekarzowi, o którym pan mówił?

- Między innymi.

- I myśli pan, że on będzie coś pamiętał?

- Niezbyt wiele - przyznał Poirot. - Ale wydaje mi się, że mógł słyszeć o pewnym wypadku. Dla niego to musiał być interesujący przypadek choroby. Powinny istnieć jeszcze medyczne kartoteki.

- Bliźniaczki?

- Tak. Z tego, co wiem, łączyły się z nią dwa wypadki. Jeden, kiedy jako młoda matka mieszkała na wsi w Hatters Green, taki chyba był adres, i drugi, później, kiedy wyjechała na Malaje. Za każdym razem w wyniku wypadku śmierć poniosło dziecko. Być może dowiem się czegoś o...

- To znaczy, że skoro były bliźniaczkami, to Molly, moja Molly, też mogła cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne? Nigdy w to nie uwierzę. Ona taka nie była. Była pełna uczuć, kochająca, bardzo piękna, wrażliwa i... och. po prostu była przemiłą osobą.

- Tak, na to wygląda. I w sumie osobą bardzo szczęśliwą, prawda?

- Tak. Była szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Wiem, że nie widziałam jej później,

mieszkała w końcu za granicą. Ale kiedy dostawałam od niej list albo odwiedzałam ją, choć rzadko, zawsze wydawało mi się, że jest szczęśliwa.

- Nie znała pani tak naprawdę jej siostry?
- Nie. Myślę, że była... Mówiąc szczerze, kiedy odwiedzałam Molly, ona pewnie przebywała w jakimś zakładzie. Nie pojawiła się na ślubie Molly, nawet jako drużna.
- To już samo w sobie jest dziwne.
- Ale dalej nie rozumiem, czego chce się pan dowiedzieć.
- Po prostu zbiorę informacje - odparł Poirot.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Doktor Willoughby

Herkules Poirot wysiadł z taksówki, zapłacił kierowcy dodając napiwek, sprawdził, czy adres, pod który przyjechał, odpowiada adresowi zapisanemu w jego notesiku, ostrożnie wyjął z kieszeni list zaadresowany do doktora Willoughby'ego, wspiął się po schodach do drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzył mu lokaj. Przyjawszy do wiadomości nazwisko detektywa oznajmił, że doktor Willoughby oczekuje go.

Poirot został wprowadzony do małego, wygodnego pokoju z jedną ścianą pełną półek z książkami. Znajdowały się w nim dwa fotele przysunięte do kominka i taca z kieliszkami i dwiema karafkami. Doktor Willoughby powstał na powitanie gościa. Miał pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat, szczupłą, nawet chudą sylwetkę, wysokie czoło, ciemne włosy, uważne szare oczy. Ucisnął dłoń Poirota i wskazał mu fotel. Detektyw wyjął z kieszeni list.

- Ach tak.

Lekarz odebrał pismo, otworzył, przeczytał i kładąc obok siebie spojrzał na detektywa z zainteresowaniem.

- Nadinspektor Garroway wspomniał mi już o tym - powiedział. - A także, mógłbym rzec, mój znajomy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który błagał mnie bym uczynił wszystko w interesującej pana sprawie.

- Wiem, że proszę o dużą przysługę - zaczął Poirot. - Ale z pewnych względów rzecz jest dla mnie ważna.

- Po tylu latach?

- Tak. Oczywiście doskonale zrozumiem, jeśli zapomniał pan o tamtych wydarzeniach.

- Tego bym nie powiedział. Od wielu lat interesuję się, jak może pan służyć, pewną gałęzią mojej profesji.

- Wiem, że pański ojciec był uznanym autorytetem w tej dziedzinie.

- Tak. Stanowiła wielką pasję jego życia. Stworzył wiele teorii. Niektóre potwierdziły się, inne przyniosły rozczarowanie. Pana, jak rozumiem, interesuje przypadek schorzeń umysłowych?

- Chodzi o kobietę. Nazywała się Dorothea Preston-Grey.

- Tak. Byłem wtedy młody, ale już ciekawiły mnie teorie ojca, choć nie zawsze mieliśmy zgodne opinie. Interesowała mnie zarówno jego praca, jak i moja współpraca z nim. Nie wiem, co dokładnie chce pan wiedzieć o sprawie Dorothei Preston-Grey, czyli

późniejszej pani Jarrow.

- Jak wiem, miała siostrę bliźniaczkę - powiedział Poirot.

- Tak. Wówczas, mógłbym rzec, było to pole zainteresowań mojego ojca. Przygotowywał projekt, który miał na celu prześledzenie losów wybranych par bliźniaków jednojajowych. Takich, którzy wychowali się w tym samym środowisku, i takich, którzy w wyniku najprzeróżniejszych wydarzeń wyrosli w środowiskach zupełnie odmiennych. Chciał sprawdzić, w jakim stopniu pozostali podobni, czy podobne były przytrafiające się rzeczy. Chodziło o dwie siostry albo dwóch braci, którzy bardzo krótki czas spędzili razem, a jednak w niewytłumaczalny sposób przytrafiało się im to samo i to w tym samym czasie. Wszystko to było, właściwie ciągle jest, niezwykle intrygujące. Jednakże nie to chyba pana interesuje.

- Nie - przyznał Poirot. - Chodzi o przypadek, a raczej, jak sądzę, jego fragment: wypadek, jaki przydarzył się pewnemu dziecku.

- Przypominam sobie. To stało się chyba w Surrey. Tak, bardzo przyjemny region kraju. Niedaleko Camberley. Pani Jarrow była wtedy młodą wdową, została z dwójką małych dzieci. Jej mąż zginął w wypadku. W efekcie stała się...

- Niezrównoważona psychicznie?

- Nie, tak nie uważano. Była w głębokim szoku; śmierć męża odczuła jako wielką stratę. Według jej lekarza, nie powracała do zdrowia w zadowalającym tempie. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała jej rekonwalescencja ani sposób, w jaki radziła sobie z żalobą. Najwyraźniej jej reakcje były bardzo dziwne. W każdym razie lekarz nalegał na konsultację i poprosił mojego ojca, by obejrzał pacjentkę. Ojciec uznał jej stan za interesujący. Jednocześnie pomyślał, że niesie wyraźne oznaki niebezpieczeństwa i ocenił, że można by ją umieścić pod obserwacją w klinice, gdzie otoczona będzie troskliwą opieką. Był o tym jeszcze głębiej przekonany, kiedy doszło do wypadku z dzieckiem. Chodziło o rodzeństwo. Według zeznań pani Jarrow, starsze dziecko, dziewczynka, zaatakowała młodszego o cztery czy pięć lat brata, uderzyła go grabiami czy łopatą, tak że wpadł do ozdobnego stawu i utopił się. Cóż, jak pan wie, takie rzeczy przytrafiają się dzieciom. Niemowlę w wózku zostaje wepchnięte do stawu, ponieważ starsze dziecko jest zazdrosne i myśli sobie: Mamusia miałaby o wiele mniej kłopotów, gdyby tylko nie było Edwarda, Donalda czy jak mu na imię. Albo: Tak będzie lepiej dla niej. To wynika z zazdrości. Jednak w tym przypadku brak jakiegokolwiek dowodu czy powodu do zazdrości. Dziecko nie czuło się dotknięte narodzinami brata. Z drugiej strony, pani Jarrow nie chciała drugiego dziecka. Mimo iż jej mąż bardzo się cieszył, pani Jarrow go nie chciała. Była u dwóch lekarzy żądając aborcji, ale nie znalazła nikogo, kto by wykonał zabieg uznawany wówczas za nielegalny.

Jedna ze służących i chłopiec, który przyniósł akurat telegram, twierdzili, że to kobieta zaatakowała dziecko. A druga służąca była pewna, że widziała swoją panią przez okno. Powiedziała: “Myślę, że biedactwo nie wie, co czyni. Wie pan, odkąd pan umarł, ona popadła w taki stan jak nigdy przedtem”. Cóż, jak wspomniałem, nie wiem dokładnie, czego chciałby się pan dowiedzieć. Ustalono werdykt; śmierć chłopca uznano za wypadek. Dzieci bawiły się razem, popychały, i dlatego był to bez wątpienia nieszczęśliwy wypadek. Na tym porzeczano. Kiedy mojego ojca poproszono o konsultację, porozmawiał z panią Jarow, przeprowadził kilka testów, poprosił ją o wypełnienie pewnych kwestionariuszy, rzucił parę współczujących uwag, zadał parę pytań... i upewnił się, że to ona odpowiadała za to, co się wydarzyło. Według opinii należało poddać ją leczeniu psychiatrycznemu.

- Pański ojciec był absolutnie pewien, że to ona ponosi odpowiedzialność?

- Tak jest. W tamtych czasach popularna była pewna szkoła leczenia, w którą wierzył także mój ojciec. Według założeń tej szkoły, po zadowalającej kuracji ciągnącej się nieraz przez rok i dłużej, pacjenci mogli powrócić do normalnego trybu życia; w dodatku było korzyścią dla ich zdrowia. Mogli zamieszkać z powrotem w domu, otoczeni odpowiednią dawką opieki zarówno medycznej, jak i osób, z reguły bliskich krewnych, które mieszkaly z nimi i mogły obserwować chorych w codziennym życiu. W takim przypadku wszystko winno się dobrze ułożyć. Ta metoda, jak wspomniałem, rzeczywiście odnosiła początkowo sukcesy, co jednakże zmieniło się z czasem. W kilku przypadkach wyniki były szczególnie niekorzystne. Pacjenci pozornie wyleczeni wracali do swoich domów, do naturalnego otoczenia, do rodziny, mężów, rodziców i powoli popadali w starą chorobę, co często prowadziło do tragedii. Szczególnie jeden przypadek rozczarował mojego ojca, przypadek ważny również dla jego badań. Kobieta, która powróciła do przyjaciółki, z którą poprzednio mieszkala. Wszystko wydawało się układać pomyślnie, ale po pięciu czy sześciu miesiącach wezwała pilnie lekarza, a kiedy przyjechał, powiedziała: “Muszę zaprowadzić pana na górę. Będzie pan zły, że to zrobiłam i obawiam się, że będzie pan musiał wezwać policję. Wiem, że tak trzeba. Ale otrzymałam polecenie. Ujrzałam Diabła w oczach Hildy. Zobaczyłam w nich Diabła i wiedziałam, co muszę zrobić. Wiedziałam, że muszę ją zabić”. Ofiara leżała w fotelu, uduszona. Po śmierci wydłubano jej oczy. Morderczyni zmarła w szpitalu psychiatrycznym, nie odczuwając z powodu popełnionej zbrodni nic poza przekonaniem, że otrzymała rozkaz, i jej obowiązkiem było zniszczyć Diabła.

Poirot pokiwał głową ze smutkiem.

Doktor opowiadał dalej:

- Tak. No cóż, sądzę, że Dorothea Preston-Grey cierpiała na pozornie łagodne

zaburzenia psychiczne, które jednak były niebezpieczne, tak więc mogła być uznana za niegroźną, tylko jeśli znajdowała się pod stałą kuratelą. Wówczas nie zgodzono się z tym i mój ojciec uważał, że to bardzo nierozsądne. Kiedyś wysłano ją do dobrego zakładu, gdzie poddano ją doskonałemu leczeniu. Po kilku latach wydawała się zupełnie zdrowa. opuściła zakład, wiodła normalne życie pod opieką bardzo sympatycznej pielęgniarki, którą domownicy uważali za pokojówkę. Wychodziła, zawierała nowe znajomości wkrótce wyjechała za granicę.

- Na Malaje - uzupełnił Poirot.

- Tak. Jak widzę, otrzymał pan poprawne informacje. Wyjechała na Malaje, by zamieszkać u swojej bliźniaczej siostry.

- A tam doszło do kolejnej tragedii?

- Tak. Zaatakowano dziecko sąsiadów. Najpierw myślnano, że winna jest *amah*, potem, zdaje się, podejrzewano miejscowego służącego. A jednak bez wątpienia winę ponosi znów pani Jarrow, która zrobiła to z sobie tylko znanych powodów. Nie było jednoznacznych zarzutów, które można by wysunąć przeciwko niej. Chyba generał... wyleciało mi z głowy jego nazwisko...

- Ravenscroft? - podsunął Poirot.

- Tak, tak. Generał Ravenscroft zgodził się załatwić jej powrót do Anglii i powtórne leczenie. To chciał pan wiedzieć?

- Tak - odparł detektyw. - Tyle po części słyzałem już wcześniej, lecz były to przeważnie, jeśli mogę tak powiedzieć, plotki, a więc nic zbyt wiarygodnego. Chciałem pana zapytać, czy ten przypadek łączył się z problemem bliźniaków jednojajowych. A w takim razie, co z drugą siostrą? Z Margaret Preston-Grey, późniejszą żoną generała Ravenscrofta? Czy mogła ulec tej samej chorobie?

- Nigdy jej nie leczono. Była absolutnie zdrowa psychicznie. Sprawa interesowała mojego ojca; odwiedził ją ze dwa razy, rozmawiał z nią, ponieważ bardzo często notował przypadki niemal identycznych chorób czy zaburzeń psychicznych u bliźniąt jednojajowych, które w dzieciństwie były bardzo związane ze sobą.

- Powiedział pan, że tylko w dzieciństwie?

- Tak właśnie. W pewnych okolicznościach między bliźniętami może zrodzić się uczucie wrogości. Budzi się po okresie pierwszej, opiekuńczej miłości, wypaczonej w stronę czegoś pokrewnego nienawiści, jeśli tylko istnieje emocjonalny przymus mogący zapoczątkować czy obudzić nienawiść; taką nienawiść wywołuje też jakikolwiek kryzys emocjonalny.

- I myślę - kontynuował lekarz - że o taki kryzys chodziło w tym przypadku. General Ravenscroft, jeszcze jako młody podoficer, może kapitan, zakochał się, jak przypuszczam, w Dorothei Preston-Grey, dziewczynie bardzo pięknej. W rzeczywistości to ona była piękniejszą z bliźniaczek. I też się w nim zakochała. Nie byli oficjalnie zaręczeni, a general Ravenscroft wkrótce przeniósł uczucia na drugą siostrę, Margaret. Czy Molly, jak ją nazywano. Zakochał się w niej i poprosił o rękę. A ona odwzajemniła jego uczucia i pobrali się, jak tylko pozwoliła im na to jego kariera. Mój ojciec nie wątpił, że druga bliźniaczka, Dolly, bardzo zazdrościła siostrze, kochała nadal Alistaira Ravenscrofta i nienawidziła ich związku. A jednak poradziła sobie, w swoim czasie poślubiła innego człowieka i małżeństwo wydawało się szczęśliwe. Potem często odwiedzała Ravenscroftów, nie tylko wtedy na Malajach, ale i później, kiedy znaleźli się na innej placówce zagranicznej, i po ich powrocie do kraju. Do tego czasu uznano ją ponownie za zdrową. Nie cierpiała na żadną depresję, mieszkała z bardzo odpowiedzialną pielęgniarką i całym zastępem służby. Wierzę, tak mówił mi mój ojciec, że lady Ravenscroft pozostała przywiązana do siostry. Troszczyła się o nią i gorąco ją kochała. Jak sądzę, pragnęła widzieć ją częściej, ale niezbyt odpowiadało to generałowi Ravenscroftowi. Możliwe, że trochę niezrównoważona Dolly, pani Jarrow, wciąż żywiła gorące uczucie do generała Ravenscrofta, co dla niego musiało być kłopotliwe i trudne. Z drugiej strony jestem przekonany, że jego żona była pewna, iż siostra pokonała wszelką zazdrość czy gniew.

- Jak zrozumiałem, pani Jarrow mieszkała u Ravenscroftów na mniej więcej trzy tygodnie przed ich samobójczą śmiercią.

- Tak, to prawda. Wówczas właśnie sama zginęła. Często lunatykowała. Pewnej nocy wyszła z domu we śnie i doszło do wypadku: spadła z urwiska, na które prowadziła zapomniana ścieżka. Znalaziono ją następnego dnia. O ile wiem, zmarła w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Jej siostrę Molly wytrąciło to zupełnie z równowagi i unieszczęśliwiło, ale powiedziałbym, co pewnie pana zainteresuje, że według mnie to w żadnym wypadku nie mogło doprowadzić do samobójstwa żyjącej szczęśliwie pary. Żal po śmierci siostry czy szwagierki raczej nie skłania ludzi do samobójstwa. A na pewno nie do podwójnego.

- Chyba że - zauważył Poirot - Margaret Ravenscroft była odpowiedzialna za śmierć siostry.

- Mój Boże! - wykrzyknął doktor Willoughby. - Chyba nie sugeruje pan...?

- Że Margaret śledziła swoją siostrę i to jej ręka pchnęła Dorotheę w dół urwiska?

- Kategorycznie protestuję przeciwko tak absurdalnemu pomysłom!

- Z ludźmi - zauważył Poirot - nigdy nic nie wiadomo.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Eugene i Rosentelle, styliści

Pani Oliver z aprobatą spojrzała na Cheltenham. Tak się złożyło, że nigdy nie trafiła tu wcześniej. Jak miło, powiedziała do siebie, zobaczyć domy wyglądające niemal jak domy, to znaczy właściwe domy.

Cofając się pamięcią do dni młodości przypominała sobie, że znała, a przynajmniej jej krewni, ciotki znali ludzi mieszkających w Cheltenham. Zazwyczaj byli to emerytowani oficerowie armii lub marynarki. Pomyślała, że w takim właśnie miejscu chciałby mieszkać każdy, kto spędził życie za granicą. Kojarzyło się z angielską stabilnością, dobrym smakiem, miłą pogawędką i rozmowami.

Zajrząwszy do paru ładnych sklepów z antykami, odnalazła adres, pod który chciała dotrzeć, albo raczej Herkules Poirot chciał, żeby dotarła. Firma nazywała się "Salony Fryzjerskie Rose Green". Weszła do środka i rozglądnęła się. Cztery czy pięć osób poddawano zabiegom fryzjerskim. Pulchna młoda dama zostawiła swoją klientkę i podeszła do pani Oliver z pytającym wyrazem twarzy.

- Pani Rosentelle? - odezwała się pani Oliver, spoglądając w dół na wizytówkę. - Powiedziała, że zobaczy się ze mną, jeśli przyjdę tu rano. Nie zamierzam - wyjaśniła - robić czegokolwiek z włosami. Chciałam poradzić się w pewnej sprawie. Prawdopodobnie uprzedzono ją telefonicznie i obiecała, że jeśli przyjdę o pół do dwunastej, poświęci mi trochę czasu.

- Ach tak - odparta dziewczyna. - Myślę, że *madame* spodziewa się kogoś.

Poprowadziła panią Oliver w dół po kilku schodkach i pchnęła drzwi wahadłowe. Z salonu fryzjerskiego przeszły najwyraźniej do mieszkania pani Rosentelle. Pulchna dziewczyna zastukała w drzwi mówiąc;

- Ktoś do pani. - Wetknęła nos do środka, a potem dość nerwowo spytała:

- Jak się pani nazywa?

- Ariadna Oliver - odparła.

I weszła. Pokój wywoływał wrażenie kolejnego salonu wystawienniczego. Zasłonki z różowej gazy i tapeta w różyczki, a w tym wszystkim pani Rosentelle, kobieta, jak oceniła pani Oliver, mniej więcej w jej wieku albo nawet wiele lat starsza, kończyła najwyraźniej to, co było poranną filizanką kawy.

- Pani Rosentelle?

- Tak?

- Wiedziała pani, że przyjdę?

- Och tak. Nie całkiem zrozumiałam, o co chodzi. Połączenia telefoniczne są kiepskie.

Wszystko w porządku, mam wolne pół godziny. Napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję - odparła pani Oliver. - Nie zatrzymam pani dłużej niż to potrzebne.

Chciałabym tylko o coś panią zapytać. Być może pamięta pani. Ma pani za sobą długą karierę we fryzjerstwie.

- O tak. Jestem wdzięczna, że teraz mogę przekazać dziewczętom. Nie robię już nic sama.

- Może nadal doradza pani klientkom?

- Owszem, to jeszcze robię. - Pani Rosentelle uśmiechnęła się.

Miała sympatyczną, inteligentną twarz i świetnie ułożone brązowe włosy, przetykane gdzieś tam siwymi pasmami.

- Nie jestem pewna, o co chodzi.

- Chciałabym zapytać panią o... cóż, w sumie o peruki.

- Nie zajmujemy się już perukarstwem tak bardzo jak dawniej.

- Prowadziła pani firmę w Londynie, prawda?

- Tak. Najpierw na Bond Street, a potem przenieśliśmy się na Sloane Street. Ale po tylu latach miło jest zamieszkać na wsi. Tak, bardzo nam tu z mężem dobrze. Prowadzimy małą firmę, ale obecnie mamy niewiele do czynienia z perukarstwem. Chociaż mój mąż rzeczywiście zajmuje się doradztwem i projektuje peruki dla łysiejących mężczyzn. To naprawdę wielka różnica dla biznesmenów, jeśli nie wyglądają zbyt staro. Często pomagają to w zdobyciu nowej pracy.

- Doskonale rozumiem - powiedziała pani Oliver.

Wyłącznie ze zdenerwowania dodała parę zdań przypominających zwyczajną pogawędkę. Zastanawiała się, jak przystąpić do rzeczy. Zaskoczyło ją, kiedy pani Rosentelle pochyliła się i nagle powiedziała:

- Pani jest Ariadną Oliver, prawda? Powieściopisarką?

- Tak - przyznała pani Oliver. - W gruncie rzeczy - przybrała typowy dla siebie wyraz zawstydzenia, który pojawiał się na jej twarzy zawsze przy tych słowach - Tak, piszę powieści.

- Bardzo lubię pani książki. Mnóstwo przeczytałam. Naprawdę, sprawiła mi pani przyjemność. Proszę powiedzieć, jak mogę pani pomóc.

- Chciałam porozmawiać o perukach i o czymś, co stało się wiele lat temu i być może

wcale już tego pani nie pamięta.

- Zastanawiam się... mówi pani o modzie sprzed lat?

- Nie całkiem. Chodzi o pewną kobietę, moją przyjaciółkę. Byłyśmy razem w szkole. Potem ona wyszła za męża i wyjechała na Malaje, wróciła do Anglii, doszło do tragedii i jedną ze spraw, które wywołały zdziwienie, był fakt, że miała tak wiele peruk. Wszystkie zostały dostarczone przez panią, to znaczy przez pani firmę.

- Tragedia. Jak brzmiało jej nazwisko?

- Kiedy ja ją znałam, nazywała się Preston-Grey, a po mężu Ravenscroft.

- Ach. A tak, ona. Tak, pamiętam lady Ravenscroft. Bardzo dobrze. Była bardzo miła i naprawdę przystojna. mąż był pułkownikiem albo generałem, przeszedł na emeryturę i zamieszkali w... zapomniałam, jakie to hrabstwo...

- I doszło do tragedii, którą uznano za wspólne samobójstwo - uzupełniła pani Oliver.

- Tak, rzeczywiście. Pamiętam, że czytałam o tym i powiedziałam: "Przecież to nasza lady Ravenscroft!" W gazecie było zdjęcie ich obojga, i to rzeczywiście była lady Ravenscroft. Oczywiście, jego nigdy nie widziałam, ale to była ona. Takie to smutne i przygnębiające. Słyszałam, że odkryto u niej raka i że nie można było nic na to poradzić, więc tak się to skończyło. Ale nigdy nie dotarły do mnie żadne szczegóły.

- Oczywiście.

- A co mogę powiedzieć pani?

- Dostarczała jej pani peruki. Jak rozumiem, ludzie prowadzący dochodzenie, to znaczy policja, uznali, że cztery peruki to dużo. Choć może wtedy każdy miał cztery peruki?

- Myślę, że większość kobiet miała co najmniej dwie - powiedziała pani Rosentelle. - Wie pani, jedną odsyłano do naprawy, można by rzec, a drugą noszono.

- Czy przypomina pani sobie, żeby lady Ravenscroft zamówiła dwie dodatkowe peruki?

- Nie zjawiała się osobiście. Chyba była wtedy lub wcześniej chora i leżała w szpitalu. Po peruki przyjechała młoda Francuzka. Chyba jej dama do towarzystwa. Bardzo miła. Doskonale mówiła po angielsku. Opisała dokładnie, jakie peruki są potrzebne: rozmiar, kolor, fryzura i złożyła zamówienie. Tak. Ciekawe, że to zapamiętałam. Pewnie bym zapomniała, gdyby nie.... to musiało być w jakiś miesiąc później... miesiąc, może półtora.... Przeczytałam o samobójstwie. Obawiam się, że przekazali jej złe wiadomości w szpitalu czy gdzie tam była, więc nie mogła już stawić czoła dalszemu życiu, a jej mąż czuł, że nie mógłby żyć bez niej...

Pani Oliver potrząsnęła głową ze smutkiem - i kontynuowała śledztwo.

- To były różne rodzaje peruk, jak sądzę?

- Zgadza się. Jedna miała ładne siwe pasemka, jedna była przeznaczona na przyjęcia, jedna na wieczór, jedna obcięta krótko, w loczki. Bardzo ładna, można ją było założyć pod kapelusz i fryzura nie niszczyła się. Zmartwiło mnie, że nie zobaczyłam już lady Ravenscroft. Oprócz choroby martwiła ją śmierć siostry. Jej bliźniaczki.

- Tak, bliźnięta są bardzo przywiązane do siebie - stwierdziła pani Oliver.

- Wcześniej wydawała się zawsze taka szczęśliwa - wspominała pani Rosentelle.

Westchnęły obie. Pani Oliver zmieniła temat.

- Jak pani sądzi, czy przydałaby mi się peruka? - spytała.

Ekspert wyciągnął rękę i położył ją z namysłem na głowie pani Oliver.

- Nie radziłabym. Ma pani wspaniałe włosy. Wciąż bardzo gęste. Przypuszczam - na jej ustach pojawił się uśmiech - że lubi pani bawić się nimi?

- Skąd pani wiedziała? To absolutna prawda. Lubię eksperymentować. To świetna zabawa.

- I lubi pani życie, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Chyba zwłaszcza to wrażenie, że nigdy nie wie się, co ma się stać.

- Ale właśnie takie wrażenie - zauważyła pani Rosentelle - sprawia, że tak wiele osób nigdy nie przestaje się zamartwiać!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Raport pana Goby'ego

Pan Goby wszedł do pokoju i usiadł na wskazanym przez Poirota, tym samym co zwykle krześle. Rozejrzał się wokół, zanim ustalił, do jakiego mebla lub części pokoju będzie się zwracał. Wybrał, jak częstokroć wcześniej, elektryczny kominek, wyłączony o tej porze roku. Nigdy nie widziano, by pan Goby zwracał się bezpośrednio do osoby, dla której pracował. Zazwyczaj wybierał gzyms, kaloryfer, telewizor, zegar, a niekiedy dywan lub matę. Wyjął z teczki plik kartek.

- Tak więc - rozpoczął Herkules Poirot - ma pan coś dla mnie?
- Zebrałem kilka szczegółów - odparł pan Goby.

Pana Goby'ego ceniono w całym Londynie, może nawet w całej Anglii i dalej, jako świetnego informatora. Nikt nie wiedział do końca, w jaki sposób dokonuje swych cudów. Nie zatrudniał olbrzymiego personelu. Czasem narzekał, że jego nogi, jak niekiedy nazywał swoich pracowników, nie były już tak dobre jak niegdyś. Lecz osiągnięte przez niego rezultaty wciąż zadziwiały ludzi, którzy go zatrudniali.

- Pani Burton-Cox. - Obwieścił to nazwisko jak członek komitetu parafialnego mający odczytać kolejną ewangelię. Równie dobrze mógłby powiedzieć: "Werset trzeci, rozdział czwarty księgi Izajasza".

- Pani Burton-Cox - powtórzył. - Poślubiła pana Cecila Aldbury'ego, fabrykanta guzików na dużą skalę. Bogacz. Zajął się polityką, został posłem z okręgu Little Stansmere. Zginął w wypadku samochodowym cztery lata po ślubie. Jedyne dziecko zginęło w wypadku wkrótce potem. Majątek pana Aldbury'ego odziedziczyła jego żona, ale nie był tak duży jak oczekiwano, ponieważ w ostatnich latach firma nie prosperowała za dobrze. Pan Aldbury zostawił wszakże znaczną sumę pieniędzy pannie Kathleen Fenn, z którą najwyraźniej utrzymywał intymne stosunki, o czym nie wiedziała jego żona. Pani Burton-Cox kontynuowała karierę polityczną. W jakieś trzy lata potem adoptowała dziecko, które urodziła panna Kathleen Fenn. Panna Fenn utrzymywała, że był to syn zmarłego pana Aldbury'ego. Z tego, co zdołałem odkryć, trudno się z tym zgodzić. Panna Fenn utrzymywała wiele związków, zazwyczaj z dżentelmenami zamożnymi i hojnymi. Ale w końcu tyłu ludzi ma swoją cenę, prawda? Obawiam się muszę wystawić panu dość słony rachunek.

- Proszę dalej - powiedział Herkules Poirot.
- Pani Aldbury, jak wówczas się nazywała, zgodziła się adoptować dziecko. Wkrótce

potem poślubiła majora Burton-Coxa. Panna Kathleen Fenn odniosła, nazwijmy to, sukces jako aktorka i piosenkarka. Zarobiła mnóstwo pieniędzy. Napisała do pani Burton-Cox, że pragnie odebrać dziecko. Pani Burton-Cox odmówiła. Pani Burton-Cox powodzi się całkiem dobrze, odkąd major Burton-Cox został zabity na Malajach. Zostawił jej umiarkowany dochód. Według kolejnej informacji, jaką uzyskałem panna Kathleen Fenn zmarła całkiem niedawno - osiemnaście miesięcy temu, jak sądzę - zostawiając testament, zgodnie z którym cały jej majątek, który do tego czasu osiągnął znaczną wysokość, został zapisany jej naturalnemu synowi Desmondowi, obecnie noszącemu nazwisko Burton-Cox.

- Hojny zapis - ocenił Poirot. - Na co zmarła panna Fenn?

- Mój informator podaje, że na białaczkę.

- A chłopak dziedziczy pieniądze matki?

- Zostały przekazane w powiernictwo, dopóki nie skończy dwudziestu pięciu lat.

- Będzie więc niezależny i w posiadaniu pokaźnej fortuny? A pani Burton-Cox?

- Nie poszczęściło się jej w inwestycjach, co zrozumiałe. Ma z czego żyć, ale niewiele więcej.

- Czy Desmond spisał testament? - spytał Poirot.

- Obawiam się, że tego jeszcze nie wiem - odparł pan Goby - Mam środki, by się dowiedzieć. Gdy się to stanie, bezzwłocznie pana powiadomię.

Pan Goby wstał i opuścił pokój, z roztargnieniem składając pożegnalny ukłon kominkowi.

W jakieś półtorej godziny potem zadzwonił telefon.

Herkules Poirot, z kartką papieru przed sobą, zajmował się robieniem notatek. Od czasu do czasu marszczył czoło, podkreślał wąs, wykreślał coś i powtórnie zapisywał, a potem przechodził do następnego punktu. Na dzwonek telefonu podniósł słuchawkę i zaczął słuchać.

- Dziękuję - powiedział. - Szybka robota. Tak... tak... Jestem niezmiernie wdzięczny. Doprawdy czasami nie rozumiem, jak się to panu udaje... Tak, to wyjaśnia sprawę. Nadaje sens temu, co poprzednio nie miało żadnego sensu... tak... Rozumiem, że... tak, słucham... jest pan absolutnie pewny, że o to właśnie chodzi. Wie, że został adoptowany... ale nigdy nie powiedziano mu, kim jest jego prawdziwa matka... tak. Tak, rozumiem... Bardzo dobrze. Wyjaśni pan również drugą kwestię? Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i ponownie zaczął spisywać notatki. Po pół godzinie telefon znów zadzwonił. Poirot odebrał go.

- Wracam z Cheltenham - stwierdził głos, który Poirot rozpoznał bez trudu.

- Ach, *chere madame*, więc wróciła pani? Widziała pani panią Rosentelle?

- Tak. Miła osoba. Bardzo miła. I miał pan rację, to rzeczywiście kolejny słoń.

- To znaczy, *chere madame*?

- Pamiętała Molly Ravenscroft.

- I pamiętała jej peruki?

- Tak.

Pani Oliver krótko przekazała, co emerytowana fryzjerka powiedziała jej o perukach.

- Tak - ocenił Poirot - zgadza się. Dokładnie tak samo mówił mi nadinspektor Garroway. Cztery peruki znalezione przez policję. Luki, peruka na wieczór, dwie pozostałe prostsze. Cztery.

- Więc tak naprawdę powiedziałam panu tylko to, co wiedział pan wcześniej?

- Nie. Powiedziała mi pani coś więcej. Według niej, to mi właśnie pani mówiła, prawda? Więc według niej lady Ravenscroft chciała zamówić dwie dodatkowe peruki prócz tych, które już miała, i miała ten zamiar na trzy do sześciu tygodni przed tragedią. To interesujące, nieprawdaż?

- To całkiem naturalne - odparła pani Oliver. - To znaczy wie pan przecież, że ludzie, raczej kobiety, niszczą przedmioty. Sztuczne włosy i tak dalej. Jeśli nie można ich umyć i ułożyć powtórnie, jeśli spaliły się albo oblano je czymś czego nie można szczyścić, albo jeśli ufarbowano je i to źle... cokolwiek, wtedy oczywiście trzeba zamówić dwie nowe peruki albo treski, czy o co tam chodzi. Nie rozumiem, czemu tak się pan tym ekscytuje.

- "Ekscytuję" nie jest właściwym słowem - zaprotestował Poirot. - To tylko pewien punkt, ale bardziej interesujący przez to, co właśnie pani dodała. Peruki do skopiowania czy dopasowania przywiozła Francuzka?

- Tak. Najwyraźniej dama do towarzystwa czy ktoś taki. Lady Ravenscroft była wtedy w szpitalu albo w klinice, nie czuła się najlepiej i nie mogła zjawić się i wybrać je osobiście.

- Rozumiem.

- Tak więc przyjechała jej francuska towarzyszka.

- Czy przypadkiem zna pani nazwisko tej damy?

- Nie. Pani Rosentelle chyba go nie wspomniała. Raczej nie wiedziała. Wizytę zamówiła lady Ravenscroft, a ta francuska dziewczyna czy kobieta po prostu przywiozła peruki, żeby dopasowano rozmiar i kształt, jak przypuszczam.

- To - powiedział Poirot - pomoże mi podjąć kolejny krok, do którego się szykuje.

- Czego się pan dowiedział? - spytała pani Oliver. - Dokonał pan czegokolwiek?

- Zawsze pełna sceptycyzmu - zauważył Poirot.

- Zawsze przyjmuje pani, że nic nie robię, że siedzę w fotelu i wypoczywam.

- Cóż, przypuszczam, że siedzi pan w fotelu i myśli - przyznała pani Oliver. - Ale zgadzam się, że nieczęsto wychodzi pan i coś robi.

- W niedalekiej przyszłości być może wyjdę i coś zrobię - oznajmił Herkules Poirot. - I to sprawi pani przyjemność. Może przepłynę nawet kanał La Manche, choć na pewno nie łodzią. Wskazany byłby, jak sądzę, samolot.

- Och - wyrwało się pani Oliver. - Chce pan, żebym też pojechała?

- Nie - odparł Poirot. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli w tym wypadku pojedę sam.

- Naprawdę pan pojedzie?

- O tak, oczywiście. Będę biegał z każdą sprawą, a pani będzie wreszcie ze mnie zadowolona, *madame*.

Odłożył słuchawkę i sprawdzwszy informację zapisaną w kieszonkowym notesie wykręcił kolejny numer. Połączył się z osobą, z którą pragnął rozmawiać.

- Drogi nadinspektorze, zwraca się do pana Herkules Poirot. Nie krzyżuję za bardzo pańskich planów? Nie jest pan zbyt zajęty?

- Nie, nie jestem - odparł nadinspektor Garroway. - Przycinam moje róże.

- Chciałbym o coś pana zapytać. O drobnostkę.

- Dotyczy naszej sprawy podwójnego samobójstwa?

- Tak, chodzi o naszą sprawę. Mówił pan, że w domu był pies. Mówił pan, że chodził na spacer z Ravenscroftami, albo tak pan zrozumiał.

- Zgadza się, ktoś wspominał o psie. Albo gospodyni, albo ktoś, kto powiedział, że tamtego dnia poszli na spacer jak zwykle z psem.

- Czy na ciele lady Ravenscroft znaleziono ślady ugryzienia? Niekoniecznie pochodzące z tego szczególnego dnia?

- To dziwne, że o to pan pyta. Chyba nie pamiętałbym, gdyby pan o tym nie wspomniał. Rzeczywiście, miała parę blizn. Niezbyt głębokich. Gospodyni wspominała, że pies zaatakował swoją panią kilkakrotnie i pogryzł ją, choć niezbyt dotkliwie. Niech pan posłucha, Poirot, nie ma mowy o żadnej wściekłości, jeśli o tym pan myśli. W grę nie mogło wchodzić nic w tym stylu. Przecież została zastrzelona, oboje zostali zastrzeleni. Nie ma mowy o infekcji poszczepiennej ani tężcu.

- Nie obwiniam psa - powiedział Poirot. - Chciałem się tylko dowiedzieć.

- Jedna blizna była nowa, pochodziła sprzed tygodnia, ktoś chyba mówił, że sprzed dwóch. Żadne zastrzyki nie były konieczne. Rana zagoiła się sama. Jaki to cytat? - zastanawiał się nadinspektor Garroway, - "To pies zdechł". Nie pamiętam, skąd to jest, ale...

- W każdym razie to nie pies zginął - przerwał Poirot. - Nie o to mi chodziło.

Chciałbym poznać tego psa. To mógł być bardzo inteligentny pies.

Odłożył słuchawkę podziękowawszy nadinspektorowi i wymruczał do siebie:

- Inteligentny pies. Prawdopodobnie mądrzejszy od policji.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poirot oznajmia swój wyjazd

Panna Livingstone wprowadziła gościa.

- Pan Herkules Porrett.

Gdy tylko opuściła pokój, Poirot zamknął drzwi i usiadł obok swojej przyjaciółki, pani Ariadny Oliver. Zniżając głos oznajmił:

- Wyjeżdżam.

- Co pan robi? - spytała pani Oliver, którą zawsze zaskakiwał sposób, w jaki Poirot przekazywał informacje.

- Wyjeżdżam. Opuszczam panią. Mam samolot do Genewy.

- Brzmi to tak, jakby należał pan do ONZ czy UNESCO.

- Nie. To prywatna wizyta.

- Ma pan jakiegoś słonia w Genewie?

- Cóż, można by tak na to spojrzeć. Nawet dwa.

- Ja nic już nie odkryłam - powiedziała pani Oliver - Tak naprawdę to nie wiem, do kogo pójść, żeby jeszcze cokolwiek odkryć.

- Jak sądzę, pani albo ktoś inny wspominał, że pani chrzestna córka, Celia Ravenscroft, ma młodszego brata.

- Tak. Na imię mu chyba Edward. Rzadko go widywałam. Raz czy dwa zabrałam go ze szkoły, ale to było wiele lat temu.

- Gdzie jest teraz?

- Na uniwersytecie chyba w Kanadzie. Może uczy się tam na jakichś kursach inżynierskich. Chce pan pojechać do niego i o coś zapytać?

- Nie, nie w tej chwili. Po prostu chciałem wiedzieć, gdzie mieszka. Jak rozumiem, nie było go w domu, kiedy doszło do samobójstwa?

- Nie myśli pan chyba... chyba nie przyszło panu do głowy, że on to zrobił? To znaczy zastrzelił ojca i matkę? Wiem, że chłopcy są do tego niekiedy zdolni. Zachowują się dziwnie, kiedy przechodzą ten głupi wiek.

- Nie było go w domu - powiedział Poirot. - Tyle już wiem z raportów policji.

- Odkrył pan jeszcze coś interesującego? Wydaje się pan podekscytowany.

- W pewnym sensie jestem. Odkryłem pewne rzeczy, które mogą rzucić światło na to, co już wiemy.

- To znaczy, co może rzucić światło na co?

- Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego pani Burton-Cox zagadnęła panią i próbowała zmusić do uzyskania informacji o faktach dotyczących samobójstwa Ravenscroftów.

- To znaczy, że nie była po prostu wścibska?

- Nie. Sądzę, że kierował nią pewien motyw. Mogą tu wchodzić w grę pieniądze.

- Pieniądze? A co pieniądze mają do tego? Przecież jest zamożna?

- Tak, ma z czego żyć. Ale wygląda na to, że jej adoptowany syn, którego uważa za swoje prawdziwe dziecko... zresztą on wie, że został adoptowany, choć nie wie nic o rodzinie, z której naprawdę pochodzi. Wygląda na to, że kiedy osiągnął pełnoletność, spisał testament, możliwe że nakłoniony przez swoją przybraną matkę. Może pomysł podsunął mu ktoś z jej znajomych. Może prawnik, którego ona się radziła. W każdym razie, osiągnąwszy pełnoletność mógł uznać, że równie dobrze może zostawić wszystko matce, to znaczy swojej przybranej matce. Prawdopodobnie nie znał wówczas nikogo innego, komu mógłby zapisać spadek.

- Nie rozumiem, jak to może prowadzić do zainteresowania samobójstwem.

- Naprawdę? Ona chciała odwieść go od małżeństwa. Gdyby młody Desmond miał sympatię, gdyby oświadczył się jej i zamierzał poślubić w najbliższej przyszłości, co robi obecnie wielu młodych ludzi, nie czekali by ani nie zastanawiali by się. W takim wypadku pani Burton-Cox nie odziedziczyłaby pieniędzy po nim, gdyż małżeństwo unieważniłoby wcześniejsze testamenty. Prawdopodobnie po ślubie Desmond spisałby nowy testament i zostawił wszystko żonie, a nie przybranej matce.

- I mówi pan, że pani Burton-Cox tego by nie chciała?

- Pragnęła odkryć coś, co zniechęciłoby syna do poślubienia tej dziewczyny. Myślę, że miała nadzieję, w gruncie rzeczy wierzyła, że matka Celi zabiła swego męża, a potem siebie. Coś takiego mogło zniechęcić chłopca. Nawet jeśli jej ojciec zabił matkę, wypadek wciąż pozostaje odstręczający. Łatwo może zrodzić uprzedzenie i zmienić zdanie chłopca w jego wieku.

- To znaczy pomyślałby sobie, że skoro ojciec lub matka dziewczyny byli mordercami, to i ona może mieć mordercze skłonności?

- Może nie tak brutalnie, ale sądzę, że tak brzmiało główne założenie.

- Lecz przecież on nie jest bogaty? Adoptowane dziecko?

- Nie znał nazwiska prawdziwej matki, nie wie, kim była tymczasem jego matka, aktorka i piosenkarka, która zarobiła dużo pieniędzy, zanim rozchorowała się i zmarła, w pewnym momencie chciała odzyskać dziecko. Kiedy pani Burton-Cox nie zgodziła się...

sądzę, że sporo myślała o chłopcu i postanowiła zostawić mu wszystkie pieniądze. Odziedziczy je w wieku dwudziestu pięciu lat, a do tej pory pieniądze spoczywają w zarządzie powierniczym. Pani Burton-Cox oczywiście nie chce, żeby się ożenił, chyba że będzie to ktoś, kogo ona zaakceptuje albo na kogo będzie mogła wywierać wpływ.

- Tak, to wydaje mi się sensowne. Nie jest miłą kobietą, prawda?

- Nie - zgodził się Poirot. - Nie uznałem jej za miłą kobietę.

- I dlatego nie chciała, żeby ją pan odwiedził, zaczął mieszać i odkrywać, o co jej chodzi.

- Możliwe - przyznał Poirot.

- Dowiedział się pan czegoś jeszcze?

- Tak. Dowiedziałem się... tak naprawdę zaledwie parę godzin temu, kiedy zadzwonił do mnie nadinspektor Garroway w jakiejś drobnej kwestii. Zadałem mu pytanie, a on powiedział, że gospodyni, osoba starsza, miała bardzo słaby wzrok.

- Czy to ma jakiś związek ze sprawą?

- Może mieć - wyjaśnił Poirot. Spojrzał na zegarek. - Myślę - stwierdził - że czas już na mnie.

- Jedzie pan na lotnisko złapać samolot?

- Nie. Mój samolot nie odleci przed jutrzejszym rankiem. Lecz dzisiaj muszę odwiedzić pewne miejsce... miejsce, które chcę obejrzeć na własne oczy. Na zewnątrz czeka na mnie samochód, żeby mnie tam zabrać...

- Co takiego chce pan zobaczyć? - spytała pani Oliver z zaciekawieniem.

- Nie tyle zobaczyć, co poczuć. Tak, to właściwe słowo. Poczuc i rozpoznać, na czym dokładnie polega moje wrażenie...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Interludium

Herkules Poirot przekroczył bramę cmentarza. Poszedł wzdłuż jednej ze ścieżek i zatrzymał się przy porośniętym bluszczem murze, patrząc na grób. Stał tam parę minut spoglądając najpierw na grób, potem ciągnący się pejzaż Downs i morze poniżej. Znów zwrócił oczy na grób. Niedawno postawiono na nim kwiaty. Mały bukiet polnego kwiecia. Taki bukiet mogło zostawić dziecko, ale Poirot nie sądził, że zostawiło go dziecko. Przeczytał napis na nagrobku.

PAMIĘCI

DOROTHEI JARROW

Zmarłej 15 sierpnia 1960

oraz

MARGARET RAYENSCROFT

Zmarłej 3 października 1960

SIOSTRY POWYŻSZEJ

oraz

ALISTAIRA RAVENSCROFTA

zmarłego 3 października 1960

JEJ MĘŻA

Śmierć ich nie rozłączyła

I odpuść nam nasze winy

Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom

Panie, bądź litościw

Chryste, bądź litościw

Panie, bądź litościw

Poirot stał przez chwilę. Pokiwał głową. Potem wyszedł z cmentarza i skierował się na

ścieżkę prowadzącą na urwisko i biegnącą jego skrajem. Stał tam zapatrzony w morze. Powiedział do siebie:

- Teraz jestem pewien, że wiem, co się stało i dlaczego. Rozumiem smutek tej historii i jej tragizm. Trzeba było cofnąć się tak daleko. "A koniec mój jest moim początkiem". A może lepiej wyrazić to inaczej? "Mój początek był moim tragicznym końcem"? Ta dziewczyna ze Szwajcarii musi wiedzieć. Ale czy mi powie? Chłopak wierzy, że tak. Dla ich dobra. Dla dziewczyny i chłopca. Nie zaakceptują życia, dopóki się nie dowiedzą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Maddy i Zelig

- *Mademoiselle* Rouselle? - spytał Poirot. Ukłonił się.

Mademoiselle Rouselle wyciągnęła rękę. Ma jakieś pięćdziesiąt lat, pomyślał Poirot. Niezwykle władczą osobą. Zawsze przeprowadzi swoją wolę. Inteligentna, wykształcona, zadowolona z dotychczasowego życia, umie cieszyć się radościami i smucić zgrzyzotami, jakie przynosi los.

- Znam pana nazwisko - powiedziała. - Ma pan przyjaciół tu i we Francji. Nie za bardzo wiem, co mogę dla pana zrobić. Oczywiście wyjaśnił pan to w przesłaliście. Chodzi o jakąś sprawę z przeszłości, tak? O coś, co stało się dawno temu. A raczej nie dokładnie o to co się stało, ale o wskazówkę dotyczącą wydarzenia sprzed wielu, wielu lat. Ale proszę usiąść. Tak, to krzesło będzie wygodne, mam nadzieję. Jest trochę *petit-fours*, a karafka stoi na stole.

Przyjęła Poirota gościnnie, ale bez nadskakiwania. Nie była przejęta wizytą; po prostu zachowywała się miło i uprzejmie.

- Kiedyś była pani guwernantką w pewnej rodzinie - zaczął Poirot. - Preston-Greyowie. Może nie pamięta już pani.

- Ależ tak, nie zapomina się przecież zdarzeń z młodości. Była tam dziewczynka i chłopiec młodszy o cztery lub pięć lat. Bardzo miłe dzieci. Ich ojciec służył wojsku, był generałem.

- Była jeszcze siostra.

- A tak, przypominam sobie. Nie mieszkała u nich. kiedy przyjechałam po raz pierwszy. Myślę, że była delikatnego zdrowia. Chorowała. Leczone ją gdzieś.

- Pamięta pani ich imiona?

- Chyba Margaret. Imienia drugiej nie jestem pewna.

- Dorothea.

- Rzeczywiście. Nieczęsto spotykam się z takim imieniem. Zwracały się do siebie zdrobniale. Molly i Dolly. Wie pan, to były bliźniaczki jednojajowe, niezwykle podobne. Obie bardzo ładne i młode.

- Lubily się?

- Tak, były bardzo przywiązane do siebie. Ale chyba zaczynamy się trochę gubić, prawda? Dzieci, które uczyłam. nie nazywały się Preston-Grey. Dorothea Preston-Grey

wyszła za majora... och, nie pamiętam jego nazwiska. Arrow? Nie, Jarrow. Nazwisko Margaret po mężu brzmiało...

- Ravenscroft - podsunął Poirot.

- Ach, rzeczywiście. Tak. Ciekawe, że tak trudno zapamiętać nazwiska. Preston-Greyowie to poprzednie pokolenie. Margaret Preston-Grey sama uczyła się w Szwajcarii. Napisała do prowadzącej *pensionnat madame* Benoit pytając, czy zna osobę, która mogłaby przyjechać do Anglii jako niania i guwernantka do jej dzieci, a madame poleciła mnie. W ten właśnie sposób pojechałam do Ravenscroftów. Wspomniałam o drugiej siostrze, ponieważ akurat zjechała do nich w czasie, kiedy opiekowałam się dziećmi. Mieli dziewczynkę, sześć- czy siedmioletnią, jak sądzę. Nosiła szekspirowskie imię. Przypominam sobie: Rosalinda albo Celia.

- Celia - powiedział Poirot.

- A chłopiec miał zaledwie trzy lub cztery lata. Na imię mu było Edward. Psotny, ale kochany dzieciak. Byłam z nimi szczęśliwa.

- I jak słyszałam, one były szczęśliwe z panią. Lubiły bawić się z panią, a pani miała ochotę bawić się z nimi.

- *Moi, j'aime les enfants*²⁴ - wyznała *mademoiselle* Rouselle.

- Jak wiem, nazywali panią "Maddy".

Roześmiała się.

- Och, jak miło usłyszeć to słowo. Przywraca stare wspomnienia.

- Znała pani chłopca imieniem Desmond? Desmond Burton-Cox?

- Tak. Mieszkał chyba zaraz w następnym domu albo tuż obok. Mieliśmy kilku sąsiadów i często wszystkie dzieci przychodziły bawić się razem. Na imię miał Desmond. Tak, pamiętam.

- Długo tam pani pracowała, *mademoiselle*?

- Nie. Najwyżej trzy lub cztery lata. Potem wezwano mnie do Szwajcarii. Moja matka była bardzo chora. Miałam wrócić i zaopiekować się nią, choć wiedziałam, że prawdopodobnie nie na długo. Miałam rację. półtora roku, najwyżej dwa lata po moim powrocie. Potem otworzyłam małą pensję. Przyjęłam starsze dziewczęta, które pragnęły uczyć się języków i tym podobne. Nie odwiedziłam już Anglii, choć przez rok czy dwa lata utrzymywałam kontakty. Dzieci Ravens- przysłały mi kartkę na Boże Narodzenie.

- Czy generała i żonę odebrała pani jako szczęśliwą

²⁴ fr. Kocham dzieci

- Bardzo szczęśliwą. Uwielbiali swoje dzieci.

- Pasowali do siebie?

- Tak, wydawało mi się, że mają wszelkie niezbędne cechy, by wiodło się im w małżeństwie.

- Mówiła pani, że lady Ravenscroft była bardzo oddana swojej siostrze. A czy jej siostra była równie przywiązana do lady Ravenscroft?

- Właściwie to nie miałam zbyt wielu okazji, by to ocenić. Uczciwie mówiąc uważałam, że siostra, Dolly, jak ją nazywali, była umyślowo chora. Raz czy dwa zachowała się dziwacznie. Myślę, że była zazdrosna. Jak zrozumiałam, myślała kiedyś, że jest zaręczona, czy że ma zaręczyć się z generałem Ravenscroftem. Z tego, co wiem, to on najpierw się w niej zakochał, potem jednak skierował uczucia ku drugiej siostrze. Powiedziałabym, że szczęśliwie, ponieważ Molly Ravenscroft była zrównoważoną i naprawdę słodką kobietą. A jeśli chodzi o Dolly... Czasem myślałam, że uwielbia swoją siostrę, a czasem, że jej nienawidzi. Była bardzo zazdrosna. Uważała, że zbyt wiele uczuć okazuje się dzieciom. Jest ktoś, kto mógłby opowiedzieć panu o tym dokładniej. *Mademoiselle* Meauhourat. Mieszka w Lozannie. Pojechała do Ravenscroftów w półtora, może dwa lata po moim wyjeździe. Została u nich przez kilka lat. Potem zdaje się wróciła jako dama do towarzystwa lady Ravenscroft. Celia była wtedy za granicą w szkole.

- Odwiedzę ją. Mam jej adres - powiedział Poirot.

- Wie o wielu sprawach, których ja nie znam. To urocza i bardzo odpowiedzialna osoba. Co za straszna tragedia wydarzyła się później. Jeśli ktokolwiek wie, co do niej doprowadziło, to właśnie ona. Jest bardzo dyskretna. Nigdy nic mi nie powiedziała. Nie wiem, czy cokolwiek powie panu. Może tak, a może nie.

Poirot stał przez chwilę spoglądając na *mademoiselle* Meauhourat. *Mademoiselle* Rouselle zaimponowała mu, imponowała mu także kobieta stojąca teraz przed nim. Była drobniejsza, młodsza, co najmniej o dziesięć lat jak ocenił, i jej siła polegała na czym innym. Kobieta pełna werwy, wciąż atrakcyjna; obserwowała gościa i wydawała własny osąd, gościnnie dla nieznanomych, patrząca na nich życzliwie, lecz bez zbędnej tkliwości. Oto ktoś, pomyślał Herkules Poirot, godny uwagi.

- Nazywam się Herkules Poirot, *mademoiselle*.

- Wiem. Spodziewałam się pana dzisiaj lub jutro.

- Aha. Otrzymała pani mój list?

- Nie. Bez wątpienia ciągle leży na poczcie. Usługi naszej poczty są troszkę niepewne.

Otrzymałam list od kogoś innego.

- Od Celi Ravenscroft?

- Nie. List był od kogoś pozostającego w bliskim kontakcie z Celią. Chłopiec czy też młody człowiek, za kogo sam woli się uznawać, nazwiskiem Desmond Burton-Cox. Przygotował mnie na pański przyjazd.

- Ach tak. Rozumiem. Jest inteligentny i nie traci czasu. Zależało mu, żebym panią odwiedził.

- Tak zrozumiałam. Najwyraźniej istnieje pewien problem. Problem, który on chce rozwiązać, podobnie jak Celia. I myślą, że pan może im pomóc?

- Tak, i myślą też, że pani może pomóc mnie.

- Są zakochani i pragną się pobrać.

- Tak, ale na ich drodze stanęły pewne przeszkody.

- Postawione przez matkę Desmonda, jak przypuszczam. Tyle dał mi do zrozumienia.

- W życiu Celi są, czy raczej zaszyły pewne okoliczności, które uprzędziły jego matkę do małżeństwa syna właśnie z Celią.

- Ach. Chodzi o tragedię. To była prawdziwa tragedia.

- Tak, chodzi o tragedię. Matka Desmonda poprosiła chrzestną matkę Celi, by wypytała dziewczynę o dokładne okoliczności śmierci jej rodziców.

- To nie ma żadnego sensu - powiedziała *mademoiselle* Meauhourat. Wyciągnęła rękę.

- Niech pan spocznie. Proszę usiąść. Rozmowa zajmie nam trochę czasu. Oczywiście, Celia nie mogła powiedzieć nic swojej chrzestnej matce. To pani Ariadna Oliver, pisarka, prawda? Tak, przypominam sobie. Celia nie mogła podać jej żadnych szczegółów, ponieważ sama ich nie znała.

- Nie mieszkała z rodzicami, kiedy doszło do tragedii, i nikt jej nic nie powiedział. Czy tak?

- Tak, dokładnie. Uznano to za nierozsądne.

- A czy pani aprobuje tę decyzję?

- Trudno zdobyć pewność. Bardzo trudno. Nie byłam pewna przez wszystkie te lata, a minęło ich wiele. O ile wiem, sprawa nigdy nie trapiła Celi. To znaczy jej przyczyny. Przyjęła wszystko tak, jak przyjęłaby katastrofę samolotu czy wypadek samochodowy. Po prostu coś, co doprowadziło do śmierci jej rodziców. Spędziła wiele lat w *pensionnat* za granicą.

- A ten *pensionnat* prowadziła pani, jak sądzę.

- To prawda. Ostatnio przesłałam na emeryturę. Pensję przejęła moja koleżanka. Celię

wysłano do mnie prosząc, bym znalazła jakieś dobre miejsce, gdzie mogłaby kontynuować naukę. Wiele dziewcząt przyjeżdża w takim celu do Szwajcarii. Mogłam polecić kilka miejsc, ale przyjąłem ją do własnej szkoły.

- A Celia nie pytała pani o nic, nie żądała informacji?

- Nie. Widzi pan, uczyłam ją, zanim doszło do tragedii.

- Ach tak. Nie całkiem rozumiem.

- Celia przyjechała tu na kilka tygodni przed całym wypadkiem. Mnie tu wtedy nie było. Nadal pracowałam u generała i lady Ravenscroftów. Opiekowałam się lady Ravenscroft. Byłam raczej jej damą do towarzystwa, a nie guwernantką Celi, która uczyła się w szkole z internatem. Nagle postanowiono, że dziewczynka powinna wyjechać do Szwajcarii i tam dokończyć edukacji.

- Lady Ravenscroft chorowała, prawda?

- Tak. Nic poważnego. Nie tak, jak sama się niegdyś obawiała. Ale miała zszarpane nerwy, przeżyła szok i martwiła się.

- Została pani z nią?

- Po przyjeździe Celi odebrała moja siostra mieszkająca w Lozannie i umieściła w szkole liczącej zaledwie piętnaście czy szesnaście dziewcząt. Mogła zacząć tam naukę i poczekać na mój powrót. Przyjechałam trzy lub cztery tygodnie później.

- Była pani w Overcliffe, kiedy doszło do tragedii.

- Tak. Generał poszedł wraz z żoną na spacer, jak mieli w zwyczaju. Wyszli i nie wrócili. Znalezione ich martwych, zastrzelonych. Broń leżała obok nich. Należała do generała Ravenscrofta. Trzymał ją zawsze w szufladzie w swoim gabinecie. Na rewolwerze znaleziono odciski palców obojga. Nic nie wskazywało wyraźnie na to, które z nich trzymało broń ostatnie. Lekko rozmazane odciski palców należały i do generała, i do jego żony. Oczywistym rozwiązaniem musiało być wspólne samobójstwo.

- Nie miała pani powodów, by wątpić?

- Jak sądzę, policja nie miała żadnych.

- Aha - powiedział Poirot.

- Słucham pana? - spytała *mademoiselle* Meauhourat.

- Nic, nic. Coś mi się przypomniało.

Poirot spojrzał na nią. Brązowe włosy ledwie tknie siwizną, wargi zaciśnięte mocno, szare oczy, twarz nie ujawniająca emocji. Osoba doskonale opanowana.

- Nie powie mi pani nic więcej?

- Niestety. To było dawno temu.

- Ale dobrze pamięta pani tamte czasy.

- Tak. Nie można zupełnie zapomnieć o tak smutnym zdarzeniu.

- I zgodziła się pani, by nie mówić Celi, co doprowadziło do tragedii?

- Czy właśnie nie powiedziałam panu, że nie mam już żadnych informacji?

- Była tam pani, mieszkała w Overcliffe jakiś czas przed tragedią. Cztery, pięć, może sześć tygodni.

- W rzeczywistości dłużej. Chociaż byłam wcześniej guwernantką Celi, potem powróciłam, już po wyjeździe Celi, aby pomóc lady Ravenscroft.

- Siostra lady Ravenscroft mieszkała z nią wtedy, prawda?

- Tak. Przez jakiś czas leczono ją w szpitalu. Polepszyło się jej i autorytety, mówię o medycznych autorytetach, uznały, że lepiej dla niej będzie prowadzić normalne życie z krewnymi, w domowej atmosferze. Ponieważ Celia wyjechała do szkoły, wydawało się, że nadszedł odpowiedni moment, by lady Ravenscroft zaprosiła siostrę do siebie.

- Czy obie siostry lubiły się?

- Trudno to określić - odparła *mademoiselle* Meauhourat. Zmarszczyła brwi. Zupełnie jakby słowa Poirota obudziły jej zainteresowanie. - Zastanawiam się. Od tamtej pory zastanawiam się, podobnie jak i wtedy. Były jednojajowymi bliźniętami. Łączyła je więź, więź współzależności, miłości, i pod wieloma względami były bardzo podobne. A pod innymi zupełnie różne.

- To znaczy? Bardzo chciałbym dowiedzieć się, co ma pani na myśli.

- Och, to nie ma nic wspólnego z tragedią. Absolutnie nic. Istniała jednak zdecydowana, powinnam powiedzieć, zdecydowana fizyczna czy psychiczna ułomność, jakkolwiek zechce pan to określić. Niektórzy wyznają dziś teorię, że wszystkie zaburzenia umysłowe mają fizyczną przyczynę. Jak sądzę, medycyna uznaje, że jednojajowe bliźnięta rodzą się na ogół ściśle związane ze sobą, podobne pod względem charakterów, co znaczy, że nawet jeśli zostaną rozdzielone i dorastają w innym otoczeniu, to w tym samym momencie życia przytrafiają się im te same rzeczy. Ich życie biegnie podobnym torem. Niektóre przypadki przytaczane w medycynie wydają się szczególnie wyjątkowe. Dwie siostry, jedna mieszkająca w Europie... powiedzmy jedna we Francji, druga w Anglii. Mają psa tej samej rasy, którego kupiły mniej więcej w tym samym czasie. Wychodzą za wyjątkowo podobnych mężczyzn. Rodzą dzieci w odstępie może miesiąca. Zupełnie jakby musiały postępować wedle jakiegoś wzorca, niezależnie od tego, gdzie mieszkają, nie wiedząc, co robi druga. Jest także możliwość dokładnie odwrotna. Wzajemne odpychanie, niemal nienawiść, która sprawia, że siostra odcina się od drugiej albo brat odrzuca swojego bliźniaka, jakby szukali

dróg, by uciec przed identycznością, podobieństwem, wiedzą, wszystkim, co jest im wspólne. To może prowadzić do dziwacznych rezultatów.

- Wiem - powiedział Poirot. - Słyszałem o tym. Widziałem to raz czy dwa. Miłość łatwo przeradza się w nienawiść. Łatwiej jest nienawidzić kogoś, kogo się kochało, niż pozostać obojętnym.

- Ach, więc wie pan o tym - powtórzyła *mademoiselle* Meauhourat.

- Tak, widziałem to więcej niż raz. Czy siostra lady Ravenscroft była bardzo do niej podobna?

- Myślę, że była bardzo podobna pod względem wyglądu, choć, jeśli mogę tak powiedzieć, miała zupełnie odmienny wyraz twarzy. Żyła w napięciu nie znanym lady Ravenscroft. Miała awersję do dzieci. Nie wiem, dlaczego. Może poroniła w młodości. Może pragnęła mieć dziecko i nigdy nie miała. W każdym razie była uprzedzona do dzieci. Nie lubiła ich.

- Doprowadziło to do jednego czy dwóch poważnych wypadków, prawda? - spytał Poirot.

- Ktoś panu o tym opowiadał?

- Słyszałem trochę od ludzi znających obie siostry z czasów ich pobytu na Malajach. Lady Ravenscroft była tam wraz z mężem, a jej siostra Dolly przyjechała, by z nią zamieszkać. Pewnemu dziecku przydarzył się wypadek i przypuszczano, że Dolly po części zań odpowiadała. Niczego ostatecznie nie udowodniono, ale mąż Molly zabrał szwagierkę do Anglii, gdzie ponownie musiała leczyć się w szpitalu psychiatrycznym.

- Tak, przedstawił pan dokładnie całe zdarzenie. Nie znam go oczywiście z własnego doświadczenia.

- Sądzę jednak, że są takie sprawy, które zna pani z własnego doświadczenia.

- Jeśli nawet, nie widzę powodu, by znowu je przypominać. Czy nie lepiej zostawić przeszłość tak, jak ją opisano?

- Tamtego dnia w Overcliffe mogły wydarzyć się inne rzeczy. Może doszło do podwójnego samobójstwa, może do morderstwa, może do czegoś innego. Przekazano pani, co się stało, ale z właśnie wypowiedzianego przez panią zdania wnioskuję, że sama pani wie, co się wówczas wydarzyło i prawdopodobnie wie pani również, co stało się albo, powiedzmy, zaczęło się jakiś czas przedtem. Kiedy Celia wyjechała do Szwajcarii, a pani pracowała w Overcliffe. Zadam pani jedno pytanie. Chciałbym poznać odpowiedź. Nie pytam o informacje z pierwszej ręki, ale o pani opinię. Co czuł generał Ravenscroft do obu sióstr?

- Wiem, o co panu chodzi.

Po raz pierwszy w trakcie rozmowy jej zachowanie zmieniło się. Przestała się pilnować, pochyliła do przodu przemówiła, jakby przyniosło jej to ulgę.

- Obie były piękne w młodości - zaczęła. Słyszałam to od wielu osób. Generał Ravenscroft zakochał się w Dolly, niezrównoważonej psychicznie siostrze. Choć cierpiała na zaburzenia osobowości, była wyjątkowo atrakcyjna, seksualnie atrakcyjna. Kochał ją gorąco, a potem albo odkrył w niej coś osobliwego, może coś go zaalarmowało, albo obudziło odrazę. Może dostrzegł początki obłędu i potencjalne zagrożenie. Skierował swe uczucia na siostrę. Zakochał się w niej i to ją poślubił.

- To znaczy, że kochał obie. Nie równocześnie, ale w obu wypadkach była to szczerą miłość z jego strony.

- O tak. Był oddany Molly, polegał na niej, ona na nim zresztą też. To był przemiły człowiek.

- Proszę o wybaczenie - powiedział Poirot - ale sądzę, że pani też była w nim zakochana.

- I pan... pan ośmiela się to mówić?

- Owszem. Nie sugeruję, że mieliście romans, absolutnie nic takiego. Mówię jedynie, że pani go kochała.

- Tak - przyznała Zelig Meauhourat. - Kochałam go. W pewnym sensie nadal go kocham. Nie mam się czego wstydzić. Ufał mi, polegał na mnie, ale nigdy mnie nie kochał. Można kochać kogoś, służyć mu i być szczęśliwym. Nie chciałam nic ponad to, co miałam. Zaufanie, sympatię, wiarę we mnie...

- I zrobiła pani co mogła - dokończył za nią Poirot - by mu pomóc w krytycznej sytuacji. O pewnych sprawach nie zechce mi pani opowiedzieć. Ale ja opowiem pani o pewnych sprawach. Opieram się na różnych informacjach, jakie do mnie docierały. Zanim przyjechałam do pani, słyszałam od ludzi znających nie tylko lady Ravenscroft, nie tylko Molly, ale i Dolly. Wiem coś o Dolly. Wiem, na czym polegała tragedia jej życia, jej smutek i nieszczęście, a także z czego zrodziła się nienawiść, dotyk zła, umiłowanie destrukcji dziedziczone w rodzinie. Jeśli kochała człowieka, czuła się z nim związana, to kiedy ten poślubił jej siostrę, musiała poczuć nienawiść, być może wobec siostry, a nie wobec niego. Być może nigdy nie wybaczyła jej do końca. Ale co z Molly Ravenscroft? Czy czuła niechęć do siostry? Czy jej nienawidziła?

- Och nie - odparła Zelig Meauhourat. - Kochała ją, żywiła do niej głęboką, opiekuńczą miłość. Wiem na pewno. To ona prosiła zawsze, by siostra przyjechała i zamieszkała razem z nią. Chciała uchronić ją przed nieszczęściem, a także przed

niebezpieczeństwem, gdyż Dolly często wpadała w raczej niebezpieczną wściekłość. Niekiedy była przerażająca. Sam wie pan dosyć. Powiedział pan, że cierpiała na osobliwą niechęć do dzieci.

- To znaczy, że nie lubiła Celi?

- Nie, nie, nie Celi. Drugiego dziecka, młodszego. Edwarda. Dwukrotnie groził mu niebezpieczny wypadek. Raz zmajstrowano coś przy samochodzie, a raz ona wybuchnęła gwałtowną złością. Wiem, że Molly odetchnęła, kiedy Edward wrócił do szkoły. Proszę pamiętać, że był bardzo mały, o wiele młodszy od Celi. Miał dopiero osiem czy dziewięć lat i uczył się w szkole przygotowawczej. Był bezbronny. Molly bała się o niego.

- Tak - powiedział Poirot. - Rozumiem ją. Teraz, jeśli można, porozmawiajmy o perukach. Peruki. Dlaczego się je nosi? I to cztery? To dużo jak na własność jednej kobiety. Wiem, jakie były, znam kolor i rodzaj fryzur. Wiem, że kiedy potrzebowano następnych, do londyńskiego sklepu pojechała francuska dama, wyjaśniła jak mają wyglądać i złożyła zamówienie. Był jeszcze pies. Pies, którego Rayenscroftowie zabrali na spacer w dzień tragedii. Nieco wcześniej ten pies pogryzł swoją panią, Molly Ravenscroft.

- Takie są psy - stwierdziła Zelig Meauhourat. - Nigdy nie można im ufać do końca. Dokładnie o tym wiem.

- Powiem pani, co według mnie stało się tamtego dnia i co wydarzyło się wcześniej. Jakiś czas przed tragedią.

- A jeśli nie będę chciała słuchać?

- Będzie pani chciała. Może pani powiedzieć, że moje wnioski są błędne. Tak, może pani tak powiedzieć, ale nie sądzę, by to pani zrobiła. Twierdzę, i wierzę w to całym sercem, że potrzebna jest teraz prawda. Nie przypuszczenia, teorie. Jest pewna dziewczyna i pewien chłopiec, którym zależy na sobie i którzy boją się przyszłości z powodu tego, co mogło się dawniej wydarzyć i co dziecko może odziedziczyć po matce lub ojcu. Mówię o Celi. Dziewczynie upartej, śmiałej, może trudnej do opanowania, ale myślącej, mądrej, zdolnej do szczęścia, zdolnej do męstwa. Potrzebującej jednak, a niektórym ludziom jest ona potrzebna, prawdy. Bo prawdę przyjmą bez strachu. Przyjmą ją z odwagą, jaką trzeba mieć w życiu, by nadać mu jakikolwiek sens. Chce tego również chłopiec, którego Celia kocha. Czy wysłucha mnie pani?

- Tak - powiedziała Zelig Meauhourat. - Jestem gotowa. Myślę, że pan wiele rozumie i wie więcej, niż sądziłam. Proszę mówić. Wysłucham pana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sąd

Herkules Poirot ponownie stał na szczycie urwiska, patrząc na skały poniżej i rozbijające się o nie fale morza. Tu gdzie stał, znaleziono ciała męża i żony. Tu, trzy tygodnie przed ich śmiercią, pewna kobieta przyszła we śnie, spadła w dół i zginęła.

“Dlaczego to się stało?” Tak brzmiało pytanie nadinspektora Garrowaya.

Dlaczego? Co doprowadziło do tragedii?

Najpierw wypadek, a w trzy tygodnie później samobójstwo dwojga ludzi. Stare grzechy rzuciły długi cień. Jakiś początek doprowadził do tragicznego zakończenia w wiele lat później.

Dziś spotkają się tu pewne osoby. Chłopiec i dziewczyna szukający prawdy. I dwoje ludzi znających prawdę.

Herkules Poirot odwrócił się od morza i skierował wąską ścieżką prowadzącą do domu zwanego niegdyś Overcliffe.

Nie leżał daleko. Wkrótce detektyw ujrzał samochody zaparkowane przy bocznej ścianie. Na tle nieba rysowały się zarysy budynku. Pustego, wymagającego odmalowania. Na murze zawieszono tablicę informującą, że ta “godna uwagi posiadłość” jest na sprzedaż. Napis “Overcliffe” widoczny na bramie przekreślono i zamiast tego wypisano “Down House”. Poirot pospieszył na spotkanie zmierzających w jego stronę dwóch osób. Jedną z nich był Desmond Burton-Cox, drugą - Celia Ravenscroft.

- Urzędnik biura nieruchomości przesłał mi informację, że mamy odbyć tu wizję lokalną, czy jak to określił - powiedział Desmond. - Dostałem klucz, gdybyśmy chcieli wejść do środka. Dom dwa razy zmienił właścicieli w ciągu ostatnich pięciu lat. Nie będzie nic godnego uwagi w środku, prawda?

- Raczej nie - poparła go Celia. - Przecież należał już do kogo innego. Ludzie nazwiskiem Archer kupili go najpierw, a potem jakiś Fallowfield. Mieszkańcy uznali, że czują się tu zbyt opuszczeni. Teraz i ostatni właściciele go sprzedają. Może dom jest nawiedzony.

- Naprawdę wierzysz w nawiedzone domy? - spytał Desmond.

- Oczywiście nie myślę tak naprawdę - odparła Celia - ale to byłoby możliwe, prawda? Biorąc pod uwagę to, co się tutaj stało, samo miejsce...

- Mam inne zdanie - stwierdził Poirot. - Doświadczono tu smutku i śmierci, ale i

miłości.

Drogą podjechała taksówka.

- To powinna być pani Oliver - powiedziała Celia. - Mówiła, że przyjedzie pociągiem i weźmie taksówkę ze stacji.

Z samochodu wysiadły dwie kobiety. Pani Oliver towarzyszyła wysoka, elegancka kobieta. Ponieważ Poirot wiedział, że przyjedzie, jej widok nie zaskoczył go. Obserwował Celię, chcąc sprawdzić jej reakcję.

- Och! - Celia podbiegła do przybyłych.

Stanęła przed elegancką kobietą i jej twarz rozjaśniła się.

- Zelig! - powiedziała. - To Zelig, prawda? To naprawdę Zelig! Tak się cieszę. Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

- *Monsieur* Herkules Poirot prosił mnie o to.

- Rozumiem - powiedziała Celia. Tak, chyba rozumiem. Ale ja... ja nie... - urwała. Odwróciła głowę i spojrzała na przystojnego chłopca stojącego przy jej boku. - Desmond, czy to... to ty?

- Tak. Napisałem do *mademoiselle* Meauhourat, do Zelig, jeśli mogę dalej ją tak nazywać.

- Zawsze możesz mnie tak nazywać. Oboje możecie - odparła Zelig. - Nie byłam pewna, czy chcę przyjechać, nie wiedziałam, czy to mądry krok. Dalej tego nie wiem, ale taką mam nadzieję.

- Chcę wiedzieć - powiedziała Celia. - Oboje chcemy wiedzieć. Desmond sądził, że będzie nam pani mogła coś wyjaśnić.

- Odwiedził mnie *monsieur* Poirot - odrzekła Zelig. - Namówił mnie do przyjazdu.

Celia wzięła panią Oliver pod rękę.

- Chciałam, by i pani przyjechała, ponieważ to pani wszystko zaczęła. Nakłoniła pani *monsieur* Poirota i sama odkryła kilka spraw, prawda?

- Ludzie opowiadali mi - przyznała pani Oliver - ludzie, którzy, jak sądziłam, mogli coś zapamiętać. Niektórzy zapamiętali przeszłość zgodnie z prawdą, inni błędnie. To mnie myliło. *Monsieur* Poirot mówi, że tak naprawdę nie ma to znaczenia.

- Nie - przyznał Poirot. - Równie ważna jest świadomość, co jest plotką, a co rzeczywistą wiedzą. Z plotek można poznać fakty, nawet jeśli nie są całkiem zgodne z prawdą albo nie wyjaśniono ich zgodnie z naszym mniemaniem. Z informacjami, jakie uzyskała pani ode mnie, *madame*, i od ludzi, których nazwała pani słoniami... - Uśmiechnął się lekko.

- Słoniami?! - zdumiała się *mademoiselle* Zelig.

- Tak właśnie ich nazwała - powtórzył Poirot.

- Słonie mają dobrą pamięć - wyjaśniła pani Oliver.- Od tego pomysłu zaczęłam. A ludzie mogą pamiętać rzeczy, które wydarzyły się dawno temu, równie dobrze jak słonie. Nie wszyscy ludzie, oczywiście, ale zazwyczaj coś pamiętają. Wielu takich znalazłam. Większość z tego, co usłyszałam, przekazałam panu Poirotowi, a on... gdyby był lekarzem, powiedziałabym, że postawił diagnozę.

- Przygotowałem pewną listę - powiedział Poirot. - Rzeczy, które wydały mi się drogowskazami na drodze do prawdy o zdarzeniu sprzed lat. Przeczytam pewne punkty, by sprawdzić, czy ci z was, którzy uczestniczyli w tamtych wydarzeniach, uznają, że mają jakieś znaczenie. Albo nie dostrzeżecie w nich niczego istotnego, albo wyraźnie zobaczycie ich wagę.

- Chcemy dowiedzieć się - odezwała się Celia - czy było to samobójstwo, czy morderstwo. Czy ktoś, ktoś obcy, zabił moich rodziców, czy zastrzelił ich z jakichś nie znanych nam powodów. Zawsze będę myśleć, stało się albo coś w tym rodzaju, albo coś zupełnie innego. To trudne, ale...

- Zostaniemy raczej tutaj - postanowił Poirot. - Na razie nie wejdziemy do domu. Mieszkali w nim obcy nam ludzie i ma inną atmosferę. Jeśli będziemy mieli ochotę, wejdziemy do środka po zakończeniu posiedzenia sądu.

- A więc to posiedzenie sądu?

- Tak. Dotyczące tego, co się wydarzyło.

Skierował się w stronę żelaznych ławek stojących pod gałęziami olbrzymiego krzewu magnolii obok domu. Z teczki wyjął zapisaną kartkę. Zwrócił się do Celii.

- Dla pani rozwiązanie musi być właśnie takie? Jednoznaczny wybór: samobójstwo albo morderstwo?

- Któraś z tych możliwości musi być prawdą - przyznała Celia.

- Powinienem rzec, że obie są prawdziwe, a nawet więcej: według mnie, mamy tu nie tylko morderstwo i samobójstwo, ale również coś, co nazwałbym egzekucją. I mamy jeszcze dramat. Dramat dwojga kochających się ludzi, którzy dla tej miłości zginęli. Dramat miłości nie zawsze należy do Romea i Julii, nie tylko młodzi znoszą cierpienia miłosne i gotowi są z miłości umrzeć. Nie. To byłoby za proste.

- Nie rozumiem - stwierdziła Celia.

- Jeszcze nie.

- Czy zrozumiem?

- Tak przypuszczam - odparł Poirot. - Opowiem pani, co według mnie się stało.

Wyjaśnię także, jak do tego doszedłem. Po pierwsze uderzyły mnie rzeczy, których nie wyjaśniały zebrane i zbadane przez policję dowody. Niektóre z nich były zwyczajne, można by uznać, że wcale nie stanowiły materiału dowodowego. Wśród rzeczy należących do zmarłej Margaret Ravenscroft znalazły się cztery peruki. Cztery - powtórzył z naciskiem i spojrzał na Zelię.

- Nie nosiła peruki przez cały czas - zaczęła Zelię. - Tylko niekiedy. W podróży albo kiedy fryzura rozburzyła się jej po wyjściu i chciała szybko doprowadzić się do porządku. Czasem zakładała perukę pasującą do stroju wieczorowego.

- Tak - powiedział Poirot - w tamtych czasach peruki były modne. Z pewnością zabierało się jedną lub dwie na podróż. Ale ona miała cztery. Uznałem, że to trochę za dużo. Zastanawiałem się, po co potrzebowała aż czterech. Według pytanym przeze mnie policjantów nie miała kłopotów z łysieniem. Jej włosy nie różniły się od włosów kobiet w jej wieku, a przy tym były zdrowe. To mnie zastanowiło. Później dowiedziałem się, że jedna peruka miała siwe pasemka. Powiedziała mi o tym jej fryzjerka. Kolejna peruka składała się z małych loczków. Tę właśnie założyła w dzień śmierci.

- Czy to ma jakieś szczególne znaczenie? - spytała Celia. - Mogła przecież założyć którąkolwiek.

- Owszem. Dowiedziałem się również, iż gospodyni przekazała policji, że tę właśnie perukę nosiła niemal stale przez ostatnie tygodnie przed śmiercią. Najwyraźniej była to jej ulubiona peruka.

- Nie rozumiem...

- Pamiętałem też o powiedzeniu, które przytoczył . Nadinspektor Garroway: "Ten sam człowiek, tylko w innym kapeluszu". To dało mi wiele do myślenia.

Celia powtórzyła:

- Nie rozumiem...

- Był jeszcze pies - kontynuował Poirot.

- Pies? Co takiego zrobił pies?

- Pogryzł ją. Podobno pies był przywiązany do swojej pani, ale w ostatnich tygodniach jej życia stał się wrogi i pogryzł ją dość dotkliwie.

- Czy sugeruje pan, że pies przeczuwał, iż popełni samobójstwo? - Desmond zagapił się na Poirota w zdumieniu.

- Nie, sugeruję coś o wiele prostszego.

- Nie rozu...

- Pies wiedział - podjął niewzruszony detektyw - coś, czego najwyraźniej nikt inny nie

dostrzegł. Wiedział, że nie jest to jego pani. Wyglądała jak ona. Gospodyni, ślepnąca i przygłucha widziała kobietę ubraną w stroje lady Ravenscroft i najbardziej charakterystyczną z jej peruk, tę całą w drobne loczki. Gospodyni stwierdziła jedynie, że jej pani zachowywała się trochę inaczej w ostatnich tygodniach przed śmiercią. “Ten sam człowiek tylko w innym kapeluszu”. Tak brzmiało powiedzenie Garrowaya. I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Przekonanie. Ta sama peruka, tylko na innej kobiecie. Pies wiedział, wiedział, gdyż to podpowiadał mu instynkt. To była inna kobieta. Nie ta, którą kochał, ale ta, której nie lubił i której się bał. Pomyślałem sobie tak: Przypuśćmy, że tą kobietą nie była Molly Ravenscroft. Ale w takim razie kto? Czy była to Dolly, jej siostra-bliźniaczka?

- Ależ to niemożliwe! - zaprotestowała Celia.

- Nie. To nie było niemożliwe. Musicie pamiętać, że siostry były bliźniaczkami. Teraz przejdę do spraw, na które moją uwagę zwróciła pani Oliver. Do tego, co powiedziały lub zasugerowały jej różne osoby. To jest, że lady Ravenscroft przebywała w szpitalu albo w klinice, że być może wiedziała, iż ma raka, a przynajmniej tak sądziła. Jednakże nie potwierdziły tego badania lekarskie. Mogła sądzić, że jest chora, ale tak nie było. Potem stopniowo poznawałem historię dotyczącą dzieciństwa jej i jej siostry. Kochały się gorąco, jak to bliźnięta, robiły wszystko tak samo, nosiły podobne ubrania, przytrafiały im się te same rzeczy, równocześnie chorowały, wyszły za mąż w tym samym albo niezbyt odległym czasie. A w końcu (bliźnięta często się tak zachowują), w miejsce pragnienia, by robić wszystko tak samo, pojawiła się chęć postępowania dokładnie odwrotnie. Chciały być tak niepodobne do siebie, jak to możliwe. Zrodziła się między nimi niechęć. Coś więcej nawet. Miały do tego powód. Młody Alistair Ravenscroft zakochał się w starszej siostrze, Dorothei Preston-Grey. Lecz jego uczucia skierowały się potem ku drugiej, ku Margaret, i to ją poślubił. To bez wątpienia obudziło zazdrość, która w efekcie oziębiła stosunki między siostrami. Margaret pozostała przywiązana do bliźniaczki, ale Dorothea przestała ją kochać. Wydało mi się, że rozwiązuje to wiele spraw. Dorothea to tragiczna postać. Nie ze swojej winy, lecz za przyczyną genów odziedziczonych po jakimś przodku, zawsze była nie zrównoważona. W dość młodym wieku, z nigdy nie wyjaśnionych przyczyn, nabrała niechęci do dzieci. Mamy wszelkie podstawy sądzić, że jakieś dziecko poniosło śmierć z jej winy. Brakowało jednoznacznych dowodów, choć dla lekarza były one jednoznaczne na tyle, by doradził leczenie psychiatryczne i Dolly przez kilka lat przebywała w szpitalu dla obłąkanych. Kiedy lekarze uznali ją za wyleczoną, powróciła do normalnego życia, często przyjeżdżała do siostry i wyjechała na Malaje, kiedy wysłano tam Ravenscroftów. Ponownie doszło do wypadku. Dziecko sąsiadów. I znów, mimo braku dowodów, wydawało się, że odpowiada

zań Dorothea. Generał Ravenscroft zabrał ją do Anglii i ponownie umieścił pod opieką lekarzy. Jeszcze raz stwierdzono, że wyzdrowiała i po kuracji medycznej mogła podjąć normalne życie. Margaret wierzyła, że tym razem wszystko pójdzie dobrze. Uznała, że siostra powinna zamieszkać z nią, tak by mogli uważnie obserwować, czy nie wykazuje następnych oznak zaburzeń psychicznych. Nie sądzę, by generał Ravenscroft aprobował decyzję żony. Według mnie był przekonany, że tak jak ktoś, kto rodzi się zdeformowany, z tikiem nerwowym lub okaleczony w inny sposób, ona urodziła się ze zdeformowanym mózgiem. Uważał, że ta ułomność będzie powracać i że Dorotheę powinno się stale obserwować i ratować przed nią samą, gdyby doszło do następnej tragedii.

- Czy twierdzi pan - spytał Desmond - że to ona zastrzeliła Ravenscroftów?

- Nie - odparł Poirot. - Nie tak brzmi moje rozwiązanie. Według mnie Dorothea zabiła swoją siostrę Margaret. Pewnego dnia poszły razem nad urwisko i Dorothea zepchnęła Margaret. Nie mogła dłużej znieść drzemiącej w niej obsesyjnej nienawiści i urazy do siostry, która mimo łączących je podobieństw była zdrowa psychicznie. Nienawiść, zazdrość, pragnienie zabójstwa wyostały się na powierzchnię i opanowały Dorotheę. Myślę, że jest ktoś obcy, kto wiedział, kto był na miejscu zdarzenia. Sądzę, że pani wiedziała, *mademoiselle* Zelig.

- Tak - przyznała Zelig Meauhourat. - Wiedziałam. Byłam tam wtedy. Ravenscroftowie martwili się o nią. Widzieli, jak próbowała zranić ich małego syna Edwarda. Chłopca wysłano z powrotem do szkoły, a ja z Celią pojechałam do mojego *pensionnat*. Powróciłam, kiedy Celia zadomowiła się w Szwajcarii. Kiedy w domu nie było już nikogo oprócz mnie, generała, Dorothei i Margaret, nic nikogo nie niepokoiło. A potem któregoś dnia to się stało. Obie siostry wyszły. Dolly wróciła sama. Zachowywała się dziwnie, nerwowo. Wróciła i usiadła przy stoliku do herbaty. Wtedy właśnie generał Ravenscroft zauważył, że jej prawa ręka pokryta jest krwią. Spytał, czy upadła. A ona odpowiedziała: "Och, to nic takiego. Zupełnie nic. Podrapałam się o krzak róży." Ale w dolinie nie rosły róże. To, co powiedziała, nie miało sensu i zaczęliśmy się martwić. Gdyby wymieniła krzak janowca, moglibyśmy jej uwierzyć. Generał Ravenscroft wyszedł z domu, a ja poszłam za nim. Po drodze powtarzał: "Coś stało się Margaret. Jestem pewien, że coś stało się Molly." Znaleźliśmy ją na występie w dole urwiska. Potłukła się o skały i kamienie. Żyła jeszcze, ale mocno krwawiła. Przez chwilę nie wiedzieliśmy, co robić. Nie odważyliśmy się jej ruszać. Czuliśmy, że trzeba sprowadzić lekarza, i to natychmiast, ale zanim to zrobiliśmy, Molly przyłgnęła do męża. Walcząc o oddech powiedziała: "Tak, to Dolly. Nie wiedziała, co robi. Nie wiedziała, Alistair. Nie wolno ci jej karać za to. Nigdy nie wiedziała, co robi ani dlaczego. Nic nie może

na to poradzić. Nigdy nie była w stanie nic na to poradzić. Musisz mi obiecać, Alistair. Chyba umieram. Nie, nie mamy czasu na lekarza i lekarz nic tu nie pomoże. Leżę i wykrwawiam się na śmierć, jestem bardzo bliska śmierci. Wiem, ale obiecaj mi. Obiecaj, że ją uratujesz. Obiecaj, że nie pozwolisz, by aresztowała ją policja. Obiecaj, że nie skażą jej za to, że mnie zabiła, nie zamkną jej w więzieniu do końca życia. Ukryj mnie gdzieś, tak by nie znaleziono mojego ciała. Proszę, proszę, to ostatnia rzecz, o jaką cię błagam. Ciebie, którego kocham nad wszystko na świecie. Gdybym mogła dla ciebie żyć, zrobiłabym to, ale ja umrę. Czuję to. Przeczłogałam się kawalek, ale to wszystko, co mogłam zrobić. Obiecaj mi. I ty, Zelig, ty też mnie kochasz. Wiem. Kochałeś mnie i byłeś dla mnie dobra, zawsze się mną opiekowałeś. Kochałeś dzieci, więc musisz ocalić Dolly. Musicie uratować biedną Dolly. Proszę. W imię naszej miłości, trzeba ocalić Dolly”.

- A potem? - spytał Poirot. - Co zrobiliście potem? Wydaje mi się, że wspólnie...

- Tak. Ona umarła. W jakieś dziesięć minut po ostatnich słowach. Pomogłam mu. Pomogłam ukryć jej ciało. Znaleźliśmy miejsce trochę dalej wzdłuż urwiska. Zanieśliśmy ją tam, obok skał, głazów i kamieni, i ukryliśmy ciało, jak mogliśmy najlepiej. Nie wiodła tam żadna ścieżka, żadna droga. Trzeba było się wspinać. Tam ją położyliśmy. Alistair powtarzał tylko w kółko: Obiecałem jej. Muszę dotrzymać słowa. Nie wiem jak, nie wiem jak ktokolwiek mógłby ją uratować. Nie wiem. Ale...” No cóż, zrobiliśmy to. Dolly siedziała w domu. Była przerażona, oszalała ze strachu, ale równocześnie okazywała przerażającą satysfakcję. Powiedziała: “Zawsze wiedziałam, od lat wiedziałam, że Molly jest zła. Odebrała mi ciebie, Alistair. Należałeś do mnie, ale ona odebrała cię i zmusiła, żebyś się z nią ożenił. Zawsze wiedziałam. Teraz się boję. Co oni ze mną zrobią? Co powiedzą? Nie mogą mnie znów zamknąć. Zabiorą mnie i powiedzą, że jestem winna morderstwa. To nie było morderstwo. Po prostu musiałam to zrobić. Czasem muszę robić pewne rzeczy. Rozumiesz, musiałam zobaczyć krew. Chociaż nie mogłam poczekać i zobaczyć, jak Molly umiera. Uciekłam. Ale wiedziałam, że umrze. Miałam tylko nadzieję, że jej nie znajdziesz. Po prostu spadła ze skały. Ludzie powiedzą, że to wypadek”.

- Okropna historia - powiedział Desmond.

- Tak - zgodziła się Celia. - Okropna historia, ale lepiej ją poznać. Lepiej, prawda? Nawet nie potrafię jej współczuć. To znaczy mojej matce. Wiem, że była kochana. Wiem, że nie było w niej śladu zła, była absolutnie dobra i wiem, mogę zrozumieć, dlaczego ojciec nie chciał poślubić Dolly. Chciał ożenić się z moją matką, ponieważ kochał ją i odkrył wcześniej, że coś jest nie tak z Dolly. Coś złego, patologicznego. Ale jak... jak udało się wam to zrobić?

- Sporo nakłamyliśmy - odparta Zelig. - Mieliliśmy nadzieję, że nikt nie znajdzie ciała,

więc będzie można je usunąć w nocy gdzieś, gdzie będzie wyglądać, jakby Molly spadła do morza. A potem wpadliśmy na historię o lunatyzmie. To, co musieliśmy zrobić, było bardzo proste. Alistair powiedział: “Wiesz, to przerażające. Ale obiecałem. Złożyłem Molly przysięgę, kiedy umierała. Obiecałem, że zrobię to, o co prosi. Jest sposób, by uratować Dolly, jeśli tylko potrafi odegrać swoją rolę. Nie wiem, czy będzie w stanie”. “Co zrobić?” - spytałam, a Alistair odrzekł: “Udawać Molly i utrzymywać, że to Dorothea spacerowała we śnie i spadła”.

- Udało nam się - ciągnęła Zelia. - Zabraliśmy Dolly do pustej chaty, gdzie zostałam z nią przez parę dni. Alistair mówił, że Molly wyjechała do szpitala z powodu szoku wywołanego odkryciem, że jej siostra spadła z urwiska spacerując we śnie. Potem przywieźliśmy Dolly z powrotem, już jako Molly, w ubraniach Molly i w jej peruce. Kupiłam dodatkowe peruki, całe w loczki. To było świetne przebranie. Stara kochana gospodyni, Janet, nie widziała za dobrze. Dolly i Molly naprawdę były do siebie podobne i miały podobny głos. Wszyscy dość łatwo uwierzyli, że to Molly, zachowująca się czasami dziwnie, ponieważ nadal jest w szoku. Wszystko wydawało się tak naturalne. To było najgorsze...

- Ale jak ona wytrzymała? - spytała Celia. - To musiało być okropnie trudne.

- Nie, ona nie widziała w tym nic trudnego. Widzisz, dostała to, czego chciała, czego zawsze chciała. Dostała Alistaira...

- A Alistair? Jak mógł to znieść?

- Powiedział mi dlaczego i jak, tego dnia, kiedy załatwił mój powrót do Szwajcarii. Powiedział mi, co muszę zrobić, a potem powiedział, co sam zamierza. “Mogę zrobić tylko jedno. Obiecałem Margaret, że nie wydam Dolly w ręce policji, że nikt się nigdy nie dowie, iż jest morderczynią, że dzieci nigdy nie dowiedzą się, że ich ciotka była morderczynią. Nikt nie musi się nigdy dowiedzieć, że Dolly popełniła morderstwo. Spacerowała we śnie i spadła ze skały. Smutny wypadek. Pochowają ją na tutejszym cmentarzu przy kościele, pod jej własnym nazwiskiem.” “Jak pan może do tego dopuścić?” - spytałam. Nie mogłam tego znieść. A on powiedział: “Mogę, ponieważ zamierzam coś zrobić i ty musisz o tym wiedzieć. Widzisz - mówił - Dolly nie może dłużej żyć. Jeśli znajdzie się w pobliżu dzieci, znów zabije. Biedaczka, nie nadaje się do życia. Ale musisz zrozumieć, Zelia, że ponieważ zamierzam to zrobić, sam muszę zapłacić życiem. Pomieszkać tu spokojnie przez kilka tygodni z Dolly odgrywającą rolę mojej żony, a potem dojdzie do następnej tragedii...” Nie zrozumiałam, o czym mówił. Dlatego spytałam: “Kolejny wypadek? Znów lunatyzm?” A on odparł: “Nie. Świat będzie uważał, że Molly i ja popełniliśmy samobójstwo. Prawdopodobnie przyczyna nigdy nie zostanie odkryta. Mogą sądzić, że ona uważała, iż ma raka. Albo że ja tak

myślałem. Mogą sugerować cokolwiek. Ale ty, Zelig, musisz mi pomóc. Jesteś jedyną osobą, która naprawdę mnie kocha, która kocha Molly i dzieci. Jeśli Dolly ma umrzeć, może zginąć tylko z mojej ręki. Nie będzie nieszczęśliwa ani przerażona. Zastrzelę ją, a potem siebie. Na rewolwerze znajdują się jej odciski palców, bo trzymała go nie tak dawno temu. Moje też na nim będą. Trzeba zadośćuczynić sprawiedliwości, a ja będę wykonawcą. Chcę, żebyś wiedziała, że nadal kocham je obie. Molly kocham nad życie. Dolly - ponieważ żal mi jej. Taka się urodziła. Zawsze o tym pamiętaj” - powiedział.

Zelig wstała i podeszła do Celi.

- Teraz znasz prawdę - powiedziała. - Obiecałam twojemu ojcu, że nigdy się nie dowiesz, i złamałam słowo. Nigdy nie zamierzałam ujawnić prawdy tobie ani komukolwiek innemu. Monsieur Poirot sprawił, że zmieniłam zdanie. Ale to taka okropna historia...

- Rozumiem, co czułaś - odparła Celia. - Może ze swojego punktu widzenia miałaś rację, ale ja... ja jestem zadowolona, że wiem, bo teraz wydaje mi się, że zdjęto z moich ramion wielki ciężar...

- Bo teraz - dokończył Desmond - wiemy oboje. I nie będziemy nigdy przejmować się tym, że wiemy. To rzeczywiście była tragedia. Jak zauważył monsieur Poirot, była to prawdziwa tragedia dwojga kochających się ludzi. Nie zabili się nawzajem z miłości. Jedno z nich zostało zamordowane, a drugie wykonało na mordercy wyrok dla dobra ludzkości, tak by nie ucierpiało już żadne dziecko. Można wybaczyć mu, jeśli się mylił, ale ja nie sądzę, by mylił się naprawdę.

- Zawsze była przerażająca - powiedziała Celia. - Nawet jako dziecko bałam się jej, ale nie wiedziałam dlaczego. Teraz już wiem. Myślę, że mój ojciec był bardzo dzielny, ponieważ zrobił to, co zrobił. Zrobił to, o co błagała go moja matka tuż przed śmiercią. Uratował jej siostrę, którą, jak sądzę, bardzo kochała. Chciałabym myśleć... to głupio zabrzmiało... - Spojrzała z powątpiewaniem na Poirota. - Może pan tak uzna. Pewnie jest pan katolikiem, ale chodzi mi o inskrypcję na ich grobie. “Śmierć ich nie rozłączyła”. To nie znaczy, że umarli razem, ale sądzę, że są razem. Myślę, że połączyli się potem. Dwoje bardzo kochających się ludzi i moja biedna ciotka, o której spróbuję myśleć cieplej niż dawniej. Moja biedna ciotka nie musiała cierpieć za to, przed czym chyba nie mogła się powstrzymać. Proszę wziąć pod uwagę - nagle Celia powróciła do swego normalnego tonu - że nie była miłą osobą. Nie można powstrzymać się przed niechęcią do kogoś, kto nie jest miły. Może mogła być inna, gdyby spróbowała, a może i nie. A w takim wypadku trzeba myśleć o niej jak o kimś bardzo chorym, na przykład jak o kimś, kto choruje w wiosce na dżumę, więc nie

pozwalają mu wyjść, nie karmią go i nie może znaleźć się wśród ludzi. bo cała wioska wymarłaby. Coś w tym stylu. Ale postaram się znaleźć dla niej współczucie. A moja matka i ojciec... już nie martwię się o nich. Tak bardzo się kochali i kochali też biedną, nieszczęsną, pełną nienawiści Dolly.

- Myślę, Celio - zauważył Desmond - że teraz najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej się pobierzemy. Powiem ci jedno. Moja matka nigdy nic o tym nie usłyszy. Nie jest moją prawdziwą matką i nie jest osobą, której mógłbym powierzyć taki sekret.

- Mam powody wierzyć - powiedział Poirot - że twoja przybrana matka chciała poróżnić cię z Celią i nasunąć ci przekonanie, że mogła odziedziczyć po matce lub ojcu jakąś przerażającą ułomność psychiczną. Ale wiesz... a może nie wiesz, a ja nie widzę powodu, dlaczego by o tym nie wspomnieć... że odziedziczysz po kobiecie, która była twoją prawdziwą matką i zmarła niedawno zostawiając ci wszystkie pieniądze... odziedziczysz więc sporą sumę, kiedy ukończysz dwadzieścia pięć lat.

- Jeśli ożenię się z Celią, na pewno będą nam potrzebne pieniądze - przyznał Desmond. - Rozumiem to doskonale. Wiem, że moja przybrana matka bardzo interesuje się pieniędzmi i nawet teraz często jej pożyczam. Zasugerowała dwa dni temu, bym zobaczył się z prawnikiem, bo jak wyjaśniła, jest bardzo niebezpieczne, bym mając dwadzieścia jeden lat nie spisał testamentu. Sądzę, że oczekiwała, iż to jej przypadną pieniądze. Myślałem wcześniej, by jej zapisać wszystko. Ale teraz, oczywiście, ponieważ pobieramy się z Celią, wszystko zostawię jej. Nie podobał mi się sposób, w jaki moja matka usiłowała nastawić mnie przeciwko Celii.

- Sądzę, że twoje podejrzenia są absolutnie uzasadnione - stwierdził Poirot. - Jestem pewien, iż powie, że chciała jak najlepiej, że powinieneś znać pochodzenie Celii, jeśli masz podjąć ryzyko, ale...

- W porządku - odrzekł Desmond. - Ale... wiem, że jestem niewdzięczny. Przecież adoptowała mnie, wychowała i tak dalej. Jeśli pieniędzy jest dość, część mogę jej przekazać. Celia i ja weźmiemy resztę i będziemy żyć razem długo i szczęśliwie. Pewne rzeczy zasmucają nas czasem, ale nie będziemy się już martwić, prawda, Celio?

- Nie - powtórzyła za nim Celia - nie będziemy się już martwić. Myślę, że moi rodzice byli wspaniałymi ludźmi. Matka przez całe życie usiłowała opiekować się siostrą, ale według mnie nie miała szans. Nie można powstrzymać ludzi przed byciem takimi, jacy są.

- Drogie dzieci - powiedziała Zelia. - Wybaczcie, że nazywam was dziećmi, bo już nimi nie jesteście. Oboje jesteście dorośli. Wiem. Cieszy mnie, że widzę was znowu i że wiem, że was nie skrzywdziłam.

- Nie skrzywdziłaś nikogo, droga Zelig, i tak dobrze cię znów zobaczyć. - Celią podeszła do starej guwernantki i objęła ją. - Zawsze bardzo cię lubiłam - powiedziała.

- I ja bardzo cię polubiłem, kiedy cię poznałem - dodał Desmond. - Kiedy mieszkałem obok. Znałaś wspaniałe gry i wspaniale się z nami bawiłaś.

Dwójka młodych ludzi zwróciła się do pani Oliver.

- Dziękuję pani - powiedział Desmond. - Okazała pani wiele serca i wykonała ciężką pracę. To oczywiste. Dziękuję i panu, *monsieur* Poirot.

- Tak, dziękujemy - powtórzyła Celią. - Jestem wam bardzo wdzięczna.

Odeszli, a grupka pozostałych patrzyła za nimi.

- Cóż - odezwała się Zelig. - Czas na mnie. Zwróciła się do Poirota: - A co z panem? Czy będzie pan musiał komuś o tym opowiedzieć?

- Jest jedna osoba, której mogę powierzyć tajemnicę. Emerytowany oficer policji. Nie jest już na służbie. Przeszedł na emeryturę. Nie sądzę, by uznał za swój obowiązek wtrącać się w to, co wymazał już czas. Gdyby nadal pracował, może uważałby inaczej.

- Przerażająca historia - zauważyła pani Oliver - przerażająca. I wszyscy ci ludzie, z którymi rozmawiałam. Tak, teraz to widzę: wszyscy coś pamiętali. Coś, co przydało się nam w odkryciu prawdy, choć tak trudno było do niej dotrzeć. Oczywiście nie panu Poirotowi, który zawsze potrafi wysnuć właściwe wnioski z najbardziej niesamowitych przesłanek. Jak peruki i bliźnięta.

Poirot podeszedł do miejsca, gdzie Zelig stała spoglądając na okolicę.

- Nie obwinia mnie pani - spytał - za to, że przyjechałem i namówiłem panią do zrobienia tego, co pani zrobiła?

- Nie. Jestem zadowolona. Miał pan rację. Czarująca z nich para i według mnie pasują do siebie. Będą szczęśliwi. Stoimy tu, gdzie niegdyś mieszkało dwoje kochanków. Gdzie dwoje kochanków zmarło. Nie winie go za to, co zrobił. Może to było niesłuszne, pewnie było, ale nie mogę go winić. Myślę, że był to śmiały czyn, nawet jeśli niesłuszny.

- Kochała go pani, prawda? - spytał Herkules Poirot.

- Tak. Zawsze. Jak tylko przyjechałam do tego domu. Bardzo go kochałam. Nie sądzę, by o tym wiedział. Między nami nigdy do niczego nie doszło. Ufał mi i lubił mnie. A ja kochałam oboje. I jego, i Margaret.

- Chciałbym panią o coś zapytać. Kochał Molly tak samo, jak Dolly, prawda?

- Do samego końca. Kochał je obie. I dlatego uratował Dolly. I dlatego Molly chciała, by to zrobił. Którą kochał bardziej? Zastanawiam się. Tego być może nigdy nie będę wiedziała. Nigdy nie wiedziałam - zamyśliła się Zelig - i pewnie nigdy się nie dowiem.

Poirot patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się i dołączył do pani Oliver.

- Wrócimy samochodem do Londynu. Musimy zapomnieć o tragediach i romansach i powrócić do normalnego życia.

- Słonie nie zapominają - powiedziała pani Oliver - ale my jesteśmy ludźmi, a na szczęście ludzie potrafią zapomnieć.